

# Zygmunt Niedźwiecki

## U OGNISKA I INNE NOWEWLE

### ZWIERZENIA.

o saloniku, urządzonym starannie i nie bez pewnych pretensyj krawczyni, potrzebującej ujmować sobie klientelę dowodami smaku i zamożności, nie bez kokieteryi kobiety trzydziestokilkolletniej, wyglądającej bardzo młodo, oraz wdowy, stęsknionej za mężem — przechadzała się pani Walentyna w toalecie do wyjścia.

Odkąd Placyd oświadczył się o jej rękę i został przyjęty, dwa razy świeższa, ruchliwsza i bardziej ożywiona, niż kiedykolwiek, promieniała zadowoleniem. Barwiło ono jej twarz rumieńcem a z oczu tryskało iskrami odrodzonej, tryumfującej zalotności. Niknęła też przy nich lekka chmurka na jej czole, podobna do oznak owego nieokreślonego niepokoju, jaki zwykł towarzyszyć stanowczym i ważnym chwilom w życiu.

Wtem twarz wyczekującej zajaśniała wyrazem nagłego, radosnego ożywienia. Skinąwszy głową w stronę okna, przy którym stała od chwili, opuściła je szybko, spojrziała w przechodzie w lustro i odetchnąwszy głęboko, z wargami w pół już rozwartemi do odezwania się, zatrzymała się na środku pokoju, twarzą ku drzwiom.

W parę chwil ukazał się na progu Placyd, poprzedzony skrzypiącym echem kroków. Przedstawiał się bardzo korzystnie w swym nowiutkim garniturze, wyświeżony, wygolony, z kokieteryjnie ułożonemi wąsami i muszką w cieniu dolnej wargi, na uśmiechniętej, pełnej twarzy doskonale zachowanego letniego kawalera, który czuje jeszcze potrzebę małżeństwa.

W chwili, kiedy przystając u drzwi, składał szarmancki ukłon, pani Walentyna serdecznym ruchem wyciągnęła ku niemu rękę i ozwała się wesoło:

— Ależ doczekać się pana nie można! Sądziłam już, że się rozmyśliłeś i nic nie będzie z zapowiedzi...

— Co znowu! — zaprotestował — To mnie raczej lękać się należy, aby mi słowa nie zwrócono.

— Komu też to udawać? — z uśmiechem przerwała kobieta, czując już na swej ręce ciepłe dotknięcie mięsistych jego warg, którymi przedłużał to powitanie znajomych, dobrych znajomych od lat kilku, którzy

sobie ufają, lubią się i są pewni, że będzie im razem dobrze.

Przystępowali oni do tego spóźnionego trochę związku dobrowolnie, chętnie, a na pół żartobliwie, jak ludzie znający życie i przebaczący mu jego złe strony, po dobre zaś sięgający z uśmiechem. Nie pierwszej młodości, co prawda, nie byli jednak jeszcze starzy. Placyd, urzędnik miejski, miał ładną pensję, ona zaś pokaźny dochód z krawieczyzny. uprawianej z powodzeniem na czele kilkunastu dziewcząt, których języki, oczy, serca i uzbrojone igłą palce, w zarówno szybkim były ruchu. Prócz tego Placyd ujmował sobie wdówkę trzeźwym poglądem na świat oraz pobłażliwością, właściwą ludziom dobrego zdrowia, serca i humoru — ona zaś dziwnie przystawała do wszystkich jego zamiłowań swoim cokolwiek nerwowym temperamentem gadatliwej śmieszki, której z oczu patrzyła szczerą obietnicą wielu ciepłych uczuć.

Oderwawszy nakoniec usta od ręki kobiety, odparł z niejaką powagą na jej żartobliwe pytanie :

— Obawy moje wcale nie są udane, i właśnie miałem panią prosić w tym względzie o chwilkę posłuchania, zanim udamy się na probostwo.

Wpatrzyła się w niego zdziwiona.

— Koniecznie przedtem?

— Koniecznie.

Ręce ich rozeszły się — kobieta zaś pokręciła głową, żartobliwie udaną podejrzliwością pokrywając niepokój.

— To mi coś pachnie grzechami kawa lerskimi — rzekła i pogroziwszy mu palcem, który się oparł na kształtnym nosku, usiadła wśród tego giestu, Placyd naprzeciw niej.

Zdejmując rękawiczki, błysnął w uśmiechu zdrowymi zębami i z tym wesołym pozorem zmieszania człowieka dojrzałego, niezbyt skłonnego do zakłopotanych minek, bąknął z pod wąsa :

— W samej rzeczy — idzie tu o coś podobnego.

Uspokoila się.

— Słucham, ciekawam bardzo.

— Ale obiecuje mi pani wyrozumiałość?

— A czy będzie o nią tak trudno?

— Może nie... ale...

— No więc? — nalegała rozciekawiona, poprawiając się na foteliku niecierpliwie.

Pogładził wąsa. spojrział na nią z pod brwi bystro i obejrzawszy się na drzwi od pracowni, skąd dolatywał klekot maszyn do szycia i śmiechy szwaczek — jednym tchem oświadczył z cicha, poważnie:

— Mam syna.

I śledzi! na jej twarzy wywarte wrażenie.

Rozśmiała się głośno, z leciuchnym ale miłym rumieńcem, pochylając się w tył i głowę zadzierając do góry.

— Ach! dlaczegoś ukrywałaś pan to dotąd?... Nic w tem przecież nie ma znowu tak... złego!...

Uchwycił ją za obie ręce.

— Więc pani mi przebacza?

— Syna?... zupełnie; tajemnicę... mniej — mówiła rozweselona, patrząc nań nieco inaczej niżeli przed chwilą.

Poważniej zaś dodała :

— I uznaję to, że pan o nim nie zapomniałeś. To uczciwie.

— Ale bo ja — pochłaniając jej słowa kontynuował Placyd, który nie uważał sprawy za załatwioną — pragnąłbym dać mu moje nazwisko, a skoro pani je nosić zechcesz, dać mu w pani matkę...

— Mój Boże! to przecież całkiem naturalne... Czyż mogłabym wzbraniać się choćby chwilę?... — mówiła z takim szczerem zdziwieniem, tak stanowczo, poważnie i z takim zapałem jednocześnie, jak gdyby nie widziała się bynajmniej zaskoczona tern niespodzianem wyznaniem, jakby miała wobec tego rodzaju rzeczy przetrawione a najbardziej postępowe poglądy.

Ucieszyło go to, ale jednocześnie i zmięszało, sądził bowiem, że będzie ją musiał dopiero przekonywać i przygotował sobie nawet pewien zasób argumentów, do których wypowiedzenia język go teraz świerzbiał. Zamiast tego uradowany bełkotał:

— To ładnie, bardzo ładnie z pani strony — i wstrząsał jej rękę, ona zaś mówiła :

— Któżby postąpił na mojem miejscu inaczej ? Obowiązki rodzicielskie mają pierwszeństwo przed innymi, bez względu na... Cóż zresztą biedne dziecię winno w podobnych wypadkach.

— Tak .. tak... — wtórował Placyd, potakując głową, coraz goręcej — cóż winno? ! rozumie się. Z ust mi to pani wyjęłaś. Jestto jedyne uczciwe zapatrywanie. Przepraszam panią, jeżeli niepokoiłem się choćby przez chwilę, znając cię tak dobrze... O! pani masz serce!... wypowiedziawszy to z wielkiem wzruszeniem, wywołanem przez wyznanie tak poważnej natury, ucieszony jego przyjęciem, serdecznie ucałował jej rękę.

Teraz ona zaczęła się dopytywać o dziecię i o najdrobniejsze, dotyczące go szczegóły, ciepło, z prawdziwym zajęciem, jak kobieta z sercem, jak przyszła matka, dobra matka.

Placyd zaś, rozrzuwiony, opowiadał szeroko o swym chłopcu, który licząc ósmy rok życia, zaczynał już gromadzić pierwsze, tak wyraziste wrażenia dzieciństwa, i któremu należały się koniecznie wrażenia rodzicielskiego domu, bezpośrednia piecza ojca. matki, ze względu na jego przyszłość. Tymczasem skazany był na poniewierkę wśród obcych ludzi.

Pokazał jej drżącemi rękoma fotografii malca, którą pochwyliła rozciekawiona, on zaś śledził niespokojnie wyraz jej twarzy.

Chłopczyk podobał się jej bardzo. Zapytała, jak mu na imię, jakie ma włosy, oczy, oraz czy może fotografię zatrzymać. Chciała go czempredzej zobaczyć u siebie, przygarnąć.

A Placyd, obiecując z zapałem przyprowadzić go zaraz jutro, przepelniony wdzięcznością za tyle okazanego zajęcia i sympaty, nie mógł się dość nadziękować i ścisnął bez końca ręce kobiety, uniesiony Wylewem uczuć, dotąd skrywanych, wypowiedzianych dziś po raz pierwszy, pojętych i odwzajemnionych.

— Czemże ja się pani odwdzięczę, wypłacę — szeptał. — Mów pani... zażądaj... proszę cię o to, daj mi sposobność odwdzięczyć ci...

Przyjmowała rosnące objawy jego uzna

nia i podziękę jak najskromniej, zakłopotana, prawie zawstydzona.

Naraz, po ostatnich jego słowach, poruszyła się żywo. jakby w nagłej decyzji. Uchwyciła go za rękę i z twarzą zaognioną wstydem, gorączkowo, spiesźnie, zaczęła szeptać głosem drżącym od niepokoju i troski:

— A więc — słuchaj pan... Dawno miałam panu wyznać, dziś zaś postanowiłam to zrobić ostatecznie, nieodwołalnie, bądź jak bądź... chociaż nie wiedziałam, jak to uczynię i do ostatniej chwili nie śmiałam, szukając daremnie sposobu.. Dla kobiety to stokroć przykrzejsze... Ale dłużej milczeć niepodobna, nie wolno... Zresztą po tem. co pan mówiłeś, skoro pańskie poglądy tak się zgadzają z mojami... pan mnie zrozumiesz, jako ojciec... i wybaczysz mi także, tak jak ja panu... Uczyńmy to dla siebie wzajemnie... I ja... i ja... mam dziecię..

To rzekłszy, z obawą, z wielką obawą, która jej oddech zaparła, przysunięta doń w tem poufnem zwierzeniu, czekała na odpowiedź, śledząc niespokojnie wyraz jego twarzy, zmieniający się stopniowo, w miarę jak go wtajemniczała w ten tak niespodziewany stan rzeczy.

— Po nieboszczyku mężu? — zapytał poważnie.

Spuściła powieki i cofając swe dłonie od jego ręki, wyrzekła cicho, z wysiłkiem:

— Mąż mój umarł przed dziewięciu laty... a Ludwisia kończy dopiero... dopiero piąty rok w listopadzie.

Milczała chwilę, z wlepionem weń błagalnem spojrzeniem, którego uniknął i zamyślony, gryząc wąsy, wpatrzył się w dywan na podłodze. Wreszcie ponowiła zaniepokojona i wzruszona :

— Ja wiem co pan myślisz. To było dla pana zbyt niespodziane... Pan sądziłeś, że biorąc za żonę kobietę owdowiałą od lat tylu... bierzesz uczciwą... A teraz nagle wszystkie te lata stają się dla pana dwu znaczne, podejrzone... Ale ja panu przy sięgam, że się mylisz... Przysięgam panu, że byłam uczciwą... A to... to był tylko przypadek, nieszczęście, zbieg nieprzewi dzianych okoliczności, którego ofiarą padłam... po którym... O! gdybyś pan wiedział, ile mnie to kosztowało rozpacz i wstydu... Byłabym sobie może co złego zrobiła, gdyby nie dziecko... Zresztą, osądź pan sam : i dziś jeszcze mogłabym to przecież zataić, jeżelibym tylko oszukać pana chciała. Ale i ja pragnęłam dla mego biednego dziecięcia ojca... nazwiska... Cóż ono winno, gdyby

nawet na mnie samej wina ciążyła, chociaż nie byłam złą, nie byłam płochą.

I wybuchnęła płaczem wielkiego zmartwienia i wstydu, zakrywając twarz rękoma.

Jego pozyskał ten żal nieklamany — zaczął ją szczerze pocieszać i uspakajać.

— Ależ... przestań pani! po co się zaraz tak unosić... Przez myśl mi nie przeszło obrażać panią jakimiś podejrzeniami.... Ściśle rzecz biorąc to nawet lepiej. Czułbym się zawsze wobec pani winnym, dłużnikiem, a tak... oboje wnosimy do wspólki małżeńskiej to samo. Jak najlepiej się złożyło doprawdy : dziewczynka i chłopiec, czegóż

chcieć więcej! Będę ją bardzo kochał, — odpłacisz to mojemu malcowi. Prawda?... przecież to nasze dzieci... A czy nie mógłbym jej zobaczyć?

Wzruszona pobiegła żywo do komody po fotografię, opowiadając tymczasem, że Ludwisia chowa się u babki, która ją bardzo kocha, że już składa litery i okazuje niezwykły talent do robótek, czego dowodem podstawa pod lampę na stoliku obok pieca. Mówiąc to i wiele innych rzeczy, przerzucała w górnej szufladzie komody pudełka, zawiniątka, fatalaszki, aż wreszcie odszukała pożądaną przedmiot, aby go podać Placydowi.

— — rzekł, wzięwszy do rąk kartonik za szkłem w pluszowej ramce — prawdziwy aniołek! — i ucałował małą główkę na wizerunku, czemu przypatrywała się z iskrzącymi radością, oczyma.

— Podobna do mamusi — dodał poufalszym tonem przyszłego męża i przygarnąwszy do siebie silnym ramieniem wzruszoną kobietę, która bronila się trochę jego natarczywości, ucałował ją również rześcicie w sam środek rumianego policzka, na którym lży oschły a zwykły, tak miły uśmiech zawitał.

Nie puszczając jej z objęć, z ustami przy jej twarzy, szepnął dyskretnie:

— A ojciec?...

— Nie żyje — odparła cicho ze spuszczonej oczyma.

— Słowo?

— Pokażę dowody.

W chwili, kiedy na znak zaufania składał pocałunek, odwzajemniła jego pytanie zcicha:

— A... matka?

— Tak jakby jej nie było — odrzekł uspakajająco. — Wyszła za mąż od lat sześciu, nawet nie wiem, gdzie się obraca.

— Więc teraz... możemy już iść do proboszcza?...

Wybuchnął śmiechem, a ona zawtórowała mu...

— I to jak najprędzej — zawołał — aby mu nie przyszło na myśl, że wahaliśmy się choćby przez chwilę.

POSAG.

Zaledwie przekroczyłem próg, od lustra, w którym odbijała się wdziwiająca kapelusz wiosenny kobietka, zabrzmiał głos:

— Nic z tego! nic z tego!.. wychodzę.

Wziąłem to za żart oczywiście, za chęć podroczenia się z dobrym znajomym, nic więcej. Pewny, że zastawszy drzwi mieszkania otworem, znajdę w niem otwarte ramiona, poszedłem pocałować Fełę w szyjkę, W te miękkie, wijące się, kosmyczki jasnych włosów po za uszama, któremi tak czarują główki niektórych blondynek.

Ale, z rękoma wzniesionymi w górę. ku brzegom kapelusza, z oczyma w zwierciadle oświadczyła mi bez ogródki, że dzisiaj — niestety — czeka mnie zawód.

Ponieważ nie lubię przekomarzać tam, gdzie mnie dotychczas psuto najgorętszem zawsze przyjęciem, gdzie jest zwyczaj wre

szcie dysponować, nie tałem więc mego niezadowolenia.

Wówczas uciekła się do przymilań i przybierając najefektowniejsze swoje minki, poprosiła o wyrozumiałość — dziś tylko, ten jeden raz, nigdy więcej !

Ale dlaczego?...

Wahała się z odpowiedzią. Widząc jednak, że oczekuję jej niezachwianie, zdecydowała się wyznać w sekrecie: wybiera się z narzeczonym za interesami..

Jakżem się szczerze rozśmiał!...

— Z którym do licha?... — zawołałem

— masz ich przecie tylu!...

Uraziła się. Nagle oblekając w powagę swój buziak swywolny, przystąpiła do mnie i jako dowód niezbity, podała mi pierścionek, z palca zdjęty, prawdziwy zaręczynowy pierścionek, z datą wewnątrz!...

Obejrzałem, pokręciłem głową i zwróciłem go jej. Dzieją się przecież i takie rzeczy.

— No, no... Więc to na seryo? Nigdy mi o tern nie wspominałaś dotąd.

— Mówiło się zawsze o głupstwach...

Prawda! i to o jakich!... Nie przypuszczałem jednak, aby tu można było o czemś innem rozmawiać.

— I kiedyż to nastąpi? — pytam.

— Od dziś za rok. mniej więcej.

— Dopiero?

— Nie mam jeszcze wszystkich pieniędzy.

— Jakich pieniędzy?

— Posagu!... — odrzekła, z żartobliwą uroczystością akcentując to słowo.

— Skądże go weźmiesz?

Z ruchem brodą ku mnie i filuternem mrugnięciem powiek wycedziła przez zęby, uśmiechnięta :

— Od was!

— Ale fel...

— O! zbieram już dwa lata!

— I jeszcze zbierać zamysłasz rok cały?!

— Takeśmy się umówili.

— Z kim?

— No z nim, z moim przyszłym.

— Jakto?... więc on wie?!...

— No rozumie się. Wie wszystko.

Podziw otwarł mi oczy — i dla niej,

dla tej płoczej dziewczyny, z którą tak szalenie można się było bawić, jak gdyby celem jej były same jedynie szaleństwa, a która po za tem tak seryo myślała o przyszłości, — i dla tego hultaja, co w podobny sposób zdobywał posazną żonę.

Zacząłem ją wypytywać rozciekawiony, usiedliśmy.

Był to kelner — stary znajomy z lat dziecinnych jeszcze, z jednego podwórza,

potem wielbiciel, może pierwszy kochanek, obecnie narzeczony, za rok mąż. Patrząc w życie trzeźwo, obmyślili zawczasu, jak je sobie urządzić. Zamiarem ich było otworzyć kawiarnię, ponieważ on zna się na "interesie" i ma szczęście do gości, ona zaś... no i ona także na brak powodzenia skarżyć się nie ma powodu. Lokal już upatrzony (ale to jeszcze sekret), obliczone dochody, wydatki, wszystko ułożone, przewidziane, każdy dzień przynosi coś dla przyszłości, każdy czyni szczęście bliższemu.

— Rok! rok tylko!... i będę nakoniec uczciwą kobietą — z wybuchem radosnej tęsknoty zakończyła opowiadanie Fela, akcentując to urągające wszelkiej logice "nakoniec" w sposób, który mnie wprawił w zdumienie.

— Ale aby nią zostać, potrzeba pracować rok jeszcze — poddałem. — Zafrasowana westchnęła:

— Ach, tak! rok cały!!.. — i pocałowała mnie.

Naraz odsunęła się odemnie i skierowała ucho w stronę drzwi, szepnęła :

— Idzie.

Zrozumiałem o kim mowa. Jakież zawstydzenie, obce mi w podobnych miejscach, jakiś niespodziewany poryw delikatności zwrócił mnie z krzesła ku drzwiom, drugim

drzwiom oczywiście, w tego rodzaju lokalach znajdującym się z reguły.

Zdziwiona zapytała, co chcę czynić.

— Pójdę już — odparłem, szukając oczyma kapelusza i nie znajdując go nigdzie.

— Czemu?

— Aby mnie tu nie zastał.

— Cóż to szkodzi?

— Byłoby mu to może nieprzyjemnie — co? albo tobie...

— Co znowu! Owszem, zobaczy, że się z byle kim nie wdaje.

Zostałem. Musiałem zostać — byłem bez kapelusza!

W tejsze chwili drzwi się otwarły i — o urocza niespodzianko! — poczciwa, dobrodusznna twarz garsona, znajomego mi z kawiarni, w której bywam niekiedy, ukazała się przed nami. pogodna twarz dobrego chłopca, za którą lubiono go powszechnie.

Z godną zazdrości swobodą, z uśmiechem nie znikającym, raczej spotęgowanym na mój widok, posunął się ku nam i ucałował rękę swej narzeczonej, mnie zaś złożył jeden z tych gładkich ukłonów, których z obowiązku swego zawodu składał dziennie po parę tysięcy.

Wielce uradowany, że mnie tu znajduje, zapytywał o zdrowie, dziwił się, że tak dawno nie byłem w kawiarni, i podobnie

jak tam, przy bufecie, zacierając ręce, tylko trochę śmieiej, bo się tu czuł bardziej u siebie, zaczął mi świadczyć honory, jakimi dobry gospodarz otacza mile widzianych a na szczególne względy zasługujących gości.

Fela tymczasem, lubująca się zawsze w formach, co dodawało jej nawet uroku, uznała za stosowne, pomimo że już byłem powiadomiony, przedstawić go słowami :

— Mój narzeczony.

Było w tem coś solennego, co i mnie się udzieliło.

Rozgawędziwszy się o rzeczach potocznych, zaczęli teraz zwracać na mnie wciągające w rozmowę, pełne sympatii spojrzenia. Zwolna nadało to atmosferze cechę tak przyjacielską, że zaniepokoiłem się nie żartem, by narzeczony, wzięwszy mnie pod ramię, nie zechciał podprowadzić do kanapy, albo nie poczęstował papierosem. Zrobiłem tedy ruch, wyrażający chęć odejścia i obejrzałem się za kapeluszem.

Gdzie się u licha podział?... nie widać go nigdzie...

Zauważyli mój kłopot i ona rzekła :

— Czy się nie zatoczył pod kanapę?

Narzeczony natychmiast wsunął głowę pod mebel.

— Może spadł za który z foteli?

Nie, i tam go nie ma.

Poczęło się zatem zbiorowe szukanie, odsuwanie sprzętów, zagłądanie kolejne po za każdy przedmiot i w te same kąty.

Nie ma! jak kamień w wodę wpadł.

Naraz ozwał się okrzyk radości! On go odnalazł!...

Kapelusz leżał na oknie, zasłonięty roletą, którą, wszedłszy tu, własnoręcznie spuściłem, tak sobie, od niechcienia, bo lubię półcień.



Spojrzałem na niego nieznacznie, czy nie dostrzegę przykrego wrażenia.

Bynajmniej! Własnym rękawem wygładzał włos na moim kapeluszu i z najswobodniejszym w świecie uśmiechem oświadczył, iż podobne wypadki z kapeluszami zdarzają się często.

Musiałem ucisnąć wyciągniętą ku mnie dłoń gospodyni i obojgu, ho i on słuchał, powiedzieć: "do widzenia". Wtedy z pełnym gracyi nachyleniem podał mi laskę, poczem pospieszył naprzód drzwi mi otworzyć i ukłonem zgięty, w chwili, gdy próg przekraczałem, ciepło, bez udania, wyszepnął pożegnalne:

— Polecam się.

PIES.

W zaszarganych uniformach, w butach z ostrogami i czarnych, do pól szarą skórą wyszytych spodniach kawaleryjskich, obryzanych błotem, z pałaszem między kolanami każdy, siedziało czterech młodych oficerów dokoła marmurowego stolika cukierni, popijając z małych filiżaneczek czarną, zlekka dymiącą, aromatyczną kawę.

Było to popołudniu, w powrocie z forsownych ćwiczeń, których wybitne epizody, klnąc głupocie podwładnych i wyszydzając pedanterię przełożonych, opowiadano po kolei urwanemi zwrotami rozumiejących każde swe słowo fachowców, aby sobie wynagrodzić choć w części kilka godzin ciężkiego trudu na siodle.

Wtem do gabinetu, w którym zresztą nie było nikogo, wszedł jeszcze jeden wojskowy, inżynier, z pięknym, rachliwym, białym wyżłem, upstrzonym dużemi kasztanowatemi płatami na grzbiecie i uszach.

Przybyły powitał kolegów ukłonem wojskowym, nie zdejmując czapki, następnie podał każdemu rękę i z widocznym pośpiechem rzekł do jedyne go między nimi porucznika:

— Karolu, proszę cię, zajmij się moim Faunem dzisiaj.

— Poczekajno... nie wiem, czy mogę... — odrzekł zagadniony z nieznacznym uśmiechem. — Dziś piątek? co? — a to zgoda, zostaw go. Ścisnęli sobie ręce, porucznik zaś, rozśmiawszy się, palcem przyjacielowi pogroził i rzekł na pożegnanie:

— Tylko się też szanuj, mój kochany!...

Obaj parsknęli szczerym śmiechem młodych, tęgich chłopców i przybysz, z ręką podniesioną do daszka i z słowem "servus!" na ustach zniknął, ścigany wzrokiem psa, którego wilgotne nozdrza drżały nerwowo. Przytrzymywany jednak ręką porucznika za obróże, nie starał mu się wyrwać, przeciwnie, zaraz po wyjściu tamtego zaczął się łąsić swemu nowemu panu.

— O co to szło? — zapytał od niechcienia jeden z obecnych porucznika, który uśmiechał się i gładził wąż, jakby myśląc w dalszym ciągu o tem drobnem zajściu.

— Kobieta. Omnicz oddaje mi zawsze psa, ilekroć ma u siebie kobietę.

— Jaki? dlaczego?... — zapytali tamci.

— Zabawna rzecz — odparł porucznik — jestto ciekawy okaz psa, trzeba wam wiedzieć: psa mającego dwóch panów, zarazem psa — kobieciarza... Nie żartuję wcale — Faun ma dziwny pociąg do kobiet, niezmiernie łatwo z nimi zawiera znajomość i potem je nią prześladowuje. Nie rozumiecie mnie?

...Rzecz się ma tak. Faun widywał u Omnicza często kobiety — kobiety, które się u siebie całuje, ale których się na ulicy nie zna — nie dlatego jednak, by nie zasługiwały na ukłon, lecz że znajomość ma charakter incognito.

...Wyobraźcie jednak sobie, że osoba taka. idąc z mężem, bratem, narzeczonym, wszystko jedno wreszcie z kim, z mężczyzną czy też z kobietą, dość że z kimś niewtajemniczonym w niektóre jej stosunki — zostaje na ulicy nagle napadniętą przez psa, towarzyszącego młodemu, przystojnemu a niby obcemu jej wojskowemu, psa, który nie wiedząc o tern, jak fatalną popełnia zdradę, demaskuje oznakami ścisłej, zażytej przyjaźni tę, którą tylekroć widział otaczaną dowodami najwyższej czułości przez swego pana. Faun zaś był pod tym względem niepoprawny i z czystym sumieniem kompromitował publicznie kobiety, dla któ

rych jego pan obowiązany był i pragnął zachować wszelkie względy.

...Pojmujecie teraz, co za nieznośne położenie.

...Stawiało to Omnicza nieraz w bardzo kłopotliwej kolizyi — i w końcu, nie mogąc psa oduczyć tej niedyskrecyi, a nie chcąc się go pozbyć, przyjął mnie za współwłaściciela, to znaczy: ile razy Faun mu przeszkadza, oddaje go mnie, ile razy u mnie jest zbyt czynnym, wraca do Omnicza. Ponieważ zaś obok tego obaj używamy go do polowania, służy więc dwom panom, obu, należy mu oddać słuszość, nieźgorzej.

Podczas kiedy słuchacze przypatrywali się osobliwemu zwierzęciu, pies tymczasem, nie mogąc usiedzieć w miejscu, przestępował z nogi na nogę niecierpliwie i cicho przez zęby skowyczał.

— Leżeć Faun! — skarcił go właściciel, a pies, podwinąwszy ogon, wsunął się pod krzesło, położył i oparł mordę na łapach, skulony.

— Mimo to mieliśmy z Omniczem z powodu Fauna śmieszne zdarzenie, które nas nawet poróżniło na czas jakiś, a które wam opowiem.

...Pewnego dnia otrzymałem od Omnicza klucz od jego mieszkania i bilecik,

aby zajrzeć do zamkniętego psa, ponieważ sam, niespodziewanie zaproszony, odjechał gdzieś w okolicę na całą dobę. ... Był to wieczór. Poszedłem tam zaraz, rzuciłem Faunowi kawałek kupionej po drodze wędliny, dałem mu wody, a zobaczywszy na biurku parę nieznanymi mi, świeżymi książkami, ponieważ miałem czas wolny, włożyłem na siebie szlafrok nieobecnego gospodarza, jego fez, i pogrążony w fotelu plecami ku drzwiom, zacząłem czytać przy świetle lampy.

... Naraz drzwi się otwierają, klucz: trzask, trzask, w zamku, wielki szum sukni kobiecych i coś pełnego, ciepłego, jak wichrem rzucone spada mi na kolana, z słowami radości:

— Poszedł! poszedł na cały wieczór! — poczem odbieram całusa... ale to całusa!... którego, chociaż zrozumiałem, że był nie dla mnie, nie zaniedbałem jednak natychmiast z równym ogniem odwzajemnić.

...Hultaj ten Omnicz! paradne miewa znajomości!

...Ale zaledwie skończył się nasz pocałunek, ona oddaliła swoją twarz od mojej, przez mgnienie oka patrzyła zdumiona, a potem zsunąwszy się nagle i szybko z mych kolan, stanęła jak wryta, nie znajdując wyrazów tłumaczenia, które zresztą

było zbyt ciche. Okrywający jej ramiona szal opadł z niej i odsłonił kształtną figurkę w gustownym szlafrocisku, jakiego nie noszą służące, ani te, które niemi być przestały. Ponad nim płonął zmieszaniem buziak, stworzony do śmiechu i pocałunków, a nie tej, jaką był obleczony, minki przerażenia — w ogóle osóbką co się zowie interesująca. ...Była tak widocznie wstrząśnięta, tak szczerze zrozpaczona tym niesłychanym wypadkiem, tą pomyłką fatalną, że w pierwszej chwili uniosłem się litością i pomimo, że rad byłem w głębi duszy jej nieszczęściu (w obliczu młodej i pięknej kobiety trudno nie być samolubem), do licha! — pomyślałem — człowiek honorowy nie przejmuje listów pod cudzym pisanych adresem.

...Podałem jej szal jak najuprzejmiej i aby uspokoić wszelkie jej obawy, rzekłem:

— Szanuję zawsze cudze tajemnice. Może pani oddalić się ztąd bez obawy.

...Wysłuchała tego ze spuszczonej oczyma, nieruchoma, cała w pąsach, nie wiedząc, co odpowiedzieć, nie mogąc tchu zebrać...

...A Faun, zawsze ten sam!... nie odwracając zawarcia znajomości, tak się jej zaczął łąsić, tak ją szarpać za frendzle szala, że aż go musiałem odpędzić.

...Nareszcie szepnęła zdławionym głosem, spiesznie:

— Dziękuję panu — i postąpiła ku drzwiom, w których już jej ręką, przekreślony klucz, nieznacznie, przez dyskrecję, odkreśliłem.

...Lecz naraz, ująwszy już za klamkę, podsunęła ku drzwiom ucho i zatrzymała się. Nie otwarła ich. Kiedym się zaś do niej zbliżył z miną pytającą, wyrzekła cicho, przelękniona:

— Tam ktoś jest...

...Poprosiłem, aby mi pozwoliła wyjrzeć odchyliwszy drzwi, zobaczyłem rzecz fatalną.

...Trzy kobiety w brudnych, zakasanych spódnicach, uzbrojone w ryżowe szczotki na długich kijach, dźwigając kubły wody, z której buchała para, i pęki szarych ścierek, przy blasku małej lampki zabierały się do mycia podłóg korytarza.

...Powiedziałem jej, jak rzeczy stoją.

...Spytała zadyszana:

— Z której strony zaczynają?

...Wyrząłem znów i rzekłem:

— Zdaje się, że z tamtej.

— O Boże! właśnie tamtędy muszę przechodzić...

...Nie byłem w stanie zapanować nad ciekawością.

— Więc pani... nie w stronę schodów?...

... Nie patrząc na mnie, odparła cicho.

cała drżąca, po krótkim wahaniu, jakby widziała się zmuszoną do szczerości:

— Nie...

...Mieszkała zatem tu, w tym domu, na tem samym piętrze.

...Zorientowałem się szybko, znając rozkład lokali, bo Omnicz mieszkał tam od dłuższego czasu. Sąsiadka — dwa pokoje od tyłu — męża wszyscy znacie, ale go nic wymienię, przez wdzięczność dla obojga.

...Staliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu : ona, nie wiedząca, co począć — jakże biedacze serce tłuc się musiało tam, w głębi jej powabnego biustu! — ja, nie wiedzący, co doradzić.

...Nie rada mi też, szczerze mówiąc, była w głowie.

— Może się oddała... Niech pani raczy spocząć, przeczekać — rzekłem z obowiązku gospodarza i mężczyzny.

...Posłuchała szybko, bez wahania, jak gdyby uznając, że ja tu jestem panem w tej chwili — i usiadła skromnie na podanem przezemnie krzeselku, cała otulona po szyję w swój ciemny, wełnisty szal, podwijając nogi pod krzesło, jak gdyby jak najmniej miejsca chciała zajmować.

.. Wyrząłem znowu za próg, ale stra

ciłem. a raczej zyskałem... nie, dobrze mówię, straciłem — dla niej! — wszelką nadzieję.

...W moich oczach bryzgnęła z pluskiem na podłogę fala grzanej wody. Wiedźmy z obnażonemi, czerwonymi rękoma zaczęły ją rozwlekać po deskach szczotkami. Rozpoczęło się mycie podłogi szerokiego, długiego korytarza, które mogło trwać z całym szeregiem splukiwań i wycierali godzinę, półtorej, nawet dwie, bo pomywaczki urozmaicały sobie pracę rozmową, która wraz z głuszącym ich podniesione głosy zgrzytem ryżowych szczotek tylko na przedłużenie roboty wpłynąć mogła.

— Zaczęły myć — uwiadomiłem kobiety i zamknąłem drzwi, pytając się w duchu, od czego by tu zacząć, ażeby skończyć w sposób pożądanym.

...Przez chwilę milczeliśmy oboje pod wpływem tyle myśli nasuwającej pewności, że jesteśmy z sobą uwięzieni na kilka godzin wieczoru i sam na sam.

...Potem ona, oceniwszy zapewne wszystko, czego się w tern położeniu mogła spodziewać czy obawiać, odezwała się gorączkowo z lękiem i nie ustępującem zawstydzeniem:  
— Czy nie możnaby ich oddalić na chwilę?

— Pod jakim pozorem? — jak najśłodziej odrzekłem, pożerając ją wzrokiem. —

Zresztą jedne dałoby się. lecz wszystkie trzy?

...Łzy zakreśliły się jej w oczach, przygryzła wargi, zaczęła płakać.

...Biedaczka ! żal mi jej było. Czemuż nie zemdląła zaraz w pierwszej chwili. Byłoby jej to nie oszczędziło następstw niezwykłego zbiegu okoliczności, ale obojgu nam uprościłoby nasze role. Ocuciwszy się w mych objęciach, łatwiej pogodziłoby się mogła z swym losem... To nawet używane.

...Zacząłem ją zapewniać, że nie potrzebuje się niczego obawiać, i — najostrożniej, bez zbytku nalegań, aby się nie złapać — oświadczyłem, iż jeśli sobie życzy, oddalę się, zostawiając ją samą.

...Podniosła na mnie oczy i spuściła je. Namyslała się zapewne, czy odrzucenia propozycji nie wezmę za zachętę — ale wiedziałem dobrze, że nie każe mi odejść, nie zmieniliby to bowiem zaszłego faktu, a byłoby obrażającym dowodem braku zaufania do mnie.

— Nie mogę... nie mogę na to pozwolić, aby pan z mego powodu... — odrzekła z przymusem.

...Siedziała naprzeciw mnie. nie patrząc na mnie, ale wiedząc z pewnością, że ją pochłaniam oczyma.

...Milczeliśmy. Żadne nie wiedziało, co mówić. Nie było to miejsce ni sposobność ani do rozmowy o pogodzie ani do żadnej innej — z wyjątkiem dwóch, najdrażliwszych. które ją przerażały a mnie nęciły, to jest o bieżącej sytuacji lub o... miłości.

...Naraz wybuchnęła ponownym płaczem, tak że pospieszyć musiałem ku niej z prośbą :

— Ale niechże się pani nie martwi niepotrzebnie!

...Wyszeptwała nadzwyczaj żałośnie :

— Co pan sobie o mnie pomyśli?

...Nie mogła się odezwać w pożądanym dla mnie sposób!

...Zacząłem ją zapewniać o moim całkowitym szacunku, więcej nawet niżeli szacunku. Nie mogąc uprosić słowami, by zaniechała płaczu, pocałowałem ją w rączkę, odszukaną pod szalem, potem w drugą, która znalazła się jakoś w pobliżu, a potem zacząłem opisywać, jak jestem szczęśliwy. że podobne nieporozumienie, ambarasujące co prawda, zbliżyło mnie do tak cudownej kobiety. Od niej bowiem tylko samej zależy, abym tę chwilę niezwykłą zaliczył do najrozkoszniejszych w życiu! I tak dalej...

...Nakoniec — pojmujecie... ho czyliż nawet mogły rzeczy innej wziąć obrót, skoro oboje byliśmy w szlafrokach?...

...Ta potrzebująca mnie sobie zobowiązać kobietka dała mi się z wolna przekonać, że skoro tu przyszła po pocałunki (po cóżby innego ?...) i pieszczoty, nie ma powodu odrzucać ich dlatego jedynie, że przez inne usta, aniżeli się spodziewała, będą jej podane, tem bardziej, gdy ustami temi kieruje uwielbienie najwyższe, i gdy... mąż wyszedł na cały wieczór!...

...Nabrała wreszcie do mnie zaufania i wyznała, że ją w błąd wprowadził brzęk mego pałasza, sądziła bowiem, że to Omnicz powraca do siebie — (zdaje się, że podobne sygnały były między nimi w użyciu). — No a potem jego fez na mej głowie, jego szlafrok... Co za dziwny traf!... Kręciła nawet główką. Ale dałem jej słowo, że między mną a nim nie było żadnej zmywy, że to, co zaszło, przez żadnego z nas obu. przez żadne z nas trojga zarówno przewidzianem nie było.

...Korytarz dawno już był wymyty, a nam ani w głowie było zwracać aa to uwagę.

...Tylko ten Faun nieznośny!... Ciągłe się do nas mięszał — a nawet w najmniej stosownych chwilach poczynał tak zajadle szczekać, że mnie to do pasy przywodziło. Czy jemu się zdawało, że ja ją zabijam. czy co?...

...Nie wspominałem nic o tej przygodzie Omniczowi, wiedząc jak jest zazdrosny. Bo ja — wiecie — ja koledze nie odmówię niczego, wszystko wybaczę — ale on! kiedy idzie o kobietę: drugi Otello!... Umówiliśmy się więc z jego uroczą sąsiadeczką zachować w najściślejszej tajemnicy przed nim ów wieczór i nieodłączne jego powtórzenia.

...Na nieszczęście zdradził nas — o! ten wisus — Faun!

...Nie znał on sąsiadki Omnicza, póki była jego kochanką, bo wydalano go zawsze z mieszkania — ale zapoznał się z nią, odkąd stała się moją, ponieważ patrzył na wszystko.

...Następstwem tego było, że zaczepiona przez Fauna w obecności męża zarumieniła się, mąż w przystępie nadnaturalnego jasnowidzenia zaniepokojony tem, zaczął dochodzić, do kogo pies należy, i zrobił jej scenę, ona uczyniła wyrzut Omniczowi, Omnicz, nie poczuwając się do winy, zwąchał, jak rzeczy stoją, i zrobił scenę mnie, i posprzeczaliśmy się.

...Co za szaleństwo, moi drodzy! dwóch takich przyjaciół jak my, gniewać się o kobietę!... Czy kto słyszał?!

...A jednak tak było. Przestaliśmy do siebie mówić, witać się, a nawet kiedy jeden drugiego spotkał na ulicy, skręcał w bok

lub wstępował gdziekolwiek. Pies oczywiście został przy Omniczu. Trwało to z miesiąc.

...Wiecież, kto nas pogodził?

...Znowu on: Faun.

...Przypadkiem znaleźliśmy się raz w jakimś publicznym ogrodzie, podczas koncertu, przy dwóch sąsiadujących stolikach. Pies mnie poznał i skacząc z radości, zaczął się łaścić. Cóż bo zwierzę mogły obchodzić ludzkie niesnaski!... I póty przebiegał odemnie do Omnicza i znowu do mnie, aż rozśmieszeni, przejrawszy całe dzieciństwo naszej waśni — podaliśmy sobie ręce.

— Faun! pójdz tu... Tu!... Zobaczn ośle jakiś, czy tam czasem pani Całujka nie idzie, tylko prędko!

Na te słowa wyżeł zerwał się szybko z pod nóg porucznika i wyskoczywszy na stół, przy oknie stojący, oparł na niem przednie łapy i wyglądał przez chwilę ciekawie na ulicę, jak gdyby wypatrywał istotnie po za szybami wskazaną osobę.

Trzej oficerowie parsknęli śmiechem — a porucznik objaśnił, śmiejąc się także:

— Tej sztuczki wyuczył go Omnicz.

Prawda, że odpowiada ona zupełnie chara kterowi Fauna?...

Poczem przywoławszy psa, zaczął go ręką pieścić.

## KŁOPOT.

Wciągnięty przez pana młodego w najodleglejszy zakątek apartamentu prezesostwa, dokąd już nie docierały ani dźwięki orkiestry z tanecznej sali, ani gwar balu, wrócego najwyższym szalem o tej porze nad ranem — mały figlarny brunecik z niecierpliwością czekał na wyjaśnienie.

Nakoniec ten piękny, wysoki, trzydziestoletni szatyn, którego szczęście, zazdrość budzące we wszystkich, obchodzone dzisiaj tak hucznie, z niepojętym w takiej chwili wyrazem niezadowolenia a nawet zgryzoty w twarzy — zaczął:

— A więc posłuchaj mnie a zrozumiesz moją zasepioną minę, zrozumiesz, dlaczego wbrew twemu mniemaniu nie pragnę się was wcale pozbyć, dlaczego bym chciał przeciwnie, ażeby ten zgiełk i ta ciżba

trwały jak najdłużej... abyście wy... abym ja...

Urwał nagle, jak człowiek wyprowadzony z cierpliwości, powstał z kanapki, na której obaj usiedli, przymknął drzwi od sąsiedniego pokoju i powróciwszy, wzburzony, ponowił z większym naciskiem:

— Jestem najnieszczęśliwszym z ludzi — posłuchaj tylko.

Pamiętasz zaręczyny moje przed pół rokiem? Widziałeś wówczas dwoje ludzi, pijanych szczęściem, jakiem ich napełniła zamiana pierścionków.

Wówczas to, pod wpływem tego upojenia postanowiłem sobie, ponieważ termin ślubu był już umówiony, że... od dnia tego... należę do mej narzeczonej, do niej jednej... że odtąd przestają dla mnie istnieć inne kobiety, jako takie... że...

czyż nie rozumiesz mnie jeszcze?... że pierwszy nasz uścisk jako męża i żony będzie mym pierwszym uściskiem od chwili zaręczyn.

Przyrzekłem to sobie szczerze, uroczyście, czułem bowiem potrzebę i obowiązek tego przyrzeczenia, zarówno dla mej miłości, jak dla naszego przyszłego szczęścia. Miodowy miesiąc obok swej strony idealnej, którą kazi zbyt świeże wspomnienie pieśzchot innej kobiety, ma także swoją stronę fizyczną, ta zaś wymaga, aby nie

rzucać się w szaf jego wezbrany prosto z objęć innych, choćby dlatego tylko, że mogłoby się nie sprostać chwili...

Wszak prawda?

Trzymałem tedy na wodzy moje nałogi. Przychodziło mi to z początku z pewną satysfakcją, potem z niejakim przymusem, nawet z przykrością, nareszcie z męką — ale wytrwałem do końca, opierając się wszelkim tentacyom.

Co za tentacyom!... Jak nauczyły mnie one pojmować próby Antoniego pustelnika?!...

Dochodziło do tego, że rozmawiając z klientkami w mem biurze o najzawilszych i najpoważniejszych sprawach, gryzłem się w język, aby im nie zaproponować schadzki miłosnej. Pomimo perswazyi zdrowego rozsądku bowiem i względów natury zawodowej nie mogłem się oprzeć tej myśli. To też w końcu zmuszony byłem dla własnego spokoju i dla honoru biura w wszelkich sprawach z młodszymi kobietami zastępować się moim dependentem.

Poprostu sam widok kobiety, widok jej sukni, sam jej szum przyprawiał mnie o zawrót głowy — cóż dopiero zamiana spojrzeń, ten tak zdaje się niewinny z pozoru zwyczaj oczkowania na ulicy, w przechodzie, z jednego chodnika na drugi. Dawniej

mnie to bawiło — teraz sprawiało istne tortury.

Najwięcej jednak kłopotu miałem z moją sąsiadką.

Aktorka, kobieta arcylekkiego życia — brzęk naczyń, śmiechy kobiece i niekobiece rozlegają się u niej do późna w nocy — ale przepyszna istota! na którą niepodobnaby mi było w chwilach największej sytości spojrzeć bez dreszczu — teraz zaś, w miesiącach ścisłego postu, dostawałem formalnej febry na jej widok.

Nie wiem, czy ją znasz: Flora. Wysmukła, gibka, pełna zręczności i szyku brunetka o czarnych jak grzech oczach, któremi przepala cię do głębi — zupełnie w moim guście i gdyby nie ślub... dalibóg nie byłbym słuchał przez ścianę cudzych z nią śmiechów i trącań kieliszkami, ale sam byłbym się z nią śmiał do rozpuku i trącał do nieprzytomności.

Nie mogąc jednak pieścić tej czarującej kokietki a niezdolny jej omijać, bo na to zbyt była ponętną a przytem wabiła mnie niewątpliwie — starałem się dokuczyć jej przynajmniej mym oporem, który i dla mnie niemało był dokuczliwym.

Udawał się też jakotako na jawie jedynie — skoro tylko zasnąłem, byłem bezbronnym i moja



sąsiadka robiła wówczas ze mną, co jej się podobało ... Dyablica!...

Tak nadszedł wczorajszy wieczór.

Wróciłem do domu późno, przymuszony przez was, wbrew chęci, do tej pożegnalnej bibki — w następstwie podchmielony.

Przypadek — przeklęty przypadek! — chciał, że równocześnie stanąłem u mych drzwi, gdy ona stała u swoich w powrocie z teatru.

Rozumie się przywitaliśmy się, jako znajomi.

— Więc to jutro? — szepnęła, błyskając na mnie oczyma, ciemniejszymi niż zwykle, od podkreśleń, pozostałych z scenicznej charakteryzacji.

— Tak, jutro — odparłem, starając się wymknąć rękę z jej dłoni, ale napróżno.

— Jutro ... — powtórzyła z leciuchną ironią, cała schowana w swoje długie, czarne okrycie, rodzaj aksamitnego worka, potrajającego bezkształtnością swoją urok schowanych weń kształtów. — Od jutra będziesz pan już na zawsze nie do zdobycia!...

I poczęła wśród lekkiego kołysania głowy muskać delikatnie bladoróżowym podbródkiem puszysty boa z roztrzepanego baranka, który opasywał jej szyję.

Pewien siebie, odparłem od niechcenia,

zarażając się jej cynizmem, który trafiał w smak memu podochoceniu:

— O! jestem nim już dzisiaj!

— Już dzisiaj?... Ależ dziś jesteś pan jeszcze kawalerem... Dziś wolno panu jeszcze wszystko!...

— Prócz tego, czego sobie sam zabraniam...

Parsknęła śmiechem.

— Więc pan sobie zabraniaasz?... To wyborne!... I oddawna, jeżeli wolno wiedzieć?

— Odkąd panią poznałem.

— Czy to złośliwość?

— Nie — to hołd.

— A więc od pół roku, bo tak dawno sąsiadujemy. Pół roku! dla Boga — kawał czasu. Jeżeli to panu przyszło bez trudności, to... żal mi doprawdy pańskiej żony.

— i to w ustach pani, która je spotęgowałaś.

— A jednak wychodzisz pan zwycięsko. Podoba mi się to.

— Z powodu siły woli, jakiej dowodzi?

— E, nie... Ale z powodu... z powodu zapasu uczuć, jaki musiał się zgromadzić w pańskim sercu przez tak długi czas.

Muszą to być nieprzebrane skarby...

— W istocie — westchnąłem — i trudne do udźwignięcia.  
— Gdyby pan sobie nieco ulżył?  
— Z pomocą pani?  
— Ach nie, ale przysłałabym panu moją Rózię; ładna dziewczyna i podobałeś jej się pan.  
— Myślę, że nie będę miał Rózi na sumieniu.  
— Od zarozumiałego zadzierania głowy jeden tylko krok do potknięcia się.  
— Zapewniam panią, że się nie potknę.  
Zmierzyła mnie jednym z swych najniebezpieczniejszych spojrzeń i zbliżając ku mnie usta, szepnęła z umyślną afektacją:  
— Nawet na progu mego mieszkania?  
— Nawet — bo go nie przestąpię.  
Oddaliłem twarz od jej ust, których ciepło w głowie mi mieszało, ona zaś wybuchnęła śmiechem.  
— Więc pan mnie się boisz? To pochlebne!...  
— Dla pani?  
— Nie — dla pana. Jakże lękliwą i kruchą jest pańska cnota?!  
— Kruchą jest jak każda. Czy pani nie wie, że jest to najkruchsza rzecz na świecie... Ale lękliwą? — to znowu nie.  
— Dowiedz pan tego.  
— Jak?...

— Przyjm pan u mnie dzisiaj kolację...  
Wpatrzyliśmy się w siebie. Czulem, że przyjmując, narażę się niesłychanie.  
— Wahasz się pan?  
— Ależ... na co? — zapytałem.  
— Na co? Najpierw na to, abym miała z kim zjeść kolację — potem na to, abyś pan nie zmarnował ostatniej w życiu dozwolonej sposobności sam na sam z kobietą lekkich obyczajów — a wreszcie na to, że jestem niezmiernie ciekawą zobaczyć zachowanie mężczyzny, który od pół roku dotykał co najwyżej palców kobiety dłonią lub ustami.  
— Czyliż nie widzi pani tego już teraz?  
— Rzeczywiście. Idzie mi jednak o coś więcej — o sposób ubiegania się o pocałunek, o uścisk kobiety w podobnym nastroju...  
— Jakto? więc pani przypuszczasz?...  
— Jestem tego pewną.  
— Pani mnie zachęca?...  
— Ja pana zmuszę!... jeżeli zechcę naturalnie.  
— Lecz po tern wyznaniu ja zaproszenia przyjąć nie mogę.  
— Odrzucając je, przyznasz się pan do bezsilności.  
— Ależ ja nie należę do siebie.  
— Od jutra dopiero! Dziś należysz pan

jeszcze do każdej, która pana zdobędzie. Chyba że się pan zdołasz oprzeć, w co niebardzo mi się chce wierzyć, mimo pańskiej obrączki zaręczynowej.

— Tak?... A więc przekonam panią, że kawałeczek złota, opasujący palec, więcej znaczy, niż najpiękniejsze z ramion, zarzucone na szyję.

— Jak moje?

— Te właśnie miałem na myśli.

— Jest pan na dobrej drodze... Ale — jeszcze jedno. Skore pan przegrasz... nie miej do mnie żalu...

— Zgoda. Lecz co pani mi przyrzeka w przeciwnym razie?

— W przeciwnym razie — ja się utopię. Sądzę, że nie dopuścisz pan do tej ostateczności.

Weszła śmiejąc się — ja za nią, z lekkimi skrupułami sumienia, które starałem się zagłuszyć rozumowaniem, że idę tam — po zwycięstwo.

Aby mi dać czas ochłonać, czy też upić się do reszty, pozostawiła mnie w swym buduarze samego, pośród mebli niskich, rozłożystych, zmuszających przybierać niedbałe, wygodne, na pół leżące pozycje i marzyć.

Od sufitu sphywał blask różowej lampy, zewsząd biły silne, odurzające wonie per

fum i przypominały w rozmaity sposób kobietę, przybory jej stroju. Olbrzymia miednica na umywalni, otoczona rojem flakonów i słoików — nad nią lustro, w którym mimowoli szukało się resztek odbicia biustu, co tak często się przed nim obnażał, zlany wodą różaną. Przy łóżku z kotarami pantofelki małe, złote, o ostrych końcach. Łóżko wzorowo zasłane, podobne miną do starannie zapiętej sukni na pięknym biuście, która mimo swego przyzwoitego wygląda pobudza, aby się myślą pod nią wciskać, rozpinać ją, rozrzucać, zdzierać do nagiego ciała. Tu i owdzie fotografie Flory, duże i maleńkie, w kostiumach i w toaletach współczesnych, w pozach co jedna to smaczniejszych, każda z inną przyprawą. Na jednym foteliku wachlarz, na innym sznurówka, na dywanie puszek od pudru, opodal długa rękawiczka z palcami złożonemi do przysięgi, z której zdawała się drwić pustemi oczyma spoglądająca na ten gość uroczysty czarna jedwabna maska z koronką, zawieszona na mosiężnej klameczce okna. Na wszystkie strony kwiaty świeże i zeschłe i ponapoczynane bombonierki z cukrami.

I jak uroczystość napelnia nas w uroczystych miejscach, tak ja nasiąkałem zwolna atmosferą pieśzcot w tym przybytku po

całunków i uścisków — przedmioty bowiem i miejsca tchną zawsze tern, na co patrzyły. Naraz zebrała mnie ochota uciec, taki złowrózby opanował mnie niepokój, lecz w tejsze chwili kotara u drzwi uchyliła się i odsłoniła główkę, uśmiechniętą i wyrzucającą z pomiędzy ząbków słowa:

— Chciałabym wejść.

— Pragnę tego samego.

— Kiedy nie mogę.

— Czemu?

— Jestem bosa.

— A więc?

— Pantofelki moje tam stoją... niedaleko pana...

— Przeniosę panią do nich.

— Cóż znowu. Daleko prościej przynieść je do mnie.

— Wie pani co? — wybierzmy środek. Niech pani zbliży się cokolwiek — a i one podejda ku pani.

— Ależ na co?

— Abym je mógł sam włożyć na nóżki.

— Co? już panu w głowie podobne rzeczy? Nie myślałam, że to tak prędko pójdzie.

— Cóż w tern złego?

— Złego nic — ale to pana zgubi!... Lecisz pan w płomień na oślep.

— Przeciwnie — odrzekłem śmiejąc

się — pragnę okazać pani, jak jestem ogniotrwały.

— A no próbuj pan.

Weszła w szlafroczk z jakiejś japońskiej jasnej szeleszczącej materyi, skrojonej jak prosty płaszcz a przepasanej grubym sznurem — i wysunęła nieco z pod niego nóżkę w jedwabnej, czarnej pończoszcze.

Założyłem jej pantofelki jeden po drugim, starając się panować nad sobą — bo te żywe, ciepłe, drgające stopy kusiły mnie jak jakieś małe a ładniutkie zwierzątka, aby je przytrzymać i pieścić: ztąd pewne roztargnienie.

Skarciła mnie za niezręczność.

— Nie umiesz pan kobiet obuwać.

— Rozzuwam nierównie składniej.

— Nie wątpię.

Tupnęła nogami i ściągając węzeł sznura w pasie, zawołała:

— A teraz?

— Teraz?... — zapytałem, obejmując ją wzrokiem i uczulem, że cierpnę, po pewnem spostrzeżeniu... Nie miała na sobie sznurówki...

— Teraz — broń się pan!

I napół usiadła, napół położyła się na szerokiej kanapce, o skrzyżowanych w dwie

strony oparciach, które siedzące tu osoby zamykały jak w wąwozie.

Wąwóz ten stał się mem — Waterloo.

Czemuż budują podobne sprzęty? dlaczego ona była tak powabną? ja tak wrażliwym?!...

Ba! pół roku najściślejzego postu — a potem naraz wyborna kolacya, wyborne wino i tuż obok wyborna kobieta, do której zbliżywszy się zanadto, zapomina się o całym świecie i upada, jak meteor, co musi spaść na ziemię, skoro w kroczy wsferę jej przyciągania.

Wołało coś we mnie wprawdzie chwilami rozpaczliwie: Szaleńcze! co czynisz! na co się narażasz? — lecz ja głuchy byłem na to wołanie, jak głodny pies głuchym jest na obawę plag, skoro się znajdzie w pobliżu mięsa. Pięćdziesiąt razy go już obito za rabunek, wie, że i tym razem baty go nie miną — a mimo to zje, zje wszystko do ostatniej kosteczki, ponieważ baty są jeszcze za drzwiami, a przysmak tuż pod nosem...

Upadłem też, upadłem z całym rozmachem człowieka, który nadużył swej cierpliwości i zbyt zaufał w swe siły — ona zaś zatrzymała mnie w tym upadku z całym łakomstwem kobiety, uradowanej okazyją splątania figla innej, z całym znawstwem kokoty, w której ręce dostał się specyał.

Bo byłem nim — wczoraj.

Nie jestem nim już — dzisiaj.

O godzinie dziesiątej rano opuściłem buduar Flory z sercem pustym jak klatka, z której ptak wyleciał — bez serca ; z głową wysuszoną jak rodzynek — bez głowy. Opuszczałem jej mieszkanie, jak się opuszcza dom gry — z pustką w kieszeniach, które się wniosło pełniuteńkie.

Byłem tak wyczerpany, że nie stać mnie nawet było na powiedzenie sobie samemu, że popełniłem podłość — nie zaprzeczaj...

Po kilku godzinach snu dopiero wyznałem to sobie szczerze, otwarcie, z wściekłością.

Bo popełniłem ją!...

Do tego stopnia ubóstwiać tak tego godne młode, pełne tkliwości, bez granic oddane mi dziewczę i w zamian za jej niewinność nie odwzajemnić się nawet falsyfikatem niewinności, sztuczną niewinnością paru miesięcy, którą oddałem prostej zalotnicy...

Ach, czy podobna postąpić sobie niegodziwiej?! — Lecz czy podobna być nieszczęśliwszym?

Pomyśl tylko, w jakim znajduję się położeniu. Całą wymowę mych uczuć, zbieraną skrzętnie przez pół roku w tym celu, aby ją złożyć u stóp innej — wyszafowałem

jak szaleniec wczoraj dla tej uwodzicielki, która ogołociła mnie ze wszystkiego, co miałem do powiedzenia, aż do ostatniego słówka, do ostatniego miłosnego szeptu — tak że dzisiaj nie mam już nic do wyznania lub bardzo mało, za mało na chwilę, w której powinno się być porywająco wymownym!...

Więc drzę w miarę zbliżania się tej chwili, drzę coraz bardziej, tak jak źle przygotowany student, który najlepiej czuje wszystkie braki swej wiedzy przed samym egzaminem.

Za chwilę rozejdziecie się — a ja — ach!...

Dlatego błagam cię, zaklinam! zachęcaj młodzież, dodawaj ochoty, zatrzymuj ich, zatrzymuj jak najdłużej... a wyświadcysz mi przysługę, dobrodziejstwo — zbawisz mnie! O nie śmieję się — ty nie jesteś w stanie wyobrazić sobie mojej sytuacji.

— Czyż naprawdę tak się roztrwonileś?

— To była orgia szalonych!... Piekielna kobieta, nie doświadczyłem nigdy czegoś podobnego...

— W każdym razie dziwię ci się trochę... Wszak będziesz mógł żonę swą wynagrodzić później nieco... Ona nie może mieć przecież żadnych określonych wymagań... nie pozna się.

— Nie pozna się może dziś — ale oceni to jutro, za miesiąc, za rok, gdy sobie przypomni...

— Ale co tam, bądź dobrej myśli. Pomy tylko, jak jest późno — jak ona będzie znużoną...

— Ach dobrze, żem sobie przypomniał. Proszę cię, tańcz też z moją żoną, mój drogi, jak najwięcej... To ją znuży...  
pojmujesz?

— Dlaczegoż sam z nią nie tańczysz?

— Z najprostszej przyczyny: ja się potrzebuję oszczędzać.

— Prawda.

— I jeszcze jedno: proszę cię o sekret, na dziś. o tern co słyszałeś.

— Tylko na dziś?

— Jutro Flora i tak roztrąbi swój tryumf.

— Jeżeli chcesz, mógłbym ją zobowiązać do dyskrecyi.

— Czyż ty ją znasz?

— Dotąd nie, ale... Wszak ona nie jest zbyt trudną przy zawieraniu znajomości?

## WYBÓR.

Zmierzch padał, gdy stary Trawnik, koszykarz, człek w domu i rzemiośle zarówno energiczny, właściciel tego odosobnionego domku nad rzeką i ojciec obu tak dorodnych dziewcząt, z pękiem młodej wikliny na plecach a fajką dymiącą w gębie, powracał z wybrzeża. W tej samej chwili, kiedy wkroczył do izby. żona. przybierając obojętną minę, urwała nagle swary z zmieszaną bardzo starszą córką Salomeą, plotącą właśnie duży okrągły kosz o dwojgu uszach, tak zwaną duckę.

Lecz stary miał bystre oko i zmiarkował natychmiast, że dzieje się coś niezwykłego.

Natury wybuchliwej, gorącej, nienawykły do długich, przemyślnych badań, rzuciwszy wiązkę złotozielonawych prętów na ziemię, odrazu wlepił swoje groźnie połyskujące ślepie w obie kobiety i tak je przyparł do muru, że się ta najbrzydsza

rzecz w świecie, dziś dopiero, przypadkiem przez matkę odkryta, w całości teraz i przed ojcem wydała. Salusia była w ciąży.

Okropny zamęt powstał w domu. Trawnik wyciągnął dziewczkę z pomiędzy kupy pręcia i wyrwawszy jej z rąk splatany kosz, począł ją kijem okładać, aż wyła z bólu, wzywając na pomoc wszelkie znane sobie świętości. Ledwie starej powiodło się ukryć córkę przed razami, ale nie uchroniła jej od słów, któremi ojciec, zapieniony z pasyi, bezcześcił ją od ostatnich. Co za zakąła na dom! co za przykład dla tamtej! młodziej!...

Skoro ten ostatni argument doszedł uszu Salusi, wysunęła zabeczoną twarz z po za fartucha i wyłkała na swą obronę:

— A cóż to ona odemnie lepsza — czy co?

— Salka! — wdała się z oburzeniem matka — siostry mi nie obmawiaj, kiedyś sama taka!

— Jąkam? jaka? — szlochała dziewczyna. — Niech się jej mama tylko przypatrzy, a pozna mama, żeśmy obie jednakowe.

Zarzut to był niesłychany. Wobec niego Rozalia, której długa nieobecność w izbie

zaraz wydała się podejrzaną, winna była usprawiedliwić się osobiście.

Odnaleziono ją . jak rak czerwoną. w drewni, gdzie z szczególnym zapaleniem rąbała szczapy i niestety po krótkiej indagacji okazało się, że Salka mówiła prawdę.

Jeszcze też ściany Trawnikowej chaty nie widziały nigdy tego, co się tam owego wieczora działo i nie słyszały z ust starego podobnych jak wtedy rzeczy. Było to istne piekło! Starzy poszli spać o godzinę później niż zwykle, zapomniawszy drób wpędzić do kurnika i "zbója" z łańcucha spuścić — a dziewczęta, zbite, sponiewierane, jedna z urwanym rękawem, druga z rozdartą szpetnie spódnicą, obie pozbawione koralików, które leżały rozsypane po wszystkich kątach izby, późno w nocy wsunęły się z sionki cichaczem i po omacku, zziębnięte, gdy już rodzice, posnąwszy, rozchrapali się na dobre.

Nazajutrz, skoro świt, nowy zgiełk, nowe razy i śledztwo. Córki z rękoma i twarzami, pełnymi wczorajszych sińców wszelakiej barwy, usłyszały swoje, matka swoje, Wszystkim trojgu dostało się z wypoczętych pięści starego obficie, tej za niedozór, tamtych za szelmstwo.

Aż wreszcie kije wypłoszyły prawdę. Wyszło na jaw, że sprawcą niespodziewa

nego w rodzinie skandalu był młody "jegier", szeregowiec, którego z powodu zaległych podatków, pod nieobecność Trawnika, bawiącego podówczas na jarmarkach z koszykami, trzy miesiące temu przysłano "na egzekucję". W dni kilka dopiero Trawnikowa, zapożyczwszy się na gwałt u znajomych, pozbyła się tego, zdawało się zrazu, wielce ucieśnego i z niezłym sercem chłopaka, chociaż o nienasyconym żołądku, dziś jednak dopiero widać, co za gałgana i huncwota. Tydzień tylko bawił i oto, jak się spisał. Na wiele się zdała baczność, jaką Trawnik krewkie swe dziewczki od zawitania lat niebezpieczeństwa otaczał.

W chacie koszykarza nastały przykre czasy. Dziewczęta pracowały wprawdzie z zdwojoną gorliwością, odgadując każde życzenie ojca, ale nie wystarczało to, by okupić ich straszne winy. Wyrzuty i złorzeczenia nieprzerwanym gradem spadały na ich głowy, na kułakach też nie zbywało — jedynie matka znalazła dla siebie wobec gniewu męża skuteczną tarczę w słowach:

— Tylko też mnie nie winuj! Czemuś w porę nie zapłacił podatku?...

Snuły się więc biedaczki po kątach, popłakując, niewiele mając do powiedzenia

jedna drugiej, schodząc rodzicom zagniewanym z oczu, jedząc, pijąc, śpiąc nawet ukradkiem — i przez cztery miesiące obnosiły w ten sposób po domu wstyd swój, coraz widoczniejszy.

Naraz Rozalia, natężająca się ze skruchy nad miarę w robocie — poroniła. Matka, i tak znaczną część surowości okazująca im ze względu na starego, który nie folgował w gniewie, złagodniała dla niej wówczas zupełnie. Ojciec zaś, już podczas słabości dziewczyny, gdy dziecię zmarło, mimowolną litością zdjęty, potem napowrót ją do łask przypuścił.

Tern przykrzejszą za to była dola starszej, Salusi, która teraz za obie dźwigać musiała ciężar oskarżeń i wyrzutów. W niczem zaś nie zmieniło się jej na lepsze, kiedy powiła w dwa miesiące później zdrowego i silnego chłopca. Przeciwnie — najpierw złożona niemocą, potem nieustannie potrzebna dziecku, na nic teraz nie będąc w domu przydatną — na każdym kroku oskarżała się oczom rodziców tern zawieszonem u swej piersi niemowlęciem, które było hańbą i ciężarem rodziny.

Ojciec też nieustannie jej dawał uczuć ogrom jej grzechu. Nie mógł bez gniewu na nią i na jej malca patrzeć i w jej obe

cności brwi mu się marszczyły, rozdymały nozdrza, a wąsy kłapały groźnie.

Czasem tylko, gdy był sam w izbie i kiedy go nikt nie mógł podpatrzeć, podchodził ukradkiem do bębna, sapiącego przez sen w kołysce i z zajęciem, z nieokreślonem wzruszeniem przyglądał się jego drobnutkiem delikatnym ręczynom i buzi pyzatej. Czasem go nawet pokołysał zlekka, doznając dziwnej przyjemności przy oddawaniu tej drobnej usługi maleństwu, które bez jego wiedzy i woli śmiało mu się narzucić na wnuka. W starym budził się dziadek w chwilach takiego sam na sam z niemowlęciem, które go uwalniały od kłamstw i przymusów, jakich tyle narzucają — oczy ludzkie. Zrywał się wszakże i odchodził, usłyszawszy czyjeś kroki, a jeśli dziecię zapłakało, natychmiast strofował Salkę:



— Ty! czemu dziecka nie pilnujesz? to taka z ciebie matka?!

Poczem wychodził na dwór zapalić fajkę. Czynił to zawsze od pojawienia się dzieciaka w chacie.

...Raz, w piękny dzień wiosenny, przybył stary do domu z wielką nowiną, dla której zakomunikowania wyciągnął żonę za próg, gdzie oboje usiedli na pniaku.

Sąsiad ich niedaleki nad rzeką, samotny

rybak, wdowiec, schorowany starzec, którego ostatniej zimy sparaliżowało, dogorywał. Trawnik odwiedziwszy go, dowiedział się, że staruch, czując bliską śmierć, zamyśla sprowadzić do siebie synowca, świeżo wysłużonego wojaka, ożenić go i oddać mu chatę wraz z całym przyborem rybackim.

Otóż nadeszła — sądził Trawnik — sposobność, jakiej nie godzi się pomijać. wydania której z dziewcząt. W miasteczku bowiem, choć oddalonym od chaty, wiadomo dobrze, co w niej zaszło i o męża ztamąd będzie niełatwo.

Tu zaś ma przybyć chłopak młody, zamożny, obcy, nieświadom niczego, równie jak i jego stary stryj.

Trawnikowej myśl ta trafiła do przekonania. Uradzono tylko oddalić z domu chłopca Salki, bo chociażby kawaler ku Rózi uczuł skłonność, mogłoby go jednak zrazić, że w domu tym podobny wypadek zaszedł.

Kiedy nazajutrz wóz zajechał przed chatę, ojciec musiał Salkę zburczeć za jej szloch i lamenty groźbą: "Ejże! bo ja i ciebie z twojem małym na cztery wiatry przepędzę!..." — gdyż zapłakana, wycalowując bez końca dziecko, które się darło w niebogłoso, niby protestując przeciwko

rozstaniu, z taką Żalobą podawała je matce, jakgdyby ta zamierzała je utopić... Odwieziono malca do krewniaczki o mil parę.

Niedługo potem zjawił się synowiec rybaka, młody, rumiany dragał, pośpiewujący, pogwizdujący, którego od tej chwili na wodzie i na lądzie było pełno.

Najpierw cała rodzina obejrzała go i osądziła zdaleka, rodzice głośno, córki w głębi duszy. Sąd wypadł przychylnie.

Potem raz wpadł niby to pożyczyć wideł, dowiedziano się, że mu na imię Wincenty — i znajomość została zawartą.

Ku uciechu całego domu okazał się bardzo ciekawym do dziewcząt. Często zaglądał w opłotki i chętnie z dziewczkami gawędził. Nie wiadano tylko, którą przenosi. Kiedy bowiem był z Salką, zdawało się, że woli Salkę, przy Rózi — wyraźnie miał się ku niej, skoro zaś znalazł się z obiema naraz, poprostu do obu się zabierał. Stąd nawet Trawnikówna zaczęły się na siebie bocyć.

Wówczas stary postanowił, że należy wahającemu się kawalerowi pomódz w wyborze, podsuwając jedną z dziewcząt. Wyznaczył Salkę, a to dla tego, że Rózi, której błąd nie pozostawił śladu, zresztą młodszej, łatwiej zawsze będzie o męża.

Zaczął tedy podsuwać młodemu rybakowi starszą koszykarską, którą znajdował zawsze przy pracy, ale zawsze ochędźnie odzianą, a przy tem odznaczaną jawnymi względami rodziców, na świadectwo jej przymiotów. Różia, przeciwnie, z musu zaczęła chłopca unikać. Nie wolno jej było kwiatka we włosy wetknąć, chodziła zamorusana i pełne miała uszy wcale niezasłużonych strofowań, których znów celem było zozydzić ją kawalerowi, jako niewiele oczywiście warte, kiedy tak pomiatane przez wszystkich ladaco.

Niebawem też Wicek skierował swe umizgi ku Salomei.

Rózię jednak, łakomą męskiego towarzystwa, oburzała ta polityka rodziców, krzywdząca ją niesłusznie.

— Co ja mu mam z oczu schodzić, kiedy mi nie krzyw — buntowała się, skoro matka odwoływała ją z podwórza na sam widok rybaka.

— Tyś mu nie w głowie, to za nim nie łaż — w myśl pouczeń starego mówiła Trawnikowa.

— Już ja tam wiem najlepiej, czym mu w głowie, czy nie, a i to wiem, że na Salkę by się nawet nie obejrzał, choć mu

ją tak pchacie, skoroby wiedział o jej dziecku!...

Stara, przelękniona, tupnięciem nogi spieszyła zagłuszyć niebaczne słowo, przypominając młodziej córce jej winy. Ale Różia odpowiadała z głębokim przekonaniem o swej nad siostrą wyższości:

— Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Mądre zarządzenia Tawnika wydały niedługo skutek. Pewnej soboty koszykarz, wybadawszy wpierw starego sąsiada, nakazał żonie przygotować się na rozstrzygającą wizytę kawalera. Salce udzielono pomyślnej wieści, jako interesowanej. — Różia, wydalona z izby pod pozorem zajrzenia do chlewa, skąd ojca doleciał rzekomo kwik nadto podniesiony, podsłuchiwała wszystko przez drzwi.

Wicek przyszedł nazajutrz w odświętnym surducie, w białym, czystym, odbijającym od jego opalonej twarzy kołnierzu, i z pewnem zażenowaniem przywitał oboje starych, którzy dla zachowania godności udawali, że jeszcze o niczem nie wiedzą, utrudniając tem nieco sytuację kawalerowi.

Nareszcie ogródkami, bo wydawały mu się czemś delikatniejszym od wyluszczenia wprost rzeczy, oświadczył im, że z wiedzą stryjaska, który dla choroby towarzyszyć

mu nie może, przybył prosić, aby mu oddali córkę za żonę.

Nastąpił uścisk obu mężczyzn, ucałowanie rąk Trawnikowej, na którą od uroczystości chwili uderzyły poty, poczem koszykarz zawołał do niej ukontentowany:

— Stara! skoknijno po Salkę.

Trawnikowa natychmiast zwróciła sięku komorze, gdzie Salusia, ze względu na święto i spodziewane oświadczyni wystrojona, czekała jak na szpilkach, czując raz w raz przebiegające ją od stóp do głów ciarki.

Ale Wicek zatrzymał Trawnikowe w pół drogi.

— Pannę Rozalię z przeproszeniem — poprawił.

— Nie Salcie? — zadziwił się Trawnik, wytrzeszczając oczy. — Bo my myśleli, że pan Wincenty wedle Salki chodzi.

Tak na to jakoś od miesiąca patrzało...

Kawaler, zwlekając z odpowiedzią, płaszczyl kapelusz na kolanach. Przytem cera jego, z natury czerwona, stawała się zwolna arcyczerwoną, jak u człowieka, znajdującego się w dużym kłopotcie.

— Żeby nie skłamać — odważył sięw końcu — tom po prawdzie względem panny Salomei... niby... żem się miał do

niej. Ale jakem się dowiedział, że panna Salusia ma małe...

Trawnik porwał się z zydła.

— Co znowu! A któż to panu Wincentemu takich bajek naplótł!...

Kawaler wszakże odparł z przekonaniem:

— Nie, żebym to chciał ubliżyć pannie Salusi, ale ja wiem od pewnej osoby.

— Ciekawa rzecz, od kogo?

— Nie mogę powiedzieć.

— Jakto pan Wincenty nie może, kiedy o takie rzeczy idzie?

Milczał — oni czekali; wreszcie wydusił z siebie:

— Ha, skoro mnie państwo przypieracie, to się przyznam, że od panny Rózi.

— Co?! Różka by śmiała powiedzieć takie paskudztwo na siostrę?! — uniósł się ojciec, któremu matka przywodziła mimicznie załamaniem rąk, pełnem zgrozy.

— Niech to będzie bez urazy, ale przecie lepiej, że mi zawczasu powiedziała, niż żebym się miał dowiedzieć po wszystkim. Zresztą panna Różia przyznała się po szczerości, że obie miały ten przypadek, tak w tern nie było ani obmowy, ani nic znowu tak złego, skoro wiadomo, żadna dziewczyna, nie trza państwu mówić, nie jest święta... Ale se myślę: po co mi cudze chować!... — a że miałem do obu

serce, wiec proszę o Rózię. Stryjaszek wie o wszystkim.

— Ha no, to idź matka po Różkę — mruknął stary z rezygnacją, zmuszony po godzić się z położeniem.

Wtem ukazała się Salusia, która nie mogąc wytrzymać w komorze z niecierpliwości, odważyła się wejść, w mniemaniu, że wejdzie w samą porę. Wystrojona i uśmiechnięta. stanęła przed oczyma ojca z miną dziecka, które wie, że sprawia rodzicom pociechę.

Na ten widok z pod obwisłych brwi Trawnika błysnęły dawne gniewy, a błąd starszej córki dwa razy wydał mu się jaskrawszym pod tą wesołą i strojną postacią.

— Czego tu chcesz? — wybuchną! —  
wołał cię kto?

A kiedy wylekła cofnęła się w tył, nie pojmując tego przyjęcia, zawołał jeszcze surowiej, grożąc palcem:

— Ruszaj mi zaraz po Rózię. a sama zdejm te szmaty, żebym cię nie nauczył, komu się to tak wystrajać! Ty!!...

## OPIEKUNOWIE.

Pewnego dnia, rano, drzwi się otwarły i jakaś kobieta, omatulona w chustki, niemłoda, wyglądająca w połowie na ubogą małomieszczankę, w połowie na chłopkę, podobna do stu takich samych kobiet, przybywających na targ z mleczy wem, lub drobiem, zapytała Paulinę piskliwie, czy nie potrzebuje jaj. Wszczął się targ, uwieńczony kupnem, w wywiązanej zaś stąd gawędce Paulina, która udawała mężatkę przy każdej nadarzonej sposobności, wspomniała coś o nieobecny mężu. Wtedy rozmowna kobiecina spytała ją o dzieci, a usłyszawszy, że ich nie ma, zaczęła ubolewać:

— Musi pani być smutno, przez cały dzień, tak samej.

— Pewnie.

— Wzięłaby Robie pani Da wychowanie jakie, albo co?

Paulina zastanowiła się chwilę. Przechodziła myślą niektóre nudniejsze godziny dnia, spędzane w przymusowej samotności, ponieważ główny jej, na teraz, przyjaciel był zazdrosny. Nakoniec rzekła:

— Gdyby się trafiło ładne, możebym i wzięła.

— A co: dziewczynkę — czy chłopca?

— O! dziewczynkę? tylko dziewczynkę!...

Jak to dobrze! przybyła ma właśnie dziewczynkę na zbyciu. Bardzo to dziecko kocha, ale że w domu bieda, chętnieby ją, więc oddała w porządne miejsce na wychowanie.

Od słowa do słowa umówiły się, że w najbliższy dzień targowy przybędzie ją pokazać.

Stawiła się wedle obietnicy, przyprawiając małą dziewczuchę, czysto wymytą, wyczesaną i ubraną, aby się jak najlepiej wydała — Paulinie zaś spodobał się nieszpetyny buziak dziecka o oczach nieco dzikich, ale ciekawie i z życiem strzelających dokoła. Wzięła ją. Łzy ukazały się w oczach matki. Nie mogąc się dość nadziękować dobrej pani za jej szlachetność, w dobranych zwrotach wpajała w małą naprędce poczucie obowiązku

jak największej wdzięczności, szacunku i przywiązania do dobrodziejki. Niezmiernie rozczulona, polecając biedactwo łasce Pauliny, odeszła z obietnicą odwiedzenia dzieciny za miesiąc.

Nie pokazała się lat sześć.

Mała rozwijała się konsekwentnie pod okiem swej opiekunki, którą nazywała cicią.

Powierzchowne wrażenia wielkiego miasta, jego ruch, jego zbytek, różnorodność wieczornych przechadzek, wszystko to lgnęło do umysłu Salki o wzdętym brzuszku i niezgrabnych ruchach chłopskiego dziecka, nieznacznie przeobrażając ją w gibką i zgrabną Lusię. Wcześniej nauczyła się przepadać za ulicami przysłoniętymi nocą, za wesołymi napaściami mężczyzn, zagląających w oczy zuchwale i zastępujących drogę, którzy potem pojawiali się w domu, skąd wysyłano ją do oddalonych sklepów po wędliny lub ciastka.

I zanim stała się zdolną osądzić źródła dochodów swej cici, już oswoiła się z nimi i polubiła je, bo zapewniały one stroje, przysmaki i wesołe towarzystwo. Równoległe z tem zaś wykształciła w sobie tkwiącą w każdej kobiecie umiejętność postępowania tak, aby być upragnioną.

Paulina znała się na tej sztuce — po

święciła jej życie. To też Lusia, wiotka blondynka z niebieskimi oczyma, umiędami patrzeć głupiutko a widzieć sprytnie, stanowiła wyborną parę u boku tamtej, okazałej brunetki, spoglądającej roztropnie i śmiało. Kto na nie spojrział — jeśli nie zajęta go jedna, znaczyło to, że na pewne zadowolili go druga i na odwrót: dopełniały się — a przynajmniej młodsza obiecywała w niedalekiej przyszłości godnie dopełniać starszą.

Tymczasem, co parę tygodni, najczęściej w uroczyste święta, pisało się list do rodziców. Listy te, które dyktował zawsze ktoś z obecnych przyjaciół cici, ponieważ Paulina sama nie dość była mocną w stylu, obok próśb o odwiedzin, pełne były wygórowanej chwalby dla opiekunki i stanowiły rodzaj apoteozy, na którą złożyło się wiele piór, wyszafowując w nich zgodnie prawdziwe skarby humoru, chociaż Paulina baczyła pilnie, by się tam nie zakradło jakie głupstwo, mogące ją skompromitować.

Niekiedy przyszła odpowiedź od starych. Nie brakło w niej nigdy pozdrowień i błogosławieństw dla Pauliny — lecz co do odwiedzin, te stale okazywały się niemożliwymi. W domu bieda, roboty co niemiara, drogi kawał, przytem ojcu, jako

woźnemu sądu, oddalać się z miejsca prawie nie sposób.

W takich okolicznościach zastał Lusię siedemnasty rok życia, z wychowawicy pasowaną już na towarzyszkę Pauliny, która młodej, wiernej towarzyszki potrzebowała coraz bardziej.

Pewnego przedpołudnia, pod nieobecność obu kobiet, zjawiła się w kuchence, położonej na wstępie mieszkania, para starych, w zakurzonej odzieży i z spotniałymi twarzami ludzi: woźnostwo, którzy przybywszy do miasta na odpust, przy okazji zacierają odwiedzić jedynaczkę.

Przyjęła ich służąca oświadczeniem, iż żadnej z pań nie ma w domu.

Woźny, ogorzały drab, z gębą, zapuszczoną kudłami, wygolonymi tylko na samym końcu brody, spojrzął na żonę, ona na niego. Żadnej z pań?... a Salka?

— Panna Lusia — poprawiła sługa. —

Właśnie pani i panna Lusia wyszły razem na spacer.

Woźnostwo spojrzeli na siebie powtórnie, zdumieni. Panna Lusia?!...

Zainteresowany wielce woźny, począł sługę zwykłym trybem wypytywać: czy jej tu dobrze? jaka dla niej pani? pan czy młody, czy dobry?...

— Co za pan? — zapytała sługa.

— No wasz?

— Albo to my jednego pana mamy! — rozśmiała się. — I młodych i starych, jakich kto chce!... Ale dobrzy panowie, ani słowa, a najbardziej starzy...

Nie zrozumiał tego na razie woźny ani jego żona, chociaż oboje pilnie słuchali, przypatrując się mówiącej z znacznym zajęciem. "Jakto? aż tylu panów?!..." — pomyślał mąż i spytał:

— Cóż to za panowie?

— No... nie rozumiecie to?... — z znaczącym uśmiechem szepnęła służąca — kawalerowie, co przychodzą z miasta względem zabawy...

Wlepił oczy w mówiącą i spytał:

— Do której przychodzą?

— Teraz, to już do obu.

— Taaak?!... — zawołał przeciągle, marszcząc się. — To twoja pani taka?!...

Po tych słowach dopiero służąca, zmiarkowawszy z ich tonu, że się wdała w niepotrzebne poufaleści, zmierzyla go nagle i zapytała z góry:

— A niby któż pan jesteś taki?

— Kto ja taki?!... — nadziejąc czapkę na głowę z energią, powtórzył. — Poczekaj, zobaczysz wnet ty i twoja pani, kto ja taki!... Chodź stara!

I pociągnawszy żonę, wyszedł popędliwie.

Ledwie znaleźli się za progiem, zatrzymał ją ręką i utkwivszy w jej twarzy osłupiałej swe pałające oczy, milcząc wskazał na opuszczone drzwi i głową potrząsnął. Potem pogroził gniewnie laską i zwolna niezgrabnie, nie będąc przyzwyczajonymi do schodów, zaczęli zstępować na dół.

Ta trudna przeprawa pochłonęła całą ich uwagę, tak że dopiero na ulicy woźny dał folgę oburzeniu, nie szczędząc najsurowszych a bardzo brzydtko brzmiących wyrazów dla napiętnowania haniebnego postępku Pauliny, za który groził straszną pomstą.

— Ja miałbym darować takie paskudztwo zrobione z dziewczyną?!... Oho! ze mną sprawa!

Wyszukali podrzędną kawiarenkę, która ohydnymi drzwiami i potwornie nabazgranym szyldem najwierniej przypominała im podobne zakłady rodzinnego miasta. Tu zaczęli się rozgrzewać jedną kawą po drugiej, dolewając obficie rumu.

Tutaj też, bijąc się w piersi pięścią i w stół nią stukając, długim wywodem moralnoobyczajowym umacniał się woźny, przy potakujących skinieniach żoninej głowy w zamiarze srogiego odwetu za krzywdę, jakiej ofiarą padła Salka. On, sługa sądowy,

zna się na takich sprawkach i wie, czem to pachnie.

Skoro silny i podniecający trunek buchnął obojgu do głowy, woźny znalazł się wnet w gotowości natychmiastowego poczynienia pierwszych kroków a żona potakiwała mu stale. Poszli do Pauliny. Świeże powietrze ulic, potem spinanie się na schody, zamąciło im nieco w głowach i już ze zmniejszonym, ale jeszcze jakim takim animuszem wkroczyli oboje do kuchni. Rozgarniając na prawo i lewo duże jak wiechy wąsiska koloru piwa i spadające z obu stron twarzy szmaty urzędowych bokobrodów, myślał: co będzie, to będzie, ale wyrznię prawdę tak, że jej w pięty pójdzie!...

Zaledwie jednak znaleźli się w kuchni, na widok dwu elegancko ubranych kobiet, z delikatnymi minami prawdziwych dam, energia w woźnym osłabła. Skoro się czegoś nie ma w zwyczaju, zdobyć się na to od razu trudno. Woźny zaś w całym swem życiu bardzo niewiele rozmawiał z daniami a szorstko to już do żadnej nie odezwał się nigdy. U siebie miał do czynienia tylko z chłopstwem, ekonomowe zaś, nawet przez pół nie tak wspaniałe, jak Paulina i Lusja, już go onieśmielały.

Więc zmieszał się i daremnie próbował

naprzód wysunąć żonę, ponieważ ona tym samym manewrem chowała się za niego. Ze szczętem zapomnieli języka w gębie.

Kiedy Paulina, z łaskawym i dobrotliwym uśmiechem odezwała się:

— A! twoi rodzice Lusi!... Nareszcie przypomniałście nas sobie państwo!... — woźny doznał niespodzianie uczucia, podobnego do wyrzutów sumienia i wstydu, jakby z powodu zamierzonej niesprawiedliwości.

Paulina zaczęła tymczasem mówić wiele przyjaznych rzeczy, zdając się bardzo ucieszoną ich przybyciem, witając i wpytując o zdrowie żonę, którą poznała natychmiast i znalazła doskonale zachowaną od lat tyłu. A wyrzutem, iż się do nich wybrali w odwiedzinie tak późno, nadawała ton tak ciepły i obowiązujący, że podochoconą parę przepelniła wkrótce gwałtem narzucona przez to uprzejme przyjęcie unizoność i przychylność.

Kiedy otwierając drzwi przed gośćmi, zaprosiła ich dalej, onieśmieliło ich to do reszty. Woźnowa czekała, co mąż uczyni, on zaś, na widok wzorzystym dywanem zasłanej posadzki, po której kazano im stąpać, doznał takiego mniej więcej uczucia, jak gdyby mu w zabloconych butach

wypadło wieść na świeżym obrusem zastany stół.

W pokoju, umeblowanym bajecznie, czekały talerze z jadłem i napitek.

Widok smacznych potraw rozbraja najtwardsze dusze, tak się też stało z woźnym i we wszystkim naśladowującą go żoną.

Jedli, pili. oczy im błyszczały, usta same coraz częściej rozszerzały się do uśmiechu i wzbierała gwałtowna Żądza całowania hojnych rąk gospodyni oraz ambicya okazania się godnymi tak wysokiego stopnia przychylności.

Z nieskończoną wiarą i zaufaniem słuchali z po za swych pełnych talerzy i szklanek wszystkiego, co Paulina opowiadała o przywiązaniu Lusi do siebie, o tern, że nigdzieby jej nie było lepiej niż tu, że największą przykrością dla nich obu byłoby rozłączenie — i tym podobne rzeczy, których sens napół nieprzytomnie, z trudem pochwycawszy, woźny uroczyście pospieszył uspokoić tajemne obawy Pauliny.

— Brać ją?... — mówił — a któżby teżdziewczynnie robił taką krzywdę!... I gdzie brać? do domu? do nas?...

Wykrzywił się wzgardliwie.

— A cóż onaby robiła w tej dziurze!...

Lusia stojąc zdaleka i z obawą przy patrząc się tym biednym, zapracowanym

ludziskom, którzy mieli być jej rodzicami, z obawą, aby nie zechcieli ją zabrać ze sobą — odetchnęła radośnie po tych słowach. Lecz na znak jakiś Pauliny wyszła do kuchni.

Woźny, wzruszony do głębi, zdawał się walczyć z jakiemiś, na usta cisnącemi mu się wyznaniem, z tą szczerością pijanego, w którego trunkiem napełniającem się wnętrzu zdaje się braknąć miejsca na skrytości i tajemnice — wreszcie zaczął poufnie, trzymając w ręce przygotowany do wychylenia kieliszek:

— Przyznam się pani, że w pierwszym momencie, jakem pomyślał, co się z dziewczyną dzieje, tom ją chciał odebrać.

A jakże! nie zapieram się... Ale za serce — serce. Tak teraz, widzący, jaka się z niej zrobiła panna — a któżby jej też los chciał zawiązywać!... Ona się tu wydać gotowa!... Ojej! sam znałem takie. I jeszcze jedno: Kiedy ją matka odumierała, paniusiu kochana, i oddawała mnie i żonie Salcie w opiekę...

— Jakto?!... więc to nie wasza córka?...

— Nie, paniusiu droga, Boże uchwaj! sierotka!... — zostawiła jej wieprzka i krowę, a zakławszy nas na śmiertelnej pościeli, żebyśmy nie zapominali o sierocie, pada: "Weźcie ją, przytulcie, tyle jej, co mam, ostawiam, reszta w waszym sercu. Nim



zeżre wieprzka, nim zeżre krowę, wyrośnie i odsłuży się wam..." Ale krowy i wieprzka nie na długo dobrodziejko starczyło, takeśmy z żoną uradzili dać gdzie dziewczkę, do kogo porządnego, bo u nas nędza... Łaska pani, że nie zmarniało biedactwo — a dziś matka rodzona, żeby ją wstawszy z grobu na ten przykład uwidziała, miałaby tę pociechę, że dziecko na psy nie zeszło i człeka sumienie nie dręczy, moja pani, że... co co mam mówić... dziewczuchę u siebie zabiedził i nieboszczce słowo złamał.

Tu zbliżył kieliszek do ust, zmęczonych tą przydługą opowieścią i przymykając mgły pełne oczy, wypróżnił go jednym łykiem. Poczem, młasnawszy wargami, podniósł palec w górę, w ślad za nim brwi krzaczyste i zakończył z senną powagą pijanego:

— Bo najpierwsza rzecz ludzka, moja złota dobrodziejko jest: sumienie!!...

W tej chwili weszła Lusja z jedwabną chustką w jednej ręce a okazała faję w drugiej i nie pojmując dawanych przez Paulinę znaków, zbliżyła się z temi przedmiotami do starych.

Było już za późno — więc Paulina z znacznie obniżoną uprzejmością, przymusiła się wyrzec :

— To od Lusi.

Kwaśno obserwowała już teraz potężne wrażenie podarunków, rada pozbyć się gości jak najprędzej.

Wśród niezgrabnych ukłonów i podziękowań, bezbrzeżnie szczęśliwi, odeszli wreszcie woźnostwo, zataczając się i potykając na każdym kroku. Spieszno im było. bo mieli daleką drogę do miasteczka.

Po ich wyjściu Paulina ze skrzywieniem zawołała na służącą:

— Fe! tu trzeba przewietrzyć zaraz... Józiu ! pootwierajno prędko okna i sprzątnij, bo jeszcze kto przyjdzie i tak zastanie. — A ty — zwróciła się do Lusi — mogłaś mnie też była zrozumieć i nie wchodzić z temi rzeczami. Byłoby się dało chustkę służącej a fajkę stróżowi.

— Jakto? przecież to miało być dla...

— Dla twoich rodziców, a ci starzy nie są nimi. Wygadali się. Niepotrzebnie sobie narobiłam wydatków.

Woźnostwo tymczasem, znalazłszy się za miastem, na zupełnie wolnem powietrzu, wśród woni pól i ciepłego powiewu wiatru, uczyli potrzebę odpoczynku, zбочyli więc bardzo ciężącemi im nogami w dojrzałe zboża i tam się ukradli.

Nader przyjemnem było przebudzenie pod pociemniałem już niebem, na które wstępował niewyraźny jeszcze, niby własne

widmo, księżyc. Miłą niespodzianką wydał im się widok otrzymanych podarków, o których przez sen zapomnieli, oraz wspomnienie przedniej uczty. Nie mogąc się odchwalić przebiegu wycieczki i przyjęcia, zbyli zaniechanie, dla braku czasu, praktyk odpustowych uwaga, że się to naprawi kiedyindziej.

Jedna tylko rzecz wytrzeźwionego woźnego przygniotła troską. Zwierzył się żonie:

— Nie trzeba było mówić, że Salka nie nasza.

— Czemu?

— A bo nam od tego czasu nic do niej.

— Prawda. Po cóżeś się wygadał?...

— A bo ci mnie tern jadłem i piciem tak za gębę chwyciła, żebym jej był duszę z pod serca wyszeptał, nie dopiero co!...

Umilkli na chwilę pod wyrazistszem jeszcze niż przedtem wspomnieniem poczęstunku, wywołanem jego słowy.

Nakoniec, dźwigając się ociężale z posiania kłosów, z westchnieniem wyrzekł woźny:

— Po pańsku tam sobie żyją, po pań sku... Co stara?... Nie ma to jak dziewusze!

## KRZYK.

Nakoniec ustąpiła radczyni złączonym prośbom tych dwojga rwących się do szczęścia dzieciaków i męża. Zgodziła się na odjazd natychmiastowy młodej pary, uznając, że noc, spędzona w sąsiedztwie huczącego zabawą mieszkania, nie dałaby nowożeńcom tak potrzebnego odpoczynku przed udaniem się nazajutrz w podróż do rodziców pana młodego, której nie można było odkładać. Lepiej im będzie w wagonie.

Poczęli ją za to całować oboje jak szaleni, zięć wygniótł radcy boki, córka wytarła wąsy ojcu swoim delikatnym buziakiem a podczas kiedy stary dziewczynie troskliwie dopinał paltocik, z rozdawanych aa wszystkie strony przez młodego męża pożegnalnych uścisków i całusów najwięcej dostawało się młodej żonce, którą zabierał

z sobą. Nie pozwolili się oczywiście odprowadzać, odsyłając rodziców do gości, przed którymi odbyła się ta poślubna ucieczka w zupełnym sekrecie, skoro obiad weselny, wbrew planom i rachubom, przedłużył się aż do wieczora.

Wyprowadzono ich więc do przedpokoju tylko, gdzie nastąpiło krótkie pożegnanie ze służbą, jeszcze jeden gorący uścisk z rodzicami, któremu przyświecała lampa, z ręki radcy i łez pełne oczy obojga starych — i młoda parka frunęła na schody.

W pojeździe dwoje upojonych szaleńców pogrążyło się teraz w potopie pieszczot tak wezbranym, jak fale potoku, co przedarł tamę z wiosną.

Należeli więc do siebie! na zawsze!...

Na myśl, że oddaną jest teraz zupełnie jego mocy. topniała w rozkosznem omdleniu — jego zaś pochłaniał bliski wybuch ognia namiętności, a zarazem łagodziła bezgraniczna czułość.

Otoczona jego ramieniem, upojona szczęściem, wśród turkotu pojazdu i blasku wpadającego co chwila to z prawej to z lewej strony światła latarni ulicznych, patrząc na wymijane szeregi domów, zdające się przesuwać przed nimi w poźegnalnej defiladzie, doznawała pełnego błogości uczucia, jak gdyby w tej brzęczącej skrzyni

O małych spoconych szybkach uwozili z sobą, i dla siebie całe szczęście całego miasta...

Naraz, w rynku, ujrzawszy parę wysoko, jakby w powietrzu zawieszonych kwadratów pomarańczowego światła, przetarła dłonią w rękawiczkę obleczoną wilgotne okienko i odezwała się do męża:

— Popatrz no Stasiu, u Ludwików sięjeszcze świeci. Te dwa okna na pierwszym piętrze... widzisz?...

— Widzę. Więc to tu mieszkają?...

Dotykając ręką jego twarzy, wznowiła

z tą czułością, w którą kochankowie oblekają najbliższe prośby:

— Gdybyśmy tak wstąpili do nich na dwa słowa? Dobrze?... Moja najlepsza przyjaciółka... Nie była na ślubie, nie pożegnałyśmy się nawet. Jej by to sprawiło taką radość...

— Ale czy nie zapóźno Manta na wizytę?...

— Przecież to kuzynka! nie obrazi się!... Poświęćmy im parę minut, mój mężusiu !

Mężuś przystał z uśmiechem, rozumiejąc i dzieląc tę pochopność nadmiernie szczęśliwych do chwalenia się przed całym światem swym szczęściem, rozsypywania uśmiechów, uścisków, pocałunków, których namiętnem pragnieniem dusza wzbiera...

Wysiedli przed domem Ludwików i ona pierwsza wpadła w bramę a potem na schody.

On, zetknąwszy się niespodzianie z przechodzącym znajomym, musiał zatrzymać się na chwilę dla wysłuchania życzeń, poczem podążył za nią i odszukał bez trudu drzwi z kartą Ludwików na drugim piętrze.

Były uchylone, wstąpił w nie.

Lecz w przedpokoju zaraz, jako zapowiedź czegoś niezwykłego, owiał go zapach karbolu i jakaś kobieta w białym fartuchu, z naczyniem buchającym parą wody grzanej w rekach, wyprzedzając go, zagroziła mu w pierwszej chwili wstęp do mieszkania, w którym uderzył go osłupiały wyraz twarzy jego młodziutkiej żony, stojącej na środku pokoju przed matką pani Ludwikokowej, strapioną bardzo.

Nim je zapytał, co to znaczy, nim się domyślił — wyleciał naraz z drugiego pokoju stłumiony zrazu a rosnący jęk i rozdarł mu uszy przejmującym okrzykiem bólu kobiety. Równocześnie, jakby wypchnięty tym okrzykiem, ukazał się we drzwiach wystraszony mężczyzna, i nie zważając na przybyłych, gorączkowo przywołał staruszkę:

— Mamo! na miłość boską, prędko!...

Powstał ruch, zamieszanie, zaczęto wchodzić i wychodzić z tego drugiego pokoju. Ukazał się lekarz, przepasany białym płótnem, sięgającym mu aż na piersi i wydawał szybkie rozporządzenia, które w lot spełniano, stąpając cicho, z pośpiechem.

Gospodarz, nie przywitawszy wcale gości, otarł spocone czoło i zrobił ruch głową, podobny do otrząsania się z jakiegoś nieznośnego brzemienia, poczem na pół do siebie rozpaczliwie wyszeptał:

— O Boże! Boże!...

I wyszedł za innymi, zostawiając ich samych.

Tylko stamtąd, z po za tych drzwi wółprzymkniętych, wpośród błagalnych próśb i przekładań, łagodnie i troskliwie wypowiedanych kilku głosami, raz po raz zaczął teraz wylatywać w powietrze jak raca, przeraźliwy, dreszczem i litością przejmujący krzyk kobiety rodzącej, który niby zgrzyt fałszywy i ostry rozdzierał brutalnie błogą i słodką harmonię, jaka napępiała dusze dwojga nowożeńców.

Naraz mężczyzna, napotkawszy źrenice swej młodej żony, z wzruszeniem i lękiem utkwione w te drzwi tajemnicze, ochłonął w jednej chwili i chwytając ją za rękę, uprowadził co prędzej z tego miejsca cierpień, w którym znaleźli się tak nie w porę.

Oszołomieni, znieśli na dół. jakby uciekając, wsiedli spiesznie do dorózki i pojechali w milczeniu, wracając myślami do opuszczonego co tylko miejsca — a wspomnienie straszego krzyku męczzonej przez naturę kobiety nie pozwalało im odzyskać dawnego nastroju.

Rozdrażniony, pełen niesmaku, wyrzucał sobie w duchu, że mógł zapomnieć o powodach, dla których kuzynka, młoda mężatka, nie wzięła udziału w ich zaślubinach...

Wtem usłyszał ciche szlochanie.

Zdziwiony, objął żonę co prędzej i spytał z niepokojem:

— Maniu! dziecko! czego ty płaczesz?...

— Ach Boże! — wyłkała z twarzyczką łzami zalaną — czyż mogę... nie płakać?... To takie smutne... biedna Zosia!... nieszczęśliwi ludzie!...

— Jakto? — szepnęła czule — nie rozumiem cię, aniołku...

— Przecież to jasne — chociaż tak... okropne!... Czyż nie słyszałeś?... Ależ ona... ona umrze!...

I zanosła się od płaczu, on zaś, rozśmiałszy się szczerze, przytulił ją do siebie jak dziecię i zaczął przekładać zwolna, łagodnie, pobłażliwie:

— Cóż znowu!... Co ci się zdaje!...

Skąd nawet takie przypuszczenia!...

— Słyszałeś przecież!... — odparła z tkaniem. — Takie męki!... Czyż można wyjść z takich rzeczy!... A jak oni wszyscy wyglądali... O Boże! ja... ja ci mówię... Ja mam niedobre przeczucia... Ona umrze!...

— Ale nie bądźno dzieckiem i nie przesadzaj... Po co by miała zaraz umierać!...

— Więc masz jaką nadzieję? powiedz!...

— Naturalnie, że mam... Nawet pewność. Wszakże tyle kobiet przez to przechodzi, a mimo to żyją.

— Wiec i inne... tak samo?...

Zawahał się z odpowiedzią. Brakło mu

wyrazów, nie wiedział, jak jej objaśnić to, o czym widocznie żadnych lub bardzo niedostateczne miała wiadomości, do czego zbliżyła się po raz pierwszy w życiu, co ją wstrząsnęło i zaniepokoiło do głębi.

— No tak... rozumie się — odrzekł wymijająco.

Ona zaś, wielce zajęta, gorączkowo pytała:

— Wszystkie?

— Mniej więcej — wymusił na sobie raz jeszcze, niekontent z podobnej rozmowy i aby pieszczotą ukoić jej obawy, całując

jej wilgotne od łez policzki, wesoła dodał:

— Nie myślałem doprawdy, Maniuchna, że z ciebie taki dzieciak jeszcze. Powiadam

ci: bądź zupełnie spokojną o Zosię, nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Przybyli na dworzec.

Kupno biletów, staranie się o przedział, ruch podróżnych, służby i rozwożonych na wózkach bagaży, cały ten harmider pracy i pośpiechu, poprzedzający wyruszenie pociągu, rozerwał ich, a ponieważ było już po drugim dzwonku, zajęli więc wskazany wagon i usiadłszy naprzeciw siebie, trzymając się za ręce, zadowoleni, że się nareszcie znajdują u celu, patrzyli na peron.

Naraz zabrzmiały sygnały, wagon drgnął niby człowiek ukłuty szpilką, rozległ się stuk uderzających o siebie buforów, syk pary w oddali i cała ta wielka platforma dworca, pełna ludzi, rzeczy i światła, poczęła się usuwać z przed ich oczu coraz szybciej nakształt olbrzymiej ruchomej sceny — poczem w jednej chwili okienka wagonu pociemniały, znalazłszy się wobec grubego mroku nocy, który zaczerniał niebo i ziemię.

— Coraz częstsze uderzenia kół o spojenia szyn, coraz głośniejszy szum i dudnienie rozpędzającego się pociągu — wreszcie łańcuch klatek, napełnionych ludźmi, pomknął gołębim lotem w dal.

Znikło im już z oczu miasto z oznaczającymi je, coraz rzadszemi światełkami, nie było już nic widać zewnątrz okien.

Wtem dostrzegli oboje w szybach odbite wewnątrz przedziału, a w nim siedzących naprzeciw siebie mężczyznę i kobietę, ją i jego, z drugiej strony coupe to samo.

Spojrzawszy na siebie, uśmiechnęli się i ucałowali, a tamte dwie pary uczyniły to także.

Wtedy Stanisław rzekł wesoło:

— Trzeba zasłonić okna, będziemy bar dziej sami.

I oboje, on z pośpiechem z jednej strony, ona drząc po drugiej, skrzętnie poczęli zapuszczać firanki.

Już wszystko było gotowe, kiedy ich wstrząsnął trzask otwieranego zamku, poczem z podmuchem zimna ukazał się w drzwiach konduktor, aby poznać biletów.

Rumiany, tęgi, brodaty mężczyzna, w mundurze obwieszonym trąbkami i gwizdkami, ogarnąwszy ich oczyma, już, kiedy w drzwiach miał zniknąć, rzekł z ukłonem:

— Dobranoc państwu. Staniemy na miejscu o piątej.

Po tem tak pożądanem zapewnieniu samotności na noc całą, młody mąż, zauważywszy, że kobietka zapłonila się, nie dając jej ochłoniąć ze wzruszenia, przysiadł się do niej i łakomie począł obcałowywać każdy kawałeczek jej ciała, nie zasłonięty

suknią, twarzą, włosy, ręce, chętnie wracając ustami po raz wtóry i trzeci na te same miejsca i szepcząc gorące wyznania miłości bez granic.

Wtem spostrzegł w wyrazie jej twarzy coś, co zdawało się ją niepokoić, mącić i odciągać jej myśli wbrew woli gdzieindziej, do czego innego... więc w połowie pieszczot zapytał:

— Co tobie maleńka?

Cała w łunie i z uśmiechem nieszczerym, który nie zdołał pokryć jej roztargnienia, szepnęła:

— Nic... nic...

— Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć? Milczała chwilę, nakoniec przytulając się do niego, nieśmiało, jak gdyby wypowiadała część tylko swych myśli, odważyła się wyznać:

— Widzisz... boję się... tak się boję...

o Zosie!...

— Co, jeszcze?!... mówiłem ci przecież...

— No tak... ale przynasz, że zdarzają się wypadki...

— Niezawodnie, że się zdarzają, ale czyż warto myśleć o nich. Na kolejach zdarzają się przecież także katastrofy, a jednak tysiące ludzi jeżdżą nimi i wychodzą cało. Zresztą...

Chciał jej powiedzieć coś jeszcze, coś

takiego, coby ją uspokoiło do reszty, w zupełności rozwiła jej obawy w tym niemiłym przedmiocie, tak dla nich drażliwym w tej chwili. Gdy naraz dziwnym odruchem nerwów zaświdrował mu w uszach ów odgłos rozdzierający, bolesny, który był sprawcą wszystkiego i ujrzał się jakby przeniesionym do pełnego nieładu i trwogi mieszkania młodego małżeństwa, wpośród tych nieprzypadkowych ludzi, pod owe drzwi, po za którymi jęczała położnica... I doznał

uczucia, jak gdyby komuś, zasiadającemu do smacznej uczytawy stawiono naraz przed oczy szczegółowy obraz procesu trawienia. A pojawiwszy, jak ją dopiero, jak jej wyobraźnię kobiecą, jej półdziecięcą nieświadomością zasępić i przerazić musi to wspomnienie szpitalne, uczuwszy, że ten natrętny intruz całą noc wkładać się będzie między nich i zatruwać im chwile tak uroczyste, zniecierpliwiony sarknął:

— A! nie przebaczę sobie nigdy tej niewczesnej wizyty...

— To ja winnam — szepnęła kobietka potulnie.

— Nie. to ja winniem.

## PIERWSZY MAJA.

Ale dajżeż już raz pokój tym robotnikom, mój drogi. Słyszysz nic od dziś jako zacofaniec i nie potrzebujesz wyklądać mi swoich społecznych poglądów, bo je znam na wylot a zbijacich nie myślę. Nie jestem zresztą ani po twojej stronie ani po tamtej i wszystko mi to jedno, kto jest z nimi a kto przeciw nim. Lubię obserwować fakta, lecz nie cierpię mieszać się do nich. To człowieka ogłupia, czyniąc go niewolnikiem stronniczych zaślepień. Skoro zaś i tak skazani jesteśmy na to, aby całe życie kroczyć po omacku, nie widzę, dla czego miałbym koniecznie zarażać się cudzym zezem lub ślepotą, zamiast ulegać własnej. Co się tyczy robotników... kiedy już o nich mowa, mam dla nich nawet pewną sympatyę, a to z powodu osobliwej w swym

rodzaju, a nader dla mnie miłej przysługi, jaką mi bezwiednie oddali.

Było to w zeszłym roku, w wile pierwszego maja, tego głośnego "pierwszego maja", święta robotników — pamiętasz?

— który tyle tygodni naprzód na wszystkie tony zgrozy i postrachu otrębywano po dziennikach całej Europy, począwszy od jej stolic a skończywszy na najmniejszej mieścinie, w której znajdował się bodaj jeden prenumerator jakiejś drukowanej bajczarki. Oczekiwały też tego dnia salony, warsztaty i ulice, przestrzegał przed nim kościół, zastanawiały się nad nim władze, nie było damy ani przekupki, którejby on się nie obił o uszy.

W naszym niewielkiem miasteczku o dwudziestu tysiącach ludności są, jak wiesz, tylko dwie fabryki: jedna — pierników, druga — cykoryi, obie obsługiwane przez jaką setkę najwyżej robotników, poczciwych z kośćciami piernikarzy i dobrych jak owieczki ugniataczy figowej kawy, którym ani przez myśl nie przyszłoby gorszyć się w swej dobrodusznosci lub zastanawiać nad prawem pochodzeniem brzuszaków ich pryncypałów i robić z tego kwestyę społeczną. Uważają oni bowiem dostatki za coś wrodzonego, z czem przychodzi się na świat, jak skłonność do tycia lub łysienia.

Jest oprócz nich jeszcze trochę hałasującej po szynkach w dniu wypłat czeladzi rzemieślniczej, ale ci kłócą się z szynkarzami o ilość wypitych kieliszków, nie o niesprawiedliwy rozdział kapitałów. Na ten też koniec. Wszystkim tym ludziom ani się śniło o jakichkolwiek rozruchach — i niktby u nas nie pomyślał o zbliżającym się "pierwszym maja!" — gdyby go nam nadchodzące codzienną pocztą z stolic gazety nie przypominały. Łącząc w gzygzak po ulicach ku wieczorowi w wilię fatalnego dnia, byłem właśnie na bocznej uliczce, w której wznosi się ładna kamieniczka Mimskich. młodziutkiego stadła, zaliczającego mnie do grona najbliższych znajomych. On jest młodym próżniakiem, który rozkochawszy w sobie posażnego podlotka, przeszedł w próżniactwie na etat — ona, ośmnastoletni dzieciak, naiwnie nadający sobie pozory kobiety, pełna czułości dla męża, nie dlatego aby go tak czule kochała lub by zbyt czułość leżała w jej naturze, ale po prostu, że koniec końców jest jego żoną i uważa się za obowiązaną do tego. Stąd poufalsi goście, jak ja, mieli, bywając u nich, stałe widowisko ich pieszczot, którymi popisywali się, aby nie uchodzić za stadło oziębłe a pouczali zarazem, że Wilek jest po

spolitym drągalem, Ola zaś istną przylepka. Pokażę ci kiedy jej fotografię — a przekonasz się, co to za szczęśliwe połączenie pulchności z wdziękiem, jaki oryginalny okaz kobietki, przez którą przeziiera chłopiec wesoły i swawolny, o małej, figlarnej, ciemnowłosej główce.

Wracam do rzeczy. Poszedłem ową uliczką ze zwyczaju zaglądania w okno pani Mimskiej, zasłaniając go jednak pretekstem, iż czynię to dzisiaj, aby sprawdzić, jak się zapowiada u nas jutrzejsze święto robotników — ponieważ ulica ta łączy obie fabryki. Nic — cisza, spokój, pusto, stare jakieś psisko drzemie na środku drogi, wzdychając przez sen bardzo sielankowo.

Wtem, kiedy znalazłem się visavis kamienicy Mimskich, z parterowego okna ich mieszkania dolatuje mnie dźwięk stukania w szybę. Zwracam głowę, składam ukłon pukającej i na jej widok powtarzam sobie po raz setny w duchu, że ten pustak w spódniczce, nad którym jak fatalność zawisła tradycja, przekazana przez matkę, obok swego dozgonnego mazgaja prędzej czy później złoży niewątpliwe swej pustoty dowody: że temu, kto się do tego przyczyni, trafi się, co się nazywa doskonała

gratka i że na koniec powinna ona zostać przynajmniej między znajomymi.

Przyzywany żywo gośćmi młodej kobiety, podszedłem do okna. powtarzając ukłon i usłyszałem:

— Niebo mi pana zsyła!... Chodźże pan do środka...



Kiedy niezwłocznie wstąpiłem na stopnie domu i minąłem drugą, oszkloną bramę sieni, niezmiernie uradowana, sama mi drzwi otworzyła i wyciągnęła ku mnie rękę z szczególną serdecznością.

— Co to za szczęście, że pana zobaczyłam. Ma pan czas? — wyrzekła i jakby w obawie zaprzeczenia z mej strony dodała spieszenie:

— Zresztą wszystko mi jedno, czy pan ma, czy nie ma, zatrzymuję pana u siebie.

Wprowadziła mnie do saloniku, prawie używając gwałtu, który jako żywo nie był potrzebny. Tu przymusiła mnie zaraz, bym usiadł i nie wychodząc z jakiegoś dziwnego gorączkowego nastroju, poczęła rozmowę Od kwestyi:

— Jakże tam w mieście?

— O co pani pyta?

— Spokojnie?... — objaśniła, wpatrując się we mnie z przenikliwością.

— Jak zwykle — obojętnie odparłem.

Usiadła na brzegu krzesła, poprawiła

na piersiach chusteczkę z pasowej sznelki i szepnęła z drżeniem, jakby do siebie:

— Co to będzie!...

Otwarłem szerzej oczy, trochę zdziwiony — ale ona już mówiła dalej, z minką żałośnie nieszczęśliwą, gorączkowo, spieszenie:

— Męża nie ma — wie pan?... wyjechał do znajomych, służąca także gdzieś wyszła i nie wraca, wróci kto wie kiedy... może nad ranem (ona zawsze tak robi, kiedy męża nie ma) i ja siedzę sama! sama jedna w całym domu... w taki dzień!!... Od godziny jestem jak w febrze!... Wyglądam zrozpaczona przez okno, czy nie zobaczę kogo znajomego, aby go zaprosić do siebie, bo chronić się do znajomych, dom zostawiając na łaskę losu, w takiej chwili, niepodobna!...

Poszłabym do którego z lokatorów, żeby był kto porządny... Ale mieszkają sami żydzi — pan wie: kupiliśmy realność w ciągu roku i umowy były pozawierane. Zresztą do żydów pójsć to jeszcze niebezpieczniej, z nimi będzie najgorzej... Niechże pan teraz jednak pojmie moją mękę: sama, samiuteńka!... kiedy się zanoszą na takie rzeczy!...

— jakie rzeczy? — przerwałem.

— No to, co ci mają robić, ci, robotnicy... Czyż pan nie wiesz? — przerwała mi trochę niecierpliwie, wskazując śliczną

różową piąstką stopy różnych gazet, zalegających stół, kanapę i niektóre foteliki.

Udałem, że mam niedokładne wiadomości.

— Ach! panie! — unosząc się i dłoń przykładając do policzka, aby swe słowa tern donioślejszemi uczynić — wyrzekła: — Będą się dziać niesłychane rzeczy!

— Tu? u nas?..

— Wszędzie! Czytałam. To się już zresztą zaczęło: rabunki, podpalenia, napady, zabójstwa... W Londynie strejkują, w Wiedniu wzmocniono załogę, wojsko stoi pod bronią...

— No w Wiedniu, tak... ale nie sądzę, żeby u nas...

— A dlaczegoż u nas miałyby być inaczej?...

— U nas ludzie spokojni.

Uśmiechnąwszy się pobłażliwie, przybrała minkę doświadczonej osoby i rzekła z siłą:

— To ich pan nie zna!

Pozwoliłem jej mówić, zawsze bowiem

powabna, stawała się wyborną w tym dziwnym nastroju. Ona zaś poczęła uzasadniać swe obawy.

Robotnicy z obu fabryk od tygodnia gromadzą się w pewnym szynku (nawiasem: chodzą tam jak rok długi)—jeden z piernikarzy, wyrzucony z powodu niewypłacal

ności z mieszkania na Zielonem. wygrażał zeszłego piątku pięścią właścicielowi, mówiąc (są świadkowie):

"Poczekajcie tylko na go maja!..." a wreszcie, ile razy idą do fabryk lub wracają, zawsze po kilku i zawsze rozmawiają z sobą bardzo wiele, bardzo gorąco i bardzo cicho. Oczywiście gotują się tutaj okropieństwa, podobne do tych w Wiedniu i Londynie — zbliżają się czasy, w których lepiej będzie mieć śmiertelną chorobę, niżeli kapitał lub realność — tak przynajmniej sądziła pani Ola.

Widziałem z doboru frazesów, z przytaczanych argumentów, z biejących mi przed oczyma pism, co jej dało tak wyczerpującą znajomość sytuacji i nie siliłem się na perswazyę.

Znałem dobrze tę młodą mężateczkę i nerwowe paroksyzmy jej zmiennego humoru, który raz robił z niej rozkosznego łobuza, kiedyindziej pogrążał ją w melancholijnej zadumie, albo przeobrażał w rozgoryczoną grymaśnicę, pozwalając każdej chwili spodziewać się po niej rzeczy niespodzianych.

Teraz przyszła kolej na strach, wielki, od stóp do głowy ogarniający strach, którym nasiąknęła w samotności, oddawszy swą wyobraźnię na pastwę banialukom dziennikarskim, źle zrozumianym w dodatku.

— Więc pani naprawdę tak się obawia?

— spytałem wreszcie.

— Cóż pan myśli! Sama jedna, kobie ta, na co ja jestem narażoną, gdyby tak tutaj wpadli... A na nieszczęście męża nie ma, nie wrócił dotąd, mimo zapowiedzi, sama się obawiam dlaczego... Może go po drodze zatrzymali przemocą?!... Bo prze cież pisał do mnie przedwczoraj — gdzie ja tu mam ten list... Aha, jest... O: "będę się starał koniecznie wrócić pojutrze, z e

względu na pierwszego maja!"

— to ostatnie podkreślone, więc on sam także coś przeczuwa i tembardziej mnie to dziwi, że nie przyjechał... Wie przecież, że jestem samą... Niepoczciwiec. Ach! Boże!...

I potrząsnąwszy rozpaczliwie główką, wzniosła oczy ku niebu.

Nie odrywałem od niej wzroku, tak była ładną i z mimowolnym uśmiechem słuchałem tych utyskiwań.

Cała swą troską zajęta, pomyliła się co do znaczenia tego uśmiechu, bo rzekła:

— Niech się pan nie śmieje, nie... Zo

baczy pan, że to się na niczem nie skończy!...

Aby ją dłużej widzieć tak uroczym strapioną, pospieszyłem z zapewnieniem, że nie lekceważę bynajmniej jej obaw, uchwyciwszy Boże! Przeciwnie... wszystko na tym świecie

cie jest możliwe... Robotnicy — któżby śmiało przeczył?! — jest to potęga nielada, do której kiedyś świat będzie należał (nawiasowo: ani mi w głowie przepowiadać to lub temu przeczyć). A nawet już dzisiaj trzeba się bardzo z nimi liczyć, bo też mają oni w istocie niektóre słuszne powody do niezadowolenia.

Łakomie zasłuchana w moje słowa, przerwała składając obie dłonie na piersiach:

— Ale cóż my im jesteśmy winni, drogi panie?! — tak że po raz drugi musiałem się uśmiechnąć.

— No, państwo w samej rzeczy nic... Ale trudno, w walce klas muszą padać ofiarą najnieвинniejszego często jednostki.

Przełknięta powstała, szepcząc:

— Usunijmy się w głąb pokoju, niebezpiecznie jest siedzieć przy oknie... Jeszcze kamieniem kto rzuci...

Zastosowałem się do jej życzenia niezwłocznie i zamiast na dwóch fotelikach, co bardzo rozdziela, zamiast wobec tuzina okien, patrzących na nas z przeciwnej strony ulicy — znaleźliśmy się bardziej zbliżeni i swobodniejsi na szeszlunku, w zalegającym głąb pokoju półcieniu. Zamierzając ją uspokoić, by się mną więcej zajęła, spytałem:

— Czyż pani naprawdę lękasz się aż czegoś podobnego?

— Ach nie uwierzy pan! nie uwierzy pan, do jakiego stopnia!...

— Niech pani lepiej nie myśli o tych rzeczach. To panią najniepotrzebniej denerwuje.

Wziąłem ją za rękę.

— O! drży pani cała... Nie, nie dam

pani zajmować się tym, dręczyć się w ten sposób...

— Sama obecność pańska uspakaja

mnie znacznie... Ale pan mi nie ucieknie?

— O nie! i z daleko liczniejszych powodów, niż pani myśli, choć dla nich właściwie powinienem od pani uciekać zawsze...

— A to czemu?

— Bo panią uwielbiam...

Dała mi klapsa i uśmiechnąwszy się, z dąsem:

— Nie mówi się takich rzeczy — rzekła — kiedy męża nie ma w domu.

— Kiedyż więc je mówić?

— Nigdy.

— Na to musiałbym stracić mowę i wrodzoną mi szczerłość.

— Żeby tak pana Wilek słyszał!...

— Dlaczegoż go tu nie ma? chociaż być powinien... Ja nie ręczę, czy on tam nie został ze strachu przed robotnikami!...

— Ach! ci robotnicy!...

Nie! nie należy jej uspokajać — zdecydowałem.

— Których się pani tak obawia — a przed którymi nie maż (och! czyliż wart nim być!..), lecz kto inny panią ochrania, ochroni! — proszę się tylko starać, aby tu został jak najdłużej...

Zmrok zaczął padać, przynosząc tę szarą, tajemniczą, pozorną śmierć przedmiotów, odbierającą im złudnie połowę ich istnienia, odmieniającą postać rzeczy i zdającą się odmieniać czyny. Skradała się owa godzina, w której postępek nawet rażący i trudny na jawie, staje się dyskretnym i łatwym, w której tak pełnym bywa pokus sam na sam, bo przestając niejako być świadkami własnych i cudzych czynów, słabiej oceniamy ich brzydotę lub zuchwalstwo, a nawet nie widzimy ich wcale oczyma, przysłoniętymi zdradzieckim skrzydłem nocy kusicielki.

Przed tą, już rozpoczętą, godziną niebezpieczeństwa i przed splątaniem figla Wilkowi, o czym napomykałem tak lekko i wesoło, aby jej samej nie przyszło na myśl brać tę rzecz tragicznie, otrząsnęła się naraz Ola i odbierając mi rękę, zawołała:

— Pora zapalić lampę.

I chciała powstać. Ale ją zatrzymałem z pośpiechem.

— Niechże pani tego nie robi, na miłość boską!... Oświetlać okna? w taki wieczór? żeby myśleli, że się tu ucztuje, za bawia wesoło, gdy oni przymierają ze zgryzot i głodu?!... żeby pokazać im przyświecłe obrazy w złoconych ramach i portyery u drzwi, które im przypomną ich własne, odrapane i brudne ściany?!

Przestałem na chwilę, dla pokonania szalonej chętki śmiechu, budzącej się we mnie zawsze, ilekroć przyjdzie mi udawać lub kłamać coś, w co sam nie wierzę, tak śmieszną mi się wydaje rola wywodzonych w pole. Nic nie odrzekła, słyszałem tylko jej oddech przyspieszony.

— Zresztą — prowadziłem dalej zmienionym tonem — czyż nam tak źle w tej ciemności? przecież mnie się pani obawiać nie potrzebuje...

— Właśnie, że zaczynam wątpić... — odparła. Próbowwała przytem ręce swe wysunąć z moich, ale tak lekko, że dla mnie stało się to tylko pretekstem do tem silniejszego ich uściśnięcia oraz do odpowiedzi:

— A wie pani, że wyznanie obawy czyni przeciwnika zuchwalszym?

— Nie wiem, czy już zuchwalszym od pana być można!

— Można być zuchwalszym lecz nigdy bardziej kochającym.

To rzekłszy, wpadłem w ów szept gorączkowy i urywany, naprzemian błagalną i rozkazującą, pieszczotliwą i brutalną mieszaninę, wyrazów, bez wielkiego sensu lecz z ogniem ze zdyszanej piersi i oszołomionej głowy wylatujących dla oszołomienia drugiej!

Zamiast się oburzyć :

— Panie!... — wyszeptała prosząco — niech pan tak do mnie nie mówi... Przecież to nie wypada... To byłoby szkaradnie...

— A jeżeli ja panią uwielbiam, co tyle razy starałem się pani okazać... Czyliż mnie pani nienawidzi ?

— No nie... ale ja pana proszę... mów pan o czem innym...

— A jeżeli to jest nad moje siły?

— Staraj się pan!

— Dopóki obok pani jestem, nie mogę! nie potrafię!... czuję to nie po raz pierwszy... więc chyba... Ale tak ! masz pani słuszność... to jedyny sposób... odejść.

Nie dała mi nawet powstać z szezlongu, przerażona.

— Co? pan chcesz iść?...

— Muszę! — inaczej... widziałas pani przed chwilą. Nie ma tu przecież wyboru.

— Czyż nie potrafisz pan zapanować nad sobą?...

— To przechodzi moje siły.

— Ależ ja sama nie zostanę.

— Jeżeli mnie pani zatrzymasz, popełnię szaleństwo!...

— Jeżeli pan pójdziesz, umrę ze strachu.

— Ależ ja panią kocham!...

— Ależ oni mnie gotowi napaść!... zabić!...

Wrywałem się — ona mnie zatrzymywała, zatrzymywała nie tylko słowy, ale i parą rączek, pulchnych, drżących, ciepłych, których odpychaniem musiałem sobie zadawać gwałt straszliwy...

Naraz — huk!!... huk ogłuszający, jakby o dwa kroki runęło sklepienie gotyckiej katedry, wstrząsnął powietrzem i naszymi nerwami. Ola krzyknęła: "ach!" — rzuciła się do mej piersi i w moich objęciach, cichutko, żałośnie, z płaczem szepnęła przerażona:

— Widzisz pan!...

A ja, całując ją na początek tak nieznacznie, że raczej wiedziałem, niż czułem, co robię, odrzekłem:

— Widzi pani!... — i ani mi w głowie było puszczać z rąk tej ciepłutkiej, pachną

cej, strwożonej zdobyczy. Oczekując spokojnie nowego huku wysadzanych w powietrze przez rozwścieczony tłum roboczy domów, myślałem:

— Wy róbcie swoje — a ja swoje.

Co mnie do waszego pierwszego maja!...

Wyznać jednak muszę, te nigdy rozruchy robocze nie budziły we mnie większej sympatii, niż owej chwili.

Tymczasem huk się nie powtarzał. Więc po dziesiątym czy jedenastym pocałunku moim, szepnęła drżącym, suchym głosem, ale już ochłoniwszy nieco:

— Co to było?

— Zobaczę.

Wyjrzałem oknem na ulicę — ale nie zobaczyłem nic. nawet ulicy, której organa miejskie u nas skąpią światła, zapewne, aby nie gwałcić praw natury, zsyłającej na świat ciemność w porze nocnej.

Wyszedłem tedy do przedpokoju i otwarłem drzwi do sieni, gdzie ujrzałem wprost progu barczystego, zasmolonego mężczyznę, na widok którego Ola, nie odstępująca mnie ani na chwilę, ścisnęła spazmatycznie moją rękę, podzwaniając ząbkami.

— Co to był za łomot? — spytałem

złowrogą postać.

Pocziwiec oświecił czarna twarz dwo

ma szeregami białych zębów i skrobiąc się w głowę, przyjaźnie odparł:

— E, nic, proszę łaski pana, tyłkom tu węgle do paczki zrucił.

Był to węglarz i właściwy węglarzom a tak miły sposób opróżniania koszów z ładunku.

Wróciliśmy z wystraszoną jeszcze Olą do pokoju. Śmiać mi się chciało co się zowie, bałem się jednak popsuć sobie sprawę. Tymczasem czując, że ręce jej drżą jak w febrze, ucałowałem je, z jej zgodą.

— Niechże się pani nie lęka — szepnąłem tonem wielkiej serdecznej prośby, który rozszerzał i pogłębiał znaczenie wyrazów. Intonacja bowiem czasem staje się sama przez się tak wymowną, że wystarczy dobrać do niej pierwsze lepsze słowa.

— To mi dokuczają... — dodałem czule.

— Ale nie odejdiesz pan?

— Och, nie!...

I nie przestawałem, pod pozorem dodawania jej odwagi i spokoju, brać ją w posiadanie, mimo miękkiego, uroczego oporu z jej strony.

Wtem: "brzdęk!..." — i przeraźliwy dźwięk rozpryskującego się na atomy, pod ciosem, szklą, którego ostre kawałeczki razem z tym brzękiem zdawały się w ucho

wpijąc, wstrząsnął ją całą dreszczem i po raz drugi, z nowym okrzykiem przestachu rzucił ją w moje ramiona, tym razem nie bez następstw.

A ciągle drżała, jednak teraz z innego już powodu.

Pierwsze jej słowa, zmienionym głosem wyszeptane, były:

— Co to było? zobacz pan, proszę...

Co to było — była to szyba, rozbita

w sieni przez węglarza jego ogromnym koszem. Klócili się właśnie ze stróżem o zrządzoną szkodę.

Posłyszawszy z saloniku odgłosy ich kłótni, zapytała mnie zdławionym ze strachu głosem, gdym wrócił:

— To oni!

— Co za "oni"?

— Robotnicy! — dodała głucho. Rozśmiałem się na całe gardło i nie chcąc się dzielić nią dłużej z jej strachem dziecinny, uspokoiłem teraz co rychlej.

Natomiast jednak obudziły się w niej gorzkie wyrzuty sumienia z powodu popełnionego grzechu, więc osobno wyklądać musiałem, iż całą winę biorę na siebie, że i tak zanadto ją kocham, aby prędzej czy później, przez samą dobroć serca, nie była zmuszoną do współczucia i tak dalej.

Zreszta, siła to, przed która drży świat

cały — mówiłem patetycznie — rzuciła ją w moje objęcia. Niewiele zaiste kobiet znalazłoby coś podobnego na usprawiedliwienie swej słabości.

Odważyła się w końcu wraz ze mną wyśmiewać pierwszego maja, zastrzegając się swoją drogą:

— Ale pan nie odchodź.

— Gdzież znowu! nie byłbym tego zrobił i przedtem — cóż dopiero teraz!...

— Och! jaki szkaradny obłudnik z pana!

Po jakichś dwóch godzinach tego tak

rozkosznego pierwszego sam na sam, na których wspomnienie po latach jeszcze człowiek się uśmiecha i zamyśla, turkot rozległ się przed domem, poczem zastukano do drzwi w przedpokoju.

Zrobiłem wtedy niesłychanie przerażoną minę i kuląc się, z wytrzeszczonymi oczyma, szepnąłem dygocącym głosem:

— Teraz to już napewne oni! Zginęliśmy!...

— To Wilek!... — odparła ze śmiechem, ale nieco zmieszana i poskoczyła do lustra.

— Ślicznie! — wsiałem na męża, skoro tylko próg przestąpił — pan mążw najlepsze bankietuje u przyjaciół, kiedyżona w niebezpieczeństwie uciekać się musi pod opiekę znajomych.

— Co się tutaj stało?! — zawołałwystraszony. — Widziałem wybitą szybę w sieni.

Rozśmialiśmy się hałaśliwie, zamieniając spojrzenia — ja zaś pospieszyłem Wilka objaśnić co do szyby, aby Ołę wybawić z kłopotu.

— A rozruchy?... — pytał gorączkowo.

— Nie ma żadnych rozruchów.

— Więc nic się nie stało?

— Cóż się miało stać?... co zresztą mogło się stać. kiedy ja byłem przy pani.

— Ale jak ja się bałam!...

Pochwycił mnie i żonę za ręce i przenosząc z jednego z nas na drugie spojrzenie człowieka wzruszonego, który chce przeproszać i dziękować, potrząsał naszymi dłońmi czas jakiś, a potem żonę i mnie serdecznie wycalował, kazał nam usiąść i opowiedzieć sobie wszystko.

Wziąłem to na siebie i roztoczyłem niebawem przed jego oczyma przebieg wieczoru w obrazach pełnych takiej grozy, że nadziękować mi się nie mógł za opiekę, jaką dałem jego żonie. Była to formalna owacya!

## NOWA ERA.

Gdy w Kącie, tej malej, w tak dziwnym odosobnieniu położonej, okolonej milowym pasem pustkowi, mieście, odkryto naftę — ruch się tu zaczął niebywały.

Zrazu nie domyślano się w miasteczku, na co się zanosi. Widziano tylko garść obcych ludzi, zajętych po ugorach niezrozumiałymi robotami, a mróz i śniegi zimy na kilka miesięcy przysypały tajemnicę.

Lecz skoro z wiosną ziemia rozmiękła, zjawiała się naraz tutaj, w tern zapadłem i cichem ustroniu, niby najazd, cała horda robotników z inżynierami i ich pomocnikami na czele, z długim korowodem wozów, wiozących części składowe jakichś dziwnych maszyn. Powznoszono w okolicy wysokie wieże, rozległ się świst motorów, zaczęto wiercić tę tak dotąd skąpą dla swych mieszkańców ziemie kątecką i oto ta ziemia

macocha okazała się naraz najhojniejszą z matek, z własnych ran, sobie zadanych, wylewając potop złotodajnego płynu, a koło tych smrodliwą, ale cenną ropą ciekących czeluści, zaroiło się ludźmi, jakby łakomem pokarmu robactwem.

Dwa zaś były szczególnej obfite źródła oleju skalnego. Jedno na gruntach od miasta nabytych drogo przez przedsiębiorcę, drugie, eksploatowane do spółki z właścicielem tegoż, szewcem Migdałem, burmistrzem miejscowym.

W ten sposób Kąt stał się naraz miastem żywym, otwarto mu się widoki zdobycia wielkiej zamożności i wzrostu, przebąkiwano nawet coś o budowie odnogi kolei żelaznej. Zaczęła się dlań nowa era, której przedsmak dawał przybytek kilkuset dobrze, za gotówkę żyjących mieszkańców w personalu górniczym, rozgoszonych, dla braku mieszkań w mieście, w umyślnie na ten cel wzniesionych porządnym barakach tuż pod miasteczkiem.

W Kącie, którego ludność zbudziła się z długiego uspienia w tym zamięcie a psy nauczyły się szczekać, ujrzawszy obce twarze, ukazały się także inne nowe, nieznane dotąd rzeczy — między temi parę przybytków, tak potrzebnych po całodziennym trudzie pracy dla robotników. Jednym była



jadłodajnia w barakach — drugim lokal Fajwłowej, żydówki, mającej dotąd źle rentujący się kramik z drobiazgami w pobliżu kościoła, a zamieniony teraz na kawiarnię z żeńską obsługą.

Nie od razu spostrzeżono się w miasteczku co do znaczenia tej nowej instytucji wobec mnóstwa innych nowości, zaprzatających umysły. Poznała się jednak na tern pewnej niedzieli burmistrzowa Kąta, osoba już z tytułu godności swego męża najpierwsza w mieście, cóż dopiero obecnie, odkąd Migdałowi ropa, tryskająca na dziesięć metrów w górę, każdego dnia, bez żadnej a żadnej pracy, napełniała beczki setkami guldenów.

Idąc w należytej napuszystości z dwiema córkami, dorosłymi brunetkami małomiasteczkowego typu, na sumę, dama ta spostrzegła ze zgrozą prawem okiem w otwartym oknie żydówki kilka młodych, niedostatecznie odzianych dziewczek, które bardzo wesoło zdawały się bawić kasztem spieszących na modły wiernych.

Ludzie na prowincyi, niewiele mając sposobności do wywierania efektu, łatwo wszystko biorą do siebie, to też pani Migdałowa oblała się pąsem, pewna, że gromadka śmiejących się bezwstydnic ją i jej córki wyśmiewa, ją! burmistrzową Kąta!...

Pani Migdałowa przechodziła w tych czasach proces rozwijającej się manii wielkości. Odkąd bowiem w pierwszym pokoju ich mieszkania chłopcy przestali wyklepywać młotkami na podeszwach i obcasach z całego miasta znoszonych butów rzemiosło jej męża, odkąd Migdał, przestawszy obuwać swych współobywateli, nie potrzebował schylać się do ich stóp dla wzięcia im "miary" i czyhać na każdy nadarzający się "przyszczypek" lub "kapkę", — ona coraz bardziej sądziła się nietykalną i ponad powszechność wyniesioną osobistością.

Po sumie tej tedy, odsiedzianej w kościele bez nabożnego skupienia, obiad świąteczny w domu Migdałostwa burzliwy miał przebieg, gospodyni ciskała łyżkami, a znalazłszy się z mężem na osobności, zmyła mu głowę, która uchodziła niby to za głowę miasta, a dopuszczała, aby się w mieście działy podobne okropieństwa.

— Co takiego? o co ci idzie kobieto?

— zapytał otyłej małżonki chudy mąż, które to przeciwieństwo tuszy w tem stadle było rażącym.

O co jej idzie!... O to, że ona, której nikt nigdy ubliżyć się nie ważył, stała się naraz, w dzień boski, pośmiewiskiem tych... tych... najostatniejszych od Fajwłowej.

— Gdzie? jak? co ci się zdaje?

Nie zdawało jej się wcale. W żywe oczy wyśmiewały ją, może nawet wytykały palcami, w chwili, kiedy szła w towarzystwie córek. Były zaś na domiar tak mało ubrane, że tego jeszcze w Kącie nie było jak Kąt Kątem, aby się jakakolwiek kobieta pokazywała w ten sposób w oknie.

Z uszyna, pełnemi jej utyskiwań, uczuwszy się osobiście dotkniętym, porwał Migdał za kapelusz i pobiegł do żydówki.

Przyjęła go unizoną miną i słodkim uśmiechem. Tymczasem dziewczki jej, niepokojąc swą nagością rzadko dziś takie rzeczy widującego Migdała, ciekawie zerkały z drugiej izby przez drzwi niedomknięte.

— Fajwłowa! Niech się Fajwłowa pilnuje, bo ja tu z wami zrobię prędko porządek! — fuknął zirytowany burmistrz, giestykulując palcem groźnie.

Przybrała minę niezmiernie zdziwioną, bo nie wiedziała, o co chodzi.

— Długo gadać nie będę. Fajwłowami swoich dziewczynek dobrze pilnuj, uczciwym

ludziom tego paskudztwa nie pokazuj, dnia boskiego mi niech nie obrażają, bo jak Pana Boga kocham — jeszcze mnie Fajwłowa nie zna! ale będzie źle!!...

Trzasnąwszy drzwiami wyszedł, a stara, skrobiąc się w wygoloną głowę pod peruką

z nici, pobiegła do swego personelu zrobić śledztwo i skarcić winne.

Było wiele szwargotu, żydówka się zaplula a Żydóweczki naśmiały do kolek z afery, nie wiele je obchodzącej.

Lecz w małym mieście wrażenie nie przemija tak prędko. Najdrobniejsze wypadki trwają w pamięci i urastają często do niebywałych rozmiarów, jak pleśń w nieprzewietrzanym kącie.

Nad zakładem Fajwłowej zawisła burza gniewu burmistrzynie.

Pierwsza ta dama w mieście wespół z innymi zaczęła śledzić tok wypadków w szkaradnej instytucji, a zjednoczona ich obserwacja dała na wstępie zaraz wstręt i oburzenie wywołujące wyniki.

Pewnego razu, co się teraz częściej trafiało, wracającego do domu Migdała przyjęła żona burzą.

— Proszę cię — mówiła po piorunującym wstępie — powiedz ty temu werkfirerowi od maszyn, co tu do nas czasem zachodzi, żeby się więcej nie pokazywał.

— Jakto? dlaczego?

— Bo ja nie potrzebuję, żeby mi jakiś tam urwis dziewczęta psuł. Zamknęłam mu dziś drzwi przed nosem.

— Ale dla Boga! kobieto ! on mi potrzebny w interesie! nie obrażaj mi ludzi!...

Czyś zwaryowała? czy co?... Co ci werkfirer winien?!...

Co winien !... Należy do stałych gości żydówki, jednego dnia jest tam, drugiego u burmistrzostwa, jedną godzinę baraszkuje z dziewczkami Fajwłowej, na drugą przychodzi zalecać się burmistrzankom — i on, ich ojciec, pyta się, co werkfirer winien!!...

Kobieta oczywiście przesadzała i zarzut, uczyniony młodemu werkfirerowi, wydał się zbyt surowym Migdałowi, który oczyma dojrzałego mężczyzny patrzył na nieuchronne wybryki młodzieży.

Lecz jak to wytłómaczyć żonie, kiedy baba na tę Fajwłową rozchorowała się po prostu. Sądził, że to może zwolna przeminie.

Tymczasem to się wzmagalo.

Pewnego wieczora nowe zajście poruszyło rozindyczoną kobietę do ostatecznych granic.

Wracała z obiema córkami z zwykłej wieczornej przechadzki w stronę wierceń, przedsiębranej w celu zakosztowania pewnej niewinnej przyjemności. Było nią żniwo ukłonów, składanych na prawo i lewo przez Kącian i przez nafcjarzy, z których najgrubsze ryby żyły z Migdałem za pan brat. W takich razach odprowadzał nieraz do domu trzy kobiety jakiś nudzący się na

provincyi technik, zdumiewając je swoim uczonym dowcipem i pobudzając nawzajem do nadludzkich wysiłków w przybieraniu pańskości i dobrych manier.

Otóż dzisiaj, w tej właśnie chwili, kiedy pełna godności czwórka miała wyminąć wyklęte okno Fajwłowej, z powodu upałów rozwarte — naraz wyskakuje przez nie na ulicę, śmiejąc się, jakiś, w niedopiętym surducie i kamizelce, czerwony junak, za nim zaś wychyla się górną połową ciała roznegliżowana, z rozpuszczonemi włosami dziewczyna, przytrzymując go wyciągniętymi rękoma za poły i przyzywając piskliwym krzykiem pomocy koleżanek. Junak uciekł, Żydóweczka opatrzyła go na drogę wielu kłótwami za swą krzywdę, które na szczęście były niezrozumiałe — lecz rodzina burmistrza musiała na to wszystko patrzeć, wszystko słyszeć, zrozumieć.

Podobnego zgorszenia jeszcze w Kącie nie widziano. Nie było też nigdy takiego jak po tern zajściu piekła w domu Migdała.

— Takie rzeczy! Coś ty za burmistrz! Bezceństwo! Twoje córki! I ty to cierpisz! Sodoma! Gomora!! — sypało się z ust burmistrzyni.

Migdał uniósł się. Jego samego oburzyło to niepomernie. Obiecał też natychmiast żydówkę zbesztać, ile wlezie. Ale nie zado

wolniło to ani jego żony ani wtórującego jej nastrojowi całego miasta, gdzie "te od Fajwłowej" jako uosobienie grzechu i ohydy, jako pierwszy i niebywały w dziejach miasteczka skandal tego rodzaju, były na językach wszystkich kobiet. Na domiar stała się niebawem rzecz niesłychana, która przeciwko właścicielce gniazda rozpusty zwróciła wszystkich Kącian szydłem.

Oto Fajwłowa, która dotychczas zatrudniała u siebie tylko dziewczęta tego samego co i ona wyznania — czy to dla powiększenia zbyt szczupłego personalu, czy może dla zaspokojenia wymagań klientów, kierujących się jakimiś religijnymi lub plemiennymi wstrętami, albo poprostu na domiar zgorszenia, postarała się o nową pensyonistkę, porywając ją — o szkarado! — z pod samych skrzydeł kościoła, w osobie Bronki, służącej u żony organisty. Sąsiadki kawiarni powzięły wiadomość o tern najniespodziewaniej w świecie, ujrawszy jednego popołudnia roztwierające się drzwi przybytku grzechu, z których wyszła Bronka. Dźwigając zapomocą wspartego na ramionach nosidła dwie konewki, poszła w nie zaczerpnąć wody z przyozdabiającej środek ulicy publicznej studni. Zanim jednak zdążono spostrzedz się, co to

znaczy, oddaliła się z powrotem, a chociaż jedna z Kącianek, zapalczywszej natury, chcąc dziewczkę wybadać, zawołała na nią:

— Bronka! Bronka!... — Fajwłowa

jednak wciągnęła wołaną do swych drzwi, strofując.

Wieść się rozniosła i dwa dni pęczniała w oczekiwaniu, potęgującym efekt — przez dwa dni bowiem nie widziano Bronki wcale.

Kiedy się po raz wtóry ukazała . czyhające na tę chwilę Kącianki obskoczyły ją natychmiast.

— A co? namówiła cię? prawda?

upiła?... Trzyma cię teraz? nie chce puścić? powiedz... Zawraca ci głowę? obiecuje?... Ale nie daj się! ucieknij! my cięobronimy... Nie gub duszy Bronka!!...

Dziewka, ogłuszona takim nawałem zapytań, przestroóg, upomnień, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kiedy ją wszakże za rękawy, za fartuch, za spódnicę, zaczęły dbałe o jej zbawienie mieszczyki zatrzymywać, nie dając wrócić do jej pani, ofuknęła je, wyrywając się gwałtownie :

— Puśćcie mnie ! Co do mnie. macie?!...

Poczem zniknęła.

Kobiety oniemiały. Któraś rzekła:

— Już ją przekabaciły!...

Przechodzący mężczyźni natomiast, świadkowie tej sceny, uśmiechali się ukrad

kiem. Jeden z nich nawet szepnął drugiemu do ucha:

— Zasmakowała.

Tego dla obrażonych uczuć moralnych, mających od wieku siedzibę w Kącie, było jednak za wiele. Utyskiwania rozlegały się po całym mieście, burmistrz nie miał spokoju od rana do wieczora, w domu i po za domem.

Wreszcie przyparty przez żonę do muru, zdobył się na krok stanowczy i kazał zrewidować papiery mieszkańek potępionego miejsca, w nadziei odkrycia jakichś nieformalności.

Niestety zawiodły go rachuby — Migdałowa pieńiła się.

— Ależ kobieto! na rany boskie, czego ty chcesz odemnie?... Papiery mają jak się patrzy, pomeldowane w porządku, żadna nic nie ukradła, nikogo nie zabiła — za cóż ja je wyrzucę?!...

— On się pyta za co!... A cóż to ty nie wiesz? nie widzi całe miasto?!...

— Widzi — ale do tego nic nikomu. Kara boska na bezwstydnice — ale człowiek nie poradzi.

— Osioł jesteś.

— Ty wiesz swoje, ja wiem swoje. Co prawo, to prawo.

Mimo tego, z poduszczeń żony i pod

naciskiem opinii, Migdał uczul się w obowiązku coś robić i w tyra celu wymyślił na żydówkę cały szereg szykan. Miasto dotąd o godzinie dziewiątej wieczór spało zawsze snem bobaków. O wpół do dziesiątej czuwali jeszcze stróże nocni — ale o dziesiątej spały już nawet psy co do jednego.

Teraz inaczej. Przez cały wieczór do późna w nocy przeciągali ze śmiechem i gwarem do zakładu Fajwłowej i nazad, robotnicy, rozlegały się hałasy, kłótnie, śpiewy, których odgłosem niepokojone psy na podwórkach popadły w stan nerwowego rozdrażnienia i ujadły nieraz do samej północy.

Działy się jeszcze gorsze rzeczy : pisano po murach i rysowano bezceństwa, a nieraz pijany robotnik, po ciemku, zamiast do Fajwłowej, stukał do drzwi lub okien uczciwego domu.

Otóż nakazano teraz żydówce zamykać podwoje z uderzeniem godziny tej (dbały o dobro miasta policyant przyspieszył od dnia tego bieg zegaru na wieży o dziesięć minut) — i zabierano jej za byle co dziewczęta do aresztu, utrudniając w ten sposób zarobkowanie. Nie było bowiem dnia prawie, aby któraś nie dostała się pod klucz gminny, przyczem policyanci miejscy, ludzie

zonaci i lubiący kiedyindziej czas swój przepędzać w domu, nader gorliwie strzegli uwięzionych. Można powiedzieć, że nigdy pod tym względem nie cieszyła się gmina z ich strony gorliwszą obsługą.

Działo się to zaś pod pierwszym lepszym pretekstem, które władze miejskie, patrzące dotąd na lżejsze przewiny ludności przez palce, z perlidyą nauczyły się teraz wyszukiwać, zdobywając sporą biegłość w śledzeniu i ściganiu najdrobniejszych nawet występków. Pokazała naprzykład która z dziewcząt trochę za wiele bielizny lub własnej skóry — znajdowali się zaraz świadkowie i konstatowano zgorszenie publiczne; rzuciła obelżywe słowo lub wystawiła język spluwającym na ich widok mieszczkom — pociągana była do odpowiedzialności za obrazę honoru ; kiwnęła palcem na przechodzącego wiertacza — dalejże ją pod rygle za stręczenie do nierządu.

Miała ta Fajwłowa za swoje — miała.

Ale zakład istniał — prosperował — o sto kroków od kościoła urągał mu swoją obecnością, drzwiami swemi, otwieranymi raz po raz, progiem coraz bardziej wydeptanym. Usta burmistrzowej nie przestawały męża nazywać niedołęgą — a powtarzały mu to samo za nią w Kącie niejedne oczy, bo ten i ów. wtórując żonie (wszystkie

żony, bojąc się o swych mężów czulsze były dla nich niż kiedykolwiek), myślał a nawet głośił wśród zaufanych, że przecież takie rzeczy, jak u tej Żydowicy, w porządnym mieście dzieć się nie powinny.

Migdał słyszał niejedno, reszty się domyślił — i gryzł się, bezradny.

Cios stanowczy zadała żydówce i jej gorszącemu przedsięwzięciu inna ręka: ręka fiolki, stolarza, uchodzącego za mowę, stąd naczelnika opozycji w radzie gminnej i zdeklarowanego przeciwnika Migdała, który w nim widział rywala. Tak bowiem, na codzień, burmistrz czuł się bezsprzecznie najpierwszą osobą w mieście, mogąc przez dzień cały paradować po ulicach w próżnowaniu, podczas kiedy Kolka musiał się dobrze napocić nad heblem, aby obżywić liczną swoją rodzinę. W święta wszelako i w przeróżne, zręcznie przez Kolkę wynajdywane uroczystości, mąż ten, dowódca miejscowej ochotniczej straży ogniowej, w swoim przepysznym mundurze i srebrzystym kasku z pióropuszem, bezwarunkowo stawał się najokazalszą figurą w mieście i postać Migdała całkowicie usuwał w cień. W wyniku z tego głównie początku współzawodnictwie obaj ci najtężsi obywatele Kąta przy każdej okazji usiłowali

prześcignąć się nawzajem i zaćmić w pogoni za popularnością.

Najświeższy czyn Kolki, acz ogólnej pożyteczności, inne jeszcze, bardziej osobiste miał pobudki — a począł się tak.

Kazik, siedemnastoletni syn stolarzowy, z szczególnem zamiłowaniem przesypiał od pewnego czasu noce nie we wspólnej rodzinnej sypialni, lecz w śpichlerzu na sianku. Wobec ciepłej pory wydawało się to z pozoru zupełnie naturalnem. Pewnego wieczora jednak wypatrzone go, jak wymknąwszy się z domu, wkradł się do kawiarni Fajwłowej, gdzie spędził dobre dziesięć minut, tyle, ile potrzeba na wypicie szklanki kawy z rogalkiem a nawet z dwoma. Ale gdy się zdarzenie rozniosło, nikt nie przypuszczał, ażeby chłopiec chodził tam na kawę. Nie przypuszczał też tego i ojciec, który wyspał wyrostkowi oblewane baty — a błagania Kazika i krzyki starego: "ja urwisie, byłem już pod wąsem!..." rozlegały się w pryncypalnej ulicy Kąta aż po drugą przecznicę na prawo, licząc od studni.

W najściślejszym związku z tym wypadkiem zjawiła się nazajutrz rano w domostwie Kajwłowej gromadka poważnych mieszczan, którzy nie zdejmując czapek obeszlili wszystkie ubikacje mieszkalne i niemieszkalne, strych i podwórze, przyglądając

się z wielkiem skupieniem sufitom i ścianom, opukując mury i kiwając głowami, jak to czynią lekarze nad bardzo chorym człowiekiem. Następnie bez słowa objaśnienia oddalili się w kierunku urzędu gminnego, zostawiając żydówkę wysoce zaniepokojoną tajemniczością tego epizodu.

Tego samego dnia właścicielce kawiarni z żeńską obsługą doręczył policyant miejski opatrzony w pieczęć gminną papier, na mocy którego rozporządzeniem władzy nakazywano jej opuścić w złym stanie znajdujący się i grożący zawaleniem budynek, ze względu na bezpieczeństwo zdrowia i życia ludzkiego, w przeciągu godzin dwudziestu czterech.

Żydówka podniosła wielki lament, obleciała z błagalnym wrzaskiem wszystkich radnych, prosząc, aby jej nie rujnowali, zapewniała, że mury jej domu są w kwitnym stanie, że u niej nie dzieje się nic takiego, coby wstrząsało

fundamentami i narażało na szwank czyjeś życie. Zresztą jeżeli się tu ktoś w ogóle naraża, to przede wszystkim ona i jej dziewczęta, a ona narażać się gotowa chętnie i nadal, i one także.

Nie skruszyły wywody te nikogo.

Wtedy zaczęła się uganiać za innym

lokalem. Któryż jednak z Kącian przyjąłby ją do siebie?!...

Zanim upłynął wyznaczony termin dwudziestu czterech godzin, pod asystencją straży, wczesnym rankiem dnia następnego, zaczęto wynosić z domu Fajwłowej ruchomości, między niemi sześć czy też siedm łożek, spracowanych łożek, i tyleż tłomoków pościeli, których sam już widok miał w sobie coś grzesznego.

Fajwłowa, rozgorączkowana pilnowaniem swego dobytku, wbiegała i wybiegała z domu, wrzeszcząc na całe miasto i przeplatając rozporządzenia kłatwami. Aż w końcu obok dziewcząt, bardzo wesoło przyjmujących swój los i świecących zębami z pod nasuniętych na czoło chustek, usiadła ostatnia, poczem wozy z brzękiem okucia i trzeszczeniem sprzętów, potrząsając na nierównym bruku miasteczka swym ciężkim ładunkiem, ruszyły zwolna, ścigane spluwaniem, trzaskaniem drzwiami, ujadaniem psów i chmarą bosych dzieciaków, które z podniesionemi rękoma wybiegały zewsząd naprzeciw taboru.

Z złorzeczeniem na ustach i nienawiścią w sercu opuszczała Fajwłowa niegościnnie gród. dom swój zostawiając pustką. Cały ten, tak pomyślny obrót sprawy, która zaprzętała umysły od paru miesięcy,

był zasługą stolarza Kolki. Im więcej jednak wznosił on teraz głowę, wieńczoną uznaniem całego miasta, tern niżej opuszczał swoją burmistrz Migdał. Ani żona bowiem, ani on sam darować sobie nie mógł, że dał się rywalowi ubiedz w inicjatywie tak ważnego dzieła.

Przez dwa dni był w Kącie spokój, w najbliższą zaś niedzielę w nocy obrzucono błotem i wybito szyby w domach: burmistrza, stolarza i w urzędzie gminnym. Nikt nie wątpił, że jest to zemsta nafcjarzy. Ponieważ jednak stróżom nocnym zakazano najsurowiej odtąd noce przesywać, przypadek ten zatem więcej się nie powtórzył i przez dwa tygodnie był spokój, cisza, miasto zdawało się jakby owiane atmosferą czystości, obyczajności i zdrowia, coś tak, jak gdyby mu wycięto raz na zawsze wrzód bolesny i cuchnący. Żony wprawdzie, spokojniejsze teraz o mężów, stały się dla nich znowu mniej czulemi, ale natomiast nadzieje obudziły się w ojcach i matkach. Przewidujący mianowicie nie bez sprytu obliczali, że personal górniczy, pozbawiony sposobności do grzechu, usatkuje się i zacznie Kącianom dostarczać zięciów.

W rzeczy samej kilku młodych górników, nie wiadomo, czy koniecznie w intencji żenienia się, zaczęło odwiedzać rodziny,

mające córki. O Fajwlowej dowiedziano się, że osiadła półtorej mili od Kąta. na granicy sąsiedniej gminy, w karczmie. Jednego razu powstał wszakże mały ruszek, kiedy się rozeszła przygoda służącej Zakładzińskiego, powroźnika mieszkającego na krańcu miasteczka, od strony terenu naftowego.

Dziewczyna ta miała kochanka, z którym schodziła się tajemnie, wieczorami. Wczoraj wielbiciel jej przybył na schadzkę z towarzyszem i polecił go jej względem, utrzymując, że on i tamten to jedno, a kiedy zaprotestowała, zdecydowali ją trochę niegrzecznie, tak, że wróciła do domu spłakana, skarżąc się na zawód w miłości.

Wypadek jej obudził pewne współczucie w delikatniejszych umysłach, ale w ogóle sprowadził na nią potępienie. Gdyby się nie zadawała po nocy z chłopakami, nie byłoby ją spotkało coś podobnego.

Więcej już wagi przypisano innemu zbliżonemu zdarzeniu sługi w tej samej okolicy zamieszkałego mieszczanina Krupiarza.

Dziewczyna ta nie miała pośród Hafciarzy kochanka (fakt niewątpliwy, miała go bowiem w osobie syna swego chlebowodawcy) i nie wykradała się też po za dom na schadzki — lecz wysłana o zmroku do źródła

za wzgórzem po wodę, została napadnięta przez wcale sobie nieznaną dwóch ludzi, którzy postąpili z nią jak najdowolniej a potem jeden został przy niej, drugi zaś odszedł, aby wnet przyprowadzić jeszcze kilku i ci naśladowali oba swych poprzedników tak bez litości, że pokrzywdzona nie pamiętała nawet, ilu ich było i czuła się po prostu chorą. Otóż kiedy sługę, która idzie do źródła po wodę dla użytku swych chlebowodawców, spotyka tak oburzająca krzywda, skrzywdzeni są tem samem — jej chlebowdawcy.

Prawdziwą sensację wywołał wszakże dopiero w trzy czy cztery dni po obu tych, prawie równoczesnych zajściach, wypadek u Gwiazdoniów. Tu już nie o jakąś tam służącą, ale o obywatelkę, o żonę uczciwego mieszczanina chodziło. Rzecz się miała tak mianowicie. Gwiazdoń, wyśledziwszy kradzież, chodził co noc oglądać swe półko kapusty. W powrocie z jednej takiej wyprawy omal nie został przewróconym w progu własnego mieszkania przez uciekającego mężczyznę, którego rysów nie rozpoznał, a który jego żonę zostawił we łzach i rozpaczy...

Wielka zgroza podniosła się w mieście po tak zuchwałym napadzie. Zaczęto rozu

mieć, skąd się te szkaradne wypadki biorą, co ich powodem.

Ale i tym razem jeszcze opinia ochłoneła po bliższem rozpatrzeniu sprawy, albowiem wykazało ono, że Gwiazdoń wychodzi co noc do kapusty nie dla jej dopilnowania, ale aby nie słyszeć gorzkich wyrzutów swej młodej żony (w



stadle tern znajduwano rażącą różnicę wieku...) Okazało się dalej, że Gwiazdoniowa romansowała z jakimś Hafciarzem od dawna i że mąż o tem wiedział a narobił obecnie hałasu tylko ze względu na służącą, która owego wieczora była przypadkowym świadkiem katastrofy zderzenia się gospodarza z gościem we drzwiach i byłaby je i tak sama rozniosła. Uspokojono się więc rychło, ale w nastroju było już teraz coś wyczekującego, jak gdyby wszyscy czuli, że czasy nie są bezpieczne.

Naraz po upływie dni kilku, stała się rzecz niebywała, straszna, potwornością swą przechodząca wszystko, co sic tylko przypuścić dało.

Było to w niedzielę po południu, w jasny dzień sierpniowy.

Rodziny dwóch mieszczan, garncarza Pichdy i Dziaźlewicza, wybierając się za miasto na przechadzkę, ku obrastającemu

je z jednej strony gąszczowi wikliny, po nad zjeżoną badyłami szuwaru sadzawką, szumnie nazywanemu tutaj lasem, w braku prawdziwego — puściły naprzód córki, pięć dziewcząt, którym spieszno było narwać skąpo wśród zarośli rosnących jagód.

Kiedy w jakie dziesięć minut po dzieciach zjawili się "w lesie" i rodzice — matki z pończochą, ojcowie gwarząc o sprawach domowych i gminnych, i paląc fajki, przywitał ich piskliwy lament dziewczęcych głosów i szlochanie rozlegające się na wszystkie strony. Przywoływały ojców, matek, pomocy boskiej, ludzkiego ratunku.

Nieprędko zdołała przerażoną starszyzna pozbierać piątkę, rozprószona jak stado gęsi w popłochu, a kiedy wreszcie zgromadzono wszystkie, po pierwszym wybuchu płaczu wystękały, że napadli je jacyś ludzie. Co za ludzie? — obcy, ale zapewne z kopalni, bo ich było czuć naftą. Opowiadając to, jedna przez drugą, wylękłe, drżące, wśród nalegań o powrót do domu, nie przestawały szlochać. Dwie jednak szczególniej wytrwale zanosily się od płaczu i w żaden sposób utulić się nie dawały matkom, pytającym niespokojnie, co im się stało.

Za całą odpowiedź jedna, łkając, powtarzała w kółko rozpaczliwie:

— Nie wiem!... nie wiem, moja mamo!...

Druga zaś nie wymawiała się wprawdzie nieświadomością, lecz objaśnienia odkładała do domu.

Okazało się, że i ta, co nie wiedziała i ta druga, świadoma, padły ofiarą najfatalniejszej dla młodej dziewczyny napaści męskiej.

Oburzenie zatrzęsło miastem i nie umilkło dzień cały, aż mrok wieczorny zamienił je w trwogę.

Nikt teraz nie czuł się bezpiecznym. Co spotkało dwie obywatelskie córki w biały dzień, o tysiąc kroków od miasta, to każdą obywatelską córkę, żonę, spotkać może nocą w jej własnym mieszkaniu. Nauczyciel miejscowej szkoły wspomniał w pewnym kółku wypadek z historii rzymskiej: porwanie Sabineek, co jeszcze bardziej zaniepokoiło umysły i sprawiło, że posiadającym jakakolwiek broń zazdrozczono powszechnie, na naftę zaś, ową pocziwą, dobroczynną, światłodajną naftę, napelniającą we wszystkich domach lampki, ludzie głębszego poglądu patrzyli z nienawiścią i trwogą, jak na element, w wysokim stopniu zagrażający dotychczasowemu porządkowi rzeczy. Kobiety drżały wieczorem, bały się wyjść za próg, na własnym podwórku podejrzewając dobrze znany cień chlewika,

lub biorąc za ludzką głowę garnek, wetknięty na kół w płocie.

Podniesiony hałas rozszedł się tymczasem aż do kopalni, gdzie przedsięwzięto śledztwo, ale nic nie wykryto.

Dziewczęta nie pamiętały swych krzywdzicieli, wiedziały tylko, że ich było czuć naftą — w kopalni zaś pracowało pięciuset zuchów, z których każdy cuchnął petrolejem, jakby im nawet w żyłach miast krwi krążył.

Sprawcy tedy pozostali w ukryciu, Kątowi zaś ubyły niepowrotnie dwa, łzy wylewające, dziewictwa, których dalsze losy kobiety postanowiły bacznie śledzić, zanotowawszy w pamięci datę.

Burmistrz Migdał miał po tym wypadku noc bezsenną. I słuszna. Kiedy miasto śpi snem niespokojnym umysłów dręczonych paniką, trudnoż głowie miasta zasypiać dobro publiczne.

Myśl o niem męczyła Migdała noc całą a także obawa, która mu się nagle, dopiero po zgaszeniu świateł w mieszkaniu zjawiła: obawa o córki.

Nie zdolawszy mimo wysiłku nic ku zabezpieczeniu dobra powszechnego wymyśleć, postanowił udać się nazajutrz rano do inżyniera, kierującego robotami. Z tą decyzją zdrzemnął się nad samym świtem. Zbudzono go wezwaniem, by poszedł przy

patrzeć się gmachowi urzędu gminnego. Poszedł.

Na drzwiach budynku bielily się kreda wypisane wyrazy, na których widok krew skrzepla w żyłach Migdała. Słowa te brzmiały:

"To jeszcze nie koniec!"

Kto je nakreślił? Nie domyślano się wcale, a biegli daremnie wpatrywali się w charakter pisma, ścigani zdala, z za węgla domu stolarza, oczyma jego tak wcześniej rozwiniętego chłopca, Kazika, który się psotliwie uśmiechał.

Trzeba działać! — pomyślał burmistrz.

Niezwłocznie też udał się do kopalni, gdzie miał dosyć długą rozmowę z naczelnym inżynierem, który niezmiernie ubolewał nad haniebnymi wypadkami, ale otwarcie wyjawiał swoją wobec nich bezsilność.

— Obawiam się kochany panie — mówił — że to się będzie powtarzać. Wy o moralność dbacie tak surowo, a położenie Kąta jest tak nieszczęśliwe, że oni nie mają gdzie się rozerwać. Zważ pan, że to same młode chłopcy.

— Mają tę żydówkę w Dłubniach.

— A dziękuję panu! o półtoorej mili stąd ! Z tego ani oni, ani ja nie mam pożytku. Proszę tylko pomyśleć, jak mi taki człowiek na drugi dzień wygląda, jeżeli po

przedniego dnia zrobi trzy mile pieszo, tam i z powrotem, nie licząc reszty... Nie, już to darujcie mi, ale sensu żadnego nie miało wypędzać ją z miasteczka, czego skutki widoczne.

Migdał ocknął się z przygnębienia.

— Ja jej przecie nie wyrzucałem —

zawołał. — Kolka wszystkiemu winien.

Kolka to zrobił! I to dlaczego? Względem

swego chłopca, tego urwisa, co mu się już wasy sypią!... Wielkie rzeczy! Ja jakem miał szesnaście lat — ho! ho!...

Ale wnet frasunek ogarnął go znowu.

— Cóż zrobić? — zapytał błagalnie technika.

— Ja panu powiem otwarcie: jedyna rada, postarać się, żeby żydówka wróciła.

— Jakże to!... mamy ją prosić? — obruszył się szewc.

— Choćby i prosić.

Mocno zadumany, z kielkującymi po tej rozmowie nowymi na urzędnika społeczne i na moralność poglądami, wracał szewc do domu. Kiedy, przekroczywszy próg, zobaczył żonę, trzasnęła drzwiami, splunął i z aforyzmem:

— Kiepski ten chłop, co baby słucha! —

wyszedł zamasyżać do drugiej izby.

Tu zapaliwszy fajkę, myślał długo — wreszcie, powziąwszy postanowienie, udał

się do urzędu gminnego, dokąd też zgromadził bez czasu straty rajców kateckich.

Tegoż samego dnia, otrzepując pył z butów, niezwykle gość stanął na progu karczmy w Dłubniach, której połąć zajmowała Fajwłowa z towarzyszkami, miły gość, stary i dobry znajomy, policyjant katecki Gwizdek.

Zaledwie ukazało się jego wąsate oblicze, zarazem groźne i śmieszne, podobne trochę do grubo zarysowanej mordy młodego psa, o łagodnym charakterze ale lubiącego szerzyć trwogę ujadaniem — obskoczyły go zaraz z oznakami radości wszystkie dziewczki, mające zawodową słabość do tego przedstawiciela władzy. Zaczęły się pytania, co tam słycać w Kacie, żarty, przypomnienia, wśród czego Gwizdek, otoczony wieńcem rozneglizowanych piękności, zniknął w drugiej izbie. Po jakimś czasie, nawiązawszy zerwane chwilowo stosunki, rozochocony wrócił do pierwszej izby i zagadnął Fajwłowa po przyjacielsku:

— No, pani Fajwłowa, jest tutaj coś i dla pani.

— Dla mnie? co pan może mieć dla mnie! — rzekła żydówka z pewnem lekceważeniem, wyciągając z pończochy, nad którą pracowała z flegmą, zarobiony drut. Następnie zwróciła nieco w tył głowę

i dodała: — Ruchla, dajno kawy z rumem. Napij się pan Gwizdek.

Otyła Ruchla, wyglądająca z powodu dysproporcji swej dużej głowy i oczu z małym wzrostem i małym nosem, na niezwyklej wielkości dziecko, przyrządziła kawy dla policyanta.

— Widzi pani, u nas się tam trochę zmieniło — pociągnawszy trochę ze szklanki, zaczął ogródkami mężczyzna, na co żydówka pokiwała tylko głową ze złośliwym uśmiechem i mruknęła:

— Wiem, wiem.

— Cóż wiecie?

— Wszystko.

Gwizdka zbiło to nieco z tropu. Wnet jednak znalazł sobie dalszą rolę.

— Żeby mi się tak chciało — mówił przybierając minę wpływowej figury —

pogadać z Migdałem, to byś pani mogła

wrócić. Jak Boga Kocham!... Żydówka uśmiechnęła się w milczeniu, nie okazując ani zdziwienia ani radości. Gwizdek więc widział się zmuszonym napierać na nią:

— Cóż pani na to ?

— Co ja na to?... Po co ja mam wracać, kiedy mnie tu dobrze.

Tego się wysłannik władz Kąta nie spodziewał i nie umiał sobie też z tem

poradzić. Daremnie zachęcał żydówkę do powrotu i obiecywał go ułatwić, traktując rzecz ze stanowiska swoich prywatnych dla niej względów. Pozostała wobec jego propozycji jak głaz zimną. Szydziła nawet trochę z wypadków w Kącie.

Używszy, co było u Fajwłowej najlepszego, odszedł wreszcie Gwizdek z niczem.

— Nie chce, nie wierzy — zdał sprawę burmistrzowi.

— Nie mówiłeś jej ani słowa, że ja cię posłałem?

— Ani słóweczka, wedle rozkazu.

Wyprawa pisarza gminnego również pozostała bez skutku, chociaż miała już otwarty charakter misji urzędowej. Ustne zezwolenie powrotu wszakże nie wystarczyło żydówce. Utrzymywała, że wypędzona nakazem na papierze, bez drugiego papieru nie wróci. Coby było, gdyby ją tak zechciano wyrzucać powtórnie?...

I oto stało się, że tegoż dnia jeszcze wstąpił do karczmy w Dłubniach sam burmistrz Kąta Migdał, niby w przejeździe i nic o pobycie Fajwłowej tamże nie wiedząc, na dowód czego stojącej w sionce nie poznał, aż go sama zaczęła pełnym uniżoności powitaniem:

— Kłaniam się panu burmistrzowi, całuję rączki. Dawno chciałam pozdrowić pana

burmistrza i zapytać, czy się tam już u mnie całkiem zaważyło?... Jeszcze nie?...

Migdał ugryzł się w język, by jej nie zelżyć, szło jednak o dobro miasta.

— Stoi jak stało — odparł niby nie zrozumiawszy docinku. — Komisya nawet zbadala, że można mieszkać...  
— Można? tak? — pochwyliła żydówka.  
— Aj jak to dobrze!... bo mnie się na to kupiec trafia, tylko mało dawał. Mówił, że to się lada dzień zwali, bo tak komisya każe. Ale kiedy teraz komisya inaczej każe, to ja będę mogła drożej sprzedać.  
Wyraźnie drwiła. Nie będzie jej przecie prosił. Hamując pasyę, zwrócił się Migdał ku swej bryczce.  
Lecz Fajwłowa zmiarkowała, że przekroczyła granicę.  
— Proszę pana burmistrza, ja coś powiem — i zatrzymała go, zmieniając ton ironii na prośbę. — Ja wiem, że ja w Kącie potrzebna, ja wrócę.  
— No to wracajcie, wszystko mi jedno  
— rzucił.  
— A gdzie moja krzywda.  
— Jaka krzywda?  
— Mój koszt na przeniesienie tutaj... moja strata na czynsz... na zarobek... na przeniesienie nazad?...  
Żydowica w rachunkach była tęga i długo

wyliczała stracone korzyści i poniesione szkody, przeplatając to wszystko wynurzeniami szacunku dla Migdała, przywiązania i gotowości do usług dla Kąta. oraz zrećnie stopniowanymi żądaniami. Przytem zaś trzymała wymykającego się szewca za rękaw, za połę, za laskę, a kiedy zostawiwszy kij w jej ręku, wskoczył do bryczki, wówczas uchwyciła się prętów siedzenia i jeszcze błagała:

— A będzie mi wolno do dziesiątej mieć otwarte?  
— Będzie! będzie!... jedź Wałek.  
— Prrr!... — krzyknęła na konie, ruszające.  
— A policyanty nie będą mi robić o cobądz kłopot?  
— Nie, nie. Ruszaj Wałek.  
— Prrr!... Jeszcze jedno, wielmożny panie burmistrzu! A czy pan burmistrz nie zapomni to wszystko, co mi pan obiecał.  
— Ależ nie, do stu dyabłów, nie!... Jedź!  
— I dostanę papier z pieczęcią ?  
— Dostaniesz.  
Konie ruszyły z kopyta, Fajwłowa odskoczyła.  
— Niech Pan Bóg prowadzi! Szczęśliwa droga! — wołała za odjeżdżającym.  
Nazajutrz rano, na wybojach głównej arteryi ruchu Kąteckiego, zabręczala upręż

koni, z trudem wlokących ludźmi i sprzętami ciężko naładowane wozy.  
Była to Fajwłowa na czele swoich dziewcząt powracająca do Kąta.

I znowu psy z szczekaniem i dzieci bosa z krzykiem i wzniesionymi rękoma wybiegały na spotkanie wozów — a z domów, z po za niedomkniętych drzwi kobiety rachowały ukradkiem te, które, wygnane niedawno tak sromotnie, powracały teraz, gorąco oczekiwane, ubezpieczać ich zagrożoną cnotę.

#### WYRODNE DZIECKO.

W parę minut po obiedzie matka, która z szczególnym roztargnieniem rozdzielała dzisiaj barszcz i porce kaszy z grzybami po talerzach licznej dzieciarni, wzięła spieszącego na zwykłe godziny fortepianowe męża z pewną tajemniczością do kuchni, przepelnionej zapachem świeżo palonej kawy, tłustą wonią tylko co spożytych potraw i pomyj, w których kapały się otoczone kłębamii pary, sterczące ponad brzegi cebra półmiski i talerze.  
— Są już bułki? — zapytała sługi, oplakującej łzami rześistego potu żar pieca i ciężką godzinę mycia naczyń.  
Aby się pozbyć świadka, zleciła dziewczynie: — Idź zawczasu do sklepiku, bo znowu przyniesiesz wybiórki. Państwo zostali sami. Mąż wykałał zęby zapałką w pozie pytającej, żona przesunęła

za ucho kosmyk siwych włosów, który jej lał w oczy.

— Słuchajno — zaczęła zcziszonym głosem, wlepiając weń wzrok strapienia —  
Niuńka widuje się codzień z Adlerem.

Muzyk przestał dłużyć w zębach i prostując się nieco, oddał swe zdziwienie ostro zaakcentowanym pytaniem:

— Co ty gadasz?...

— Jak cię kocham. Papczyńska przed samym obiadem wpadła na momencik do kuchni i przysięgła mi się, że ją z nim widziała dwa razy. Niuńka wchodzi do kościoła św. Trójcy jedną stroną, wychodzi z drugiej natychmiast i biegnie na Ustronną, gdzie on już czeka, a potem razem idą niewiadomo gdzie. Nie mogła wyszpiegować, bo Adler co krok się oglądał.

Mężczyzna syknął przez zęby wściekle:

— A to łajdak dziewczyna. Ona mi grób kopie!... I o jakim to czasie było?

— Po południu, w godzinach "robót".

— Więc ona sobie zamiast na kursa... Zawołaj ją tu zaraz, tę bestię.

Matka zlekła się sceny.

— Bój się Boga, dzieci będą słyszeć!... Powtórzyl silniej:

— Zawołaj, kiedy mówię.

Wyszła, spuszczaając w ziemię oczy pełne niepokoju, on zaś przechadzał się

po kuchni, wdychając narkotyczną woń palonej kawy, której połyskujące, brunatne ziarna stygły rozpostarte na serwecie, i poił się zapachem z mimowolną przyjemnością, przeszkadzającą mu oddać się całkowicie wzburzeniu zgryzionego ojca, którego dziecko w grób wpędza.

Usłyszawszy skrzyp drzwi, odwrócił się, by z odległości przeszyc surowym wzrokiem grzesznicę. W kapeluszu i zakiecie, z pobladłą nieco twarzą i spuszczonej oczyma, weszła za matką wzruszona przecuciem czegoś niedobrego. Postąpił ku dziewczynie i z gwałtownym giestem gniewu rzekł szybko, dobitnie, półgłosem:

— Co to?... Jużeś się ubrała?... Tak ci pilno na kursa?!... Proszę mi to zdjąć natychmiast! Zamkniesz jej kapelusz do szaty, w chustce może nie polecą... Żebyś sobie wiedziała, że od dziś dnia nie wyjdiesz więcej z domu ani na krok sama... A teraz ruszaj mi z oczu ty... ty... bezwstydnico!... Za powrotem się z tobą rozprawię.

Przeszył ją zjadliwym spojrzeniem i pewien, że znalazł się jak na ojca rozumiejącego prawa i obowiązki głowy rodziny przystało, wyszedł rozczarowany, trzaskając drzwiami, dziewczyna zaś, z tchem

zapartym, z sercem bijącym mocno w głębi jej młodego, ślicznie rozkwitłego biustu, który drgał od jego uderzeń, weszła za matką do jadalni. Ponieważ młodsze rodzeństwo wychodziło właśnie do szkoły, pomogła więc ubierać się najmniejszemu braciškowi i siostrzyczce, wkładając na nich płaszcze, przyglądając im włosy i pakując książki do torebek. Była jeszcze ciągle w zakiecie, tylko kapelusz zdjęła.

Skoro została sama z matką, kręciła się czas jakiś po mieszkaniu, rzucając badawcze spojrzenia to na zegar ścienny, którego wskazówka posuwała się niepowstrzymanie, to w stronę starej kobiety, zajętej układaniem poduszek na solce do poobiedniej drzemki.

Nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, spytała wreszcie z cicha:

— To ja nie pójde dzisiaj na "roboty"?

Matka, zachowująca się tak, jakby córki całkiem nie było w pokoju, odparła z uśmiechem:

— Nie.

Wtedy Nusia, rzuciwszy ostatnie, rozpaczliwe spojrzenie na zegar, zacięła usta, zdjęła z siebie żakiet popędliwie i rzuciła go bez słowa odpowiedzi. Potem wspiąwszy się na palce, aby z wierzchołka szafy wziąć książkę w zniszczonej oprawie z du

zym numerem publicznych czyteln na wierzchu, odszukała w niej kartę o zagiętym rogu i zagłębiła się w czytaniu przy oknie, pełnym pospolitych kwiatków pokojowych, W pozie niezrozumianej i skrzywdzonej osoby, którą przestał obchodzić świat otaczający. Zanim jednak zdążyła przebiedz kilka wierszy, matka, która zwinawszy się w kłębek na sofce jak kot udający drzemkę nad złowioną myszą, śledziła z pod szalu ukosem, co dziewczyna robi, wprawiła ją w drżenie nagłem:

— Zabierz no ty się do jakiej roboty!

nie trać czasu na czytanie. Nie tobie siębawić... Widzicie ją!...

Dziewczyna poruszyła się w pantomimie urażonej dumy, jaką widywała u teatralnych kokot, nadających sobie na scenie tony dam.

— Czegóż mama znowu chce odemnie? — wyrzekła podnosząc czoło.

— Ja ci tu zaraz powiem: czego? — wrzasnęła stara — ty szkarado!... .Myślisz może, że my nie wiemy?!... że to się Bóg jeden wie dokąd ukrywać będzie?... Jesteś bez czci!... bez wstydu!... Z człowiekiem, który ją na całe życie skompromitował haniebnie, wdawać się jeszcze w pokątne miłości!... włóczyć się po zaułkach jak

szwaczka! afiszować!... Ty naszą śmierć przyspieszasz, ty dziecko bez serca, bez czoła!...

Złość i gadulstwo starych bab rozwiązały matce język, formując nieubłagany akt oskarżenia, z którego winowajczyni wychodziła w czarnej postaci urodzonej grzesznicy, wyrodka, a jej uwodziciel ostatnim z hultajów.

Cała pogrzebana w obyczajnym milczeniu bogobojnych ognisk rodzinnych awantura z przed dwóch miesięcy została tutaj odgrzebaną i wyciągniętą na światło, zacząwszy od poznania się Niusi z baronem Adlerem, zuchowatym i majątnym porucznikiem od huzarów na jakimś baliku mieszczańskim, aż do protegowanego skrycie przez rodziców romansu na letniem mieszkaniu, który urwał się nagle, nieco za późno przerwany przez ojca zbłąkanej. Przytaczając jaskrawe szczegóły tej historii w oświetleniu dla dziewczyny jak najbardziej potępiającem, matka ochrypla z uniesienia, a twarz jej, wyglądająca zazwyczaj w otoczeniu siwych pukli na oblicze dostojnej matrony, stała się teraz w koronie rozczochranych włosów podobną obrzydliwej i śmiesznej masce kłótlivej wiedźmy z ludowych melodramatów.

Nusia słuchała z początku oniemiała ze

wzruszenia. Ale w końcu, gdy matka parę razy zbyt brutalnie dotknęła jej miłość własną, owładnęła ją rodowa swarliwość.

— On mnie kocha! i ja go Kocham!... — wyrzuciła z pałającą twarzą i ogniem w oczach, zdając się jednocześnie tłumić cisnące się jej na usta argumenty.

— Kocha cię?!... Ha! ha! ha!... — rozśmiała się matka szyderczo — to sławne!... Gdyby cię kochał naprawdę, nie bałamuciliby cię po kątach, aleby się z tobą ożenił... Rozumiesz? Ale za co on cię ma?! za co?!...

W dziewczynie konała cierpliwość. Walcząc z sobą jeszcze, szarpała z wściekłości stanik, aż doprowadzona do ostateczności zerwawszy się ku matce, wyrzuciła z dygocących ust zmienionym głosem:



— Gdyby mnie nie kochał, nie byłby  
za mnie dał ojcu pięciu tysięcy!...

Odwróciła się z impetem, pobladła, przykuwając do siebie oczy matki, którą zdumienie unieruchomiło i zdławiło słowa w jej ustach, drżących jak w febrze.

Otrząsnąwszy się z pierwszego osłupienia, stara spuściła nogi z sofy na ziemię i poprawiwszy spódnicę, wyszepnęła groźnie:

— Coś ty powiedziała?!...

Ale Nusia stała się nieustraszoną. Budzący się do życia egoizm młodej dziewczyny, krępowany przez egoizm cudzy, źle

przysłonięty płaszczykiem udanej moralności, wybuchnął jak szczekanie zaczepionego psa. Raz odsłonięta tajemnica poruszyła ją do głębi, wydobyła na jaw całą złość dziecka złych rodziców, któremu otwarły się oczy, które poznało nędzę tych, co wymagali dla siebie szacunku i miłości i pozując na świętych, lżyli ją w imię cnoty, a po cichu sprzedali ją, przehandlowali w sposób brudny, niegodziwy, podstępny, chowając dla siebie pieniądze za jej cześć.

— Tak jest! Adler zapłacił za mnie pięć tysięcy, gdy mu ojciec pogroził procesem. Zdradził się przypadkiem, a potem powiedział mi wszystko, skoro poznał, żeście te pieniądze schowali, że z nich nie oglądałam ani grosza. Dał co ojciec zażądał i dałby dwa razy, dziesięć razy tyle, bo mnie kocha!... Nie tak mnie kocha jak wy, coście mu mnie naprzód podsuwali, (tak jest, teraz to widzę doskonale), a dziś traktujecie mnie, jakbym to ja była winna i nie chcecie mi kupić głupiej sukni. On gotów był dla mnie do każdej ofiary. Dla tego też kocham go, widuję się z nim i choćbyście mnie zamknęli, widywać będę dalej, jeżeli będzie potrzeba — ucieknę!...

Cios był straszny dla serca matki, zwłaszcza, że zarzutów dziewczyny nie miała czem odeprzeć.

Z wywróconymi białkami oczu i przeraźliwym wrzaskiem: "Wyrodne dziecko!..." zemdląca. Pod padającym bezwładnie ciałem sprężyny sofy wydały jęk.

Ocucona samem zbliżeniem się spieszącej z pomocą córki, której nie pozwoliła się dotknąć, uczuła się w następstwie zajścia ciężko chorą. Przywoławszy służbę, wydała jej rozkaz rozebrania łóżka. Stękając jak konająca, z głową manifestacyjnie obwiązaną zimnym kompresem, położyła się.

Wieczorem, gdy wrócił ojciec, horyzont zapełniły chmury. Widok zbolalej matki z okładem na skroniach, który w kronice domowej oznaczał przewroty, poważne i milczące twarze rodziców przejmowały dzieci strachem. Ponieważ żadnemu nie było wiadomem, co właściwie zaszło, gdyż Nusia wzruszeniem ramion zbywała pytania, każde zaś w głębi duszy miało sobie do wyrzucenia jakiś grzeszek tajony, wszystkie więc układnością i cichem zachowaniem starały się zażegnać burzę, zdającą się wisieć nad głowami. Zakopały się w pracy i milczeniu z potulnymi minkami wzorowych dzieciątek. Podczas kiedy ojciec i matka odbywali przy drzwiach zamkniętych długą i tajemniczą konferencję, Nusia ukradkiem, co żywo, kreśliła ołówkiem list do kochanka w ciemnej bawialni, korzystając jedynie

z blasku latarni gazowej, która rzucała z ulicy w okno nieco światła. Tegoż dnia liścik rzucony został przez jednego z braci do skrzynki pocztowej.

Wszystkie dzieci już spały, spożywszy kolację, wydaną przez służbę tym razem, po kątach, bez zwykłego solennego zasiadania przy wspólnym stole, tym ołtarzu uczuć rodzinnych, bez udziału ojca i matki. Niusia czuwała sama jedna w mrokach bawialnego pokoju. Naraz drzwi od sypialni rodziców otwały się i wyszło z nich, z odrobiną światła, suche, poważne jak głos sędzi słowo ojca:

— Chodź tu.

Drżąc weszła.

Zaczął się długi, dziwnie uroczysty z powodu nocy i półszeptu, w jakim stary przemawiał, wykład moralny, w którym więcej było wyrzutów niżeli karceń, więcej żalu niż gniewu i jakaś miękkość rzewna, choć gorzka, jak gdyby mężka siła ojca nadłamaną została okrutnym ciosem zgryzoty.

— Pamiętaj! — mówił metr smętnie, podnosząc przytem palec w górę jak kaznodzieja, gdy prawi o piekle — że za rodziców Pan Bóg ciężko karze!... a choćby nie ukarał, sumienie odezwać się musi... Wiem, że przez ciebie szła mówił, nieszcze

sna dziewczyno, ale gdybyś ty miała serce, nie pozwoliłoby ci ono nigdy posunąć się do tak haniebných zarzutów przeciw tym, którym największe dobro: życie! — masz do zawdzięczenia, a którzy w zamian za niesławę, jaką na schyłku dni ściągnęłaś na ich stare, biedne, niczem nie splamione głowy, mając zawsze jedynie twój los na oku, pamiętali o nim do końca i bronili twego dobra jak swego... Bo przecież te pieniądze — Boże jedyny — to twój posąg!... One miały wynagrodzić bodaj w części twoją krzywdę, uczynioną ci przez niegodziwca, naprawić twoją własną lekkomyślność. My ich dla siebie nie potrzebujemy, bądź pewna. My już zresztą nad grobem. Są twoje!... Ja przynajmniej prędzejbym z głodu umarł, niżeli ruszył jednego centa... a te paręset reńskich... które... już się wydało... poszły w dom... dla was... dla ciebie i twego rodzeństwa...

W istocie dzieci dostały nowe trzewiki, do salonu sprawiono paradną lampę, a ojciec obstał sobie okazałe futro, niezbędne dla muzyka, udzielającego lekcji w zamożnych domach.

Nakoniec wyszło mu w gardle. Widząc przytem, że się zaczyna powtarzać, wydobyl z piersi ostatnie vibracje bólu i odprawił grzesznicę rozdzierającym duszę

oznajmieniem, iż serce ojca odwróciło się od niej na zawsze, poczem, wyczerpany wrażeniami, spożył stojąc kawałek kielbasy, popił piwem, którego pół butelki zostało za oknem od objadu i położył się spać. W kwadrans cały dom chrapał, nawet matka, która, gdy mąż odwrócił się do ściany, na chwilę tylko wyskoczyła z pod kołdry, aby się podrapać w swędzące od leżenia miejsca i ukrywszy się z głową jak w namiocie w białych przestworach koszuli, łowieniu pcheł do światła lampy poświęciła ostatnią minutkę straszego dnia.

Nazajutrz podeszła kobieta, którą wołały do czynu liczne obowiązki gospodarskie, siłą woli dźwignęła się z łóżka i otrząsając zgryzotę, oddała się zwykłym zajęciom. Tylko biała przepaska na czole mężnej mówiła, że przez tę duszę przeleciał wczoraj huragan boleści.

Wnet rzeczy poszły dawnym trybem. Dom napełnił się hałasem dzieci, zrzędzeniem matki i dosadnymi wyrażeniami ojca, który zjawiając się w domu na krótko, zmuszonym był objawiać swą wolę i swój temperament w skondensowanej formie terminów, opuszczanych zazwyczaj przez słowniki. Powietrze jednak zdawało się nieco lżejszem. Najstarszym w rodzinie przestała

dolegać tajemnica, która w równym stopniu przykrą jest winnemu, jak winowajcy.

Po kilku dniach, w ciągu których zaprzysiężony sprzymierzeniec Niusi, brat z czwartej gimnazjalnej, odniósł na pocztę w sekrecie parę listów pod adresem Adlera i wrócił z odpowiedziami poste restante

— rodzice poczęli się nawet naradzać, w jakiby sposób sprawić córce tę suknię, którą wspomniała w wyrzutach matce zro bionych, a która musiała przyczynić się znacznie do zaostrenia sprawy. Naraz Nusia znikła. W kapeluszu jednej z młód szych siostr, w rotundzie matki, ponieważwłasne jej suknie były pod kluczem, zni knęła w najmniej spodziewanej chwili, pod czas śniadania, wyszedłszy do kuchni pod pozorem nabrania z konewki świeżej wody

— i nie pokazała się dzień cały.

Gdy nadszedł wieczór a jej jeszcze nie było z powrotem, rodziców ogarnął strach. Nie bali się o dziewczynę, pewni, że nie poszła do rzeki tylko do kochanka, lękali się jednak skandalu i fatalnego przykładu dla mniejszych dzieci, za młodych jeszcze do wtajemniczania się w praktyczne strony życia, którego szczytne teorie dom i szkoła wpajały w nie dopiero zjednoczonymi siłami na chwałę bożą i pożytek społeczeństwa.

Nie wiedzieli, jak sprawę ukryć, co czynić, by nie nabrała rozgłosu.

Doprowadzony do wściekłości metr fortepianu, którego klientela bardzo była czułą na skandal, odgrażał się na boku przed żoną z pięściami ściśnietymi w kulak i w groźnej postawie ogarnionego gniewem atlety:

— Ja temu łotrowi wszystkie kości połamię! — co zona przyjmowała jedynie jako figurę retoryczną, nieco przesadnąwprawdzie, ale na miejscu w ustach zroz paczonego ojca i odpowiedzialnej głowy rodu.

Tymczasem porucznik od huzarów przysłał list, nadany na dworcu kolejowym.

— Wyjechali! — zawołał mąż. —

Wyjechali za granicę!... Przeczytaj, co ten gałgan pisze!...

I rzucił list żonie.

Baron, nazwany gałganem, tłumaczył z jaskrawą jasnością. Zapatrując się na kwestyę miłości krańcowo, oświadczał, że: ponieważ kocha Niusię i jest przez nią nawzajem kochany, to tedy, co oboje czynią, ich samych tylko, z natury rzeczy, obchodzi wyłącznie, nikogo więcej. "Wam, moi państwo, tern mniej do tego, że wzięliście odszkodowanie, którego wysokość Pan sam oznaczyłeś". Za darmo wyplaco

nem nie zostało. Gdy ktoś stłucze wazon lub rzeźbę i wartość jej zwróci właścicielowi — ma prawo zabrać czerepy. Cnota staje się takim samym towarem jak inne z chwilą kiedy się na nią cenę nakłada.

— Czy słyszałaś kiedy coś podobnego?!... To łotr!!... Co za cynizm bezwstydnym!... Ale za pozwoleniem mój panie!... Za pięć tysięcy nie sprzedaje się dziecka!... Cóż ją czeka?!... Pobawi się, pobawi dziewczyną i rzuci jak niedopałek papierosa. I co potem?!... Kto ją weźmie?... Bo przecież rzecz się rozniesie. Te pięć tysięcy... cóż one dzisiaj znaczą?!... Zresztą już nie ma ani półpięta...

— Jakto?! Myślałam, żeś wydał co najwyżej ze trzysty?...

— Trzysta było jeszcze tamtego tygodnia... Ha ! masz dowód najlepszy, jak pieniądze lecą...

Ogrom zdarzenia pogrążył ich w zadumie. "Co tu począć?" — pomrukiwała raz po raz matka tonem myślicielki, stojącej w obec niezmiernie zawilego problemu, w gruncie rzeczy cała oddana niepokoju o dalszy los pieniędzy w rękę męża, który "prędzej by umarł, niż użył z nich dla siebie choćby centas.

Pomysły jednak rodziły się zawsze w głowie ojca.

— Musisz jechać za nimi! — orzekł nagle po pewnym namyśle.

— Ja?!... Bój się Boga!

— Przecież nie ja!

— Sądziłabym, że właśnie ty, jako mężczyzna... Czyż ja sobie z nim poradzę?...

— Tu nie o niego idzie, lecz o nią.

— Ona nie wróci, żebym tam nie wiedzieć co robiła ! Jestem tego pewną.

— Nie o to mi idzie, żeby wracała, bo to nie zmieni bynajmniej na lepsze stanu rzeczy, lecz żeby miała rozum !...

Pojmujesz?...

Trzeba ją oświecić, powiedzieć, aby pamiętała o jutrze... Kiedy się już tak zaawanturowała, to niechże na tern nie traci, lecz... no, niech ma z tego jakąś korzyść, do diabła !... On oczywiście dla niej szaleje, jak widać z wszystkiego.

Niechże za to przynajmniej ona nie będzie waryatką. Kto wyrzuca ni ztąd ni zowąd pięć tysięcy, wyrzuci ich więcej.

Ale ta baronowska fantazyja wnet skończyć się może, dopóki więc trwa, Nusia powinna z niej wyciągnąć trwalszy pożytek, nie szukając przelotnej rozkoszy w samym trwonieniu...

— Potrafisz jej to przecież, chyba wy

tłumaczyć?... nie?... Przecież tu idzie o całą jej karierę na miłość boską, o szczęście!...

Nie opuszcza się dziecka w tak decydującej chwili.

— To będę teraz tak mówiła a przedtem mówiłam wprost przeciwnie?!... Jakżeż ja mogę?!...

— Nie bądź też głupią! proszę cię!... Co tutaj ma do rzeczy, jak się przedtem mówiło. Co innego było przedtem, co innego jest teraz. Wszędzie i zawsze mówi się to, co każą okoliczności. Przytem łatwiej tobie z nią mówić, niż mnie. Wy kobiety, prędzej się zrozumiecie. A wreszcie przestań raz robić te nieszczęśliwe miny. Pakuj się i jedź, skoro tak powiedziałem. Nie przyprowadzaj mnie do pasy!... Czyż wszystko ma być zawsze na mojej głowie? na głowie tego, który i tak od rana do nocy wszystkie swoje siły do ostatniego tchu dla waszego dobra wyęży? !... Więc w niczem ulgi? wyręczenia?... Doprawdy chwilami cierpliwość mnie już odbiega. Jeżeli nawet najbliżsi będą mi tylko utrudniać walkę, przyjdzie w końcu człowiekowi żałować, że żyje, że ma dzieci, że się rodziną otoczył!...

Umilkł, matka schyliła głowę, przyznając mu w duszy rację, po chwili zaś zapytała zrezygnowana : o której pociąg odchodzi?

W dwa miesiące potem, akt prawomo

cny uczynił Niusię, bawiącą z Adlerem we Włoszech, właścicielką sumy ., deponowanej w banku na jej imię i do jej wyłącznego rozporządzenia z dojrzeniem do pełnoletności. Między najstarszą córką a rodziną stosunki odzyskały utracone ciepło. Pisywano do siebie często i całowano się wzajemnie w zakończeniach listów nieskończoną ilość razy. Święty głos krwi zwyciężył wszystko.

U OGNISKA.

SZKICE.

## U OGNISKA.

Od godziny już biadał cieśla nad okropnością zaszłego faktu. Z niesłabnącą gadatliwością starego, poczciwego zrędy, którego troska unosi, rozwodził się nad tyra ciosem niespodzianym a tak strasznym, co spadał na jego siwą głowę i jego sławę dotąd niesplamioną.

Czyby się był spodziewał?.. przypuścił?.. czy mu przez myśl kiedykolwiek przeszło, aby ich jedynak Staszek, to dobre, poczciwe, pociech im samych dotąd przysparzające chłopczysko, ten syn ubóstwiany, zazdrość innych ojców i matek, pokusa dziewcząt, zuch nad zuchy między młodymi — aby on właśnie, nadzieja ich jedyna, tak wielkie, tak okrutne sprawić im miał zmartwienie?.. I wstydem, zgrozą, żalością przejęty, giestykulując żywo rękoma, wstrząsając siwe brwi i wąsiska, przemierzał gwałtownym krokiem mieszkanie, którego ład, czystość i spokój zdawały się zdumionemi oczyma patrzeć ze wszystkich kątów na gniew wzburzonego starca.

Matka tymczasem, otyła starowina, strapiona i oniemiała przysłuchiwała się wszystkiemu w zgarbionej postawie, z policzkiem

frasobliwie obłożonym jedną ręką, nie mając w tych rzeczach własnego zdania, jak w wielu innych, przejmując się ślepo poglądami męża.

Ostatnia zostawała im jeszcze nadzieja, że wieść jest fałszywą, że dali się omamić plotce, dlatego niecierpliwie czekali powrotu syna.

Z żywymi ruchami, zwyczajem swoim, jak bomba, wpadł chłopiec do mieszkania. Rzucił w bok kapelusz, zrywając go z głowy tak gwałtownie, że aż to mogło wzbudzić obawę, aby i głowy razem nie zerwał, wycisnął ustami na ręce matki czerwony ślad jak od kulaka, cmoknął w ramię ojca i odgarnąwszy jedną ręką jasne włosy z czoła, drugą rozpiął surdut i padł na krzesło w zawadjackiej pozie.

— Mamo! jeść... — wesoło zawołał — bo umieram z głodu...

Ale matczyńsko, zamiast, jak zwykle, powlec się ku piecowi po ryneczkę z bigosem, postąpiła do Stacha, o trzy kroki już wyciągając usta i ręce do całusa.

Rozbeczała się stara, poczęła syna gładzić ręką po policzku a do drugiego przyłożyła swoją załzawioną twarz i z oczyma na męża zwróconemi, samem zjawieniem się chłopca w domu, samym jego widokiem na jego przeciągniętą stronę, wyrzucała płacząc a wesoła:

— Ej, plotki, plotki Kubusiu... Czyż on na to wygląda?.. Przypatrz mu się dobrze...

To prawda, i ojciec tak sądził. Wpatrywał się z czułością w twarz jedynaka, poczciwą, zdrową, szczerą, w jego jasne oczy i ten uśmiezek figlarny pod małym figlarnym wąsikiem,

i rozpogodzony myślał już na pewne, że to są oczywiście plotki, co słyszał w sklepie u rymarza, zmyślenie, bajka, złość ludzka. Podejrzanie takie mogło się przyjąć w jego umyśle tylko pod nieobecność syna. Staszek wyjaśni wszystko — tylko się pierwiej niech naję.

— Matka, a czemuż ty mu nie dajesz jedzenia ? Porwała się czempredzej, aż deski podłogi zaskrzyptały i już woń bigosu, buchając z pod przykrywki na pokój, niby z kadzielnicy troskliwości macierzyńskiej, sunie ku stołowi.

Lecz Staszka uderzyło zachowanie rodziców.

— Niby jakie plotki, matuchno? — zapytał z żywym zdziwieniem.

— Jedzno, jedz wprzód, łobuzie, a potem dopiero będzie sprawa — odparł stary, i poklepał syna po ramieniu dobrotliwie.

Tymczasem matka przyniosła nóż i widelec, sól, ukroiła chleba. Ale chłopiec, nie wydobywszy jeszcze pierwszego kęska z głębi ryneczki, odłożył widelec.

— Kiedy nie będę mógł jeść, jeżeli się nie dowiem...

Ojciec się zawahał, matka przybrała minę biorącej syna w obronę — ale spieszyło się przecież obojgu poznać prawdę.

— Bo widzisz... — bąkał stary — słyszeli my tu... że tego... żeś podobno...

— Mój Staszeczek!.. — wtrąciła dla złagodzenia przykrego śledztwa, czule, matka.

— Że niby — ciągnął ojciec pewniejszym głosem, aby raz skończyć — że niby należysz do tego nowego towarzystwa, co to wiesz...

Staremu twarz spoważniała, synowi też ale niezmiészany odparł bez namysłu:

— A tak — niby najprostszą, najniewinniejszą rzecz w świecie.

— Ty?! — zawołał ojciec głośno, z szczerem oburzeniem.

— Ja — odrzekł chłopak pogodnie.

— I jesteś jakimś starszym między tymi?..

— Wybrali mnie.

Zmartwiło go wrażenie, wywarte tem wyznaniem, lecz patrzył spokojnie; ani żałował, ani się wstydził. Matka czekała, co stary powie, ten, jakby weń piorun trzasł.

— Bój się Boga! chłopcze! cóżeś ty najgorszego zrobił!! — wybuchnął po chwilowem milczeniu, podnosząc ręce ze zgrozy i potrząsając nimi w powietrzu. — Bój się Boga synu!!

A matka zaszlochała:

— Mój Kubusiu, tylko się nie martw!

Stary zaczął wylewać żal swój. Zaczął wyrzucać synowi krok jego nierozważny, haniebny, zaczął go strofować, więcej doznając, niżeli pragnąc sprawić przykrości. Przedstawiał w najczarniejszych kolorach czyn jego, to wpisanie się. należenie, to przewodzenie w młodem towarzystwie robotniczem, które potępiał ksiądz proboszcz, sąsiad w oficynce adjunkt z magistratu, i winiarz z przeciwnika i cyrulik wpodle, i pan Kapcanek rymarz, i cała ulica, i całe pewnie — o! na pewne — miasto. Towarzystwo to, podobno zawiązane pokryjomu, bo tak stało w Rajfurze (a choćby i jawnie, to i cóż...), potępiała — zdaniem

starego cieśli — władze, potępiały siwe głowy, potępiali ludzie z tytułem i znane firmy — więc nad takim towarzystwem nie mogło być błogosławieństwa boskiego.

Stary się rozczulił, matka szlochala, podziwiając karnodziejski talent Kubusia, a chłopak słuchał uważnie, z głową spuszczoną, przebierając okruszyny chleba na stole, nie tracąc żadnego słowa.

Po całogodzinnej przemowie wyglądał na przekonanego, więc go też matka ugłaskała, dała mu herbaty, pokosztowawszy, czy dość słodka — a stary, trochę sobie wyrzucając swą surowość, położył mu rękę na ramieniu i aby przyspieszyć odpowiedź syna, rzekł:

— Mówże co, nie siedź tak.

Stach wyprostował się na krześle. Odetchnąwszy z głębi piersi, pocałował oboje w rękę, i zatrzymując ojcowską, poprosił, z oczyma w jego oczy pogodnie wpatrzonemi:

— Tato? mój tato, zrobi mi tata jedno?

— No ? — odrzekł stary, chwycony za serce serdecznym tonem syna.

— Chodź tata ze mną.

— Gdzie?

— Tam.

— Gdzie: "Tam?"

— A do nich, do tego wyklętego towarzystwa. Słuchał tatuś, co ludzie o tem gadali, niechże tata zobaczy na własne oczy. Przecie ludzka mowa nie nieomylna a czasem obmowna. Niech tatuś tylko zobaczy...

— Ja?.. tam?.. Idźże... jakby to wyglądało!...

Jakiś niesmak i obawa owładnęły starym, jakby go kuszone do czegoś złego.

— Jak tatę proszę!.. Nic w tem nie będzie złego.

Matka odczuła szczęśliwy pomysł, ufała chłopcu.

— Ta juści, że złego w tem nic być nie może... Czemubys nie miał pójść zobaczyć... Stach by cię nie namawiał.

Podmajstrzy mrugał oczkami, rozważając. Nareszcie sięgnął po czapkę z daszkiem i rzekł z decyzją:

— Dobrze. Pójdę. Ale jak cię stamtąd zabiorę... nie wrócisz więcej ? !..

Usta Staszka zaśmiały się tak, że tylko je całować, co też matka zaraz uczyniła.

— Zgoda. Nie wróć, jeżeli mi tata zakaże. Ruszyli ochoczo, odprowadzeni do drzwi przez matkę, pełną dobrych przeczuć.

Izbiny lokalu młodego towarzystwa były puste, ale białe i czyste. Na środku stół, pełen gazet, książek, szafa z książkami pod ścianą, wieszadła, ławki, krzesła, jasno świecąca lampa u sufitu, i pełno młodych chłopaków a wszystko czyta z zajęciem lub gorąco rozprawia.

Skoro podmajstrzy z synem weszli, zaraz rzucono się ku Stachowi, bo był tu jeden z pierwszych, a starego, który był ambitny i sam też lubił przewodzić w młodości, chwyciło to za serce. I jemu się pokłoniono, niektórzy go bowiem znali.

— Siadźże se tata, ja tu mam trochę roboty — szepnął Stach.

Stary usiadł i patrzy. Rachuje obecnych.



Jest ich ze czterdziestu. Niektórzy wychodzą, ale przybywa ich coraz więcej: same młode, śmiałe chłopcy, z minami pocziwemi, budzącymi ufność. Żle z oczu żadnemu nie patrzy, nie zważają się tu więc chyba — jak sądzi pan Kapcanek — na nic złego.

Czyta wszystko, czyta, odmienia gazety, książki a czyta. Ale tam szepczą... O czym? Czy nie jakie spiski lub bunty przeciw majstrom?..

Podszedł nieznacznie, wstydząc się w duszy podsłuchiwanie, lecz idzie mu o syna!..

Eh! niewinna gawęda młokosów: to złe w świecie, a to dobre, tak być powinno a tak nie — przerabiają świat własnym konceptem, nie bardzo dojrzałe lecz uczciwie... Dzieci — ale myślą, o czym myśleć warto, należy.

Ba! zaczynają pleść głupstwa... Wtem wchodzi jakiś z drugiego pokoju.

— Co to? jakto? nieprawda. Nie tak jest a inaczej...

I jak im zacnie mówić, wykladać, pouczać, uczciwie i mądrze, jak stary...

Dobrze się tu dzieje: ciemnemu otwierają oczy.

— Czy to jaki student? — pyta cieśla szeptem bliżej stojącego.

— Nie, to jeden mechanik.

Teraz mowa w gromadce o jakimś nicponiu. Wszyscy się oburzają, potępiają próżniaka opoja, wicherzyciela.

— Takich — mówią — nie powinno być tu między nami. To wstyd dla towarzyszy.

A teraz znów mowa o doli biednych ludzi, i jak to zjednoczonymi siłami można i trzeba się oświecać, podnosić, uszlachetniać, i jak się to z czasem zrobi, zrobić musi, byle jedność, byle wytrwanie.

— Nie głupie chłopaki, jak Pana Boga kocham — myśli cieśla — nieźle mają w głowie. Ja se to samo kalkuluję nie od dzisiaj, patrzący, jak naród roboczy cierpi a cierpi.

Wśród tamtych zaś jeden prawi:

— Nie powinno być krzywdy, próżniactwa, nie powinien biedak wszędzie nadstawiać karku za możnego i takich, co z nim trzymają... Sprawiedliwość niech będzie dla wszystkich jedna, kto sprawiedliwy.

— Święta prawda! — myśli stary — w kościele lepiej nie mówią. — Udobruchał się zupełnie, w gębę go zaczyna śwędzić, chciałby przemówić do nich cieplej, dodać im ducha, pochwalić.

Wtem zerknął przez drzwi do drugiego pokoju, gdzie Staszek liczył pieniądze, przyjmował, chował do puszek i zapisywał.

— Nad pieniędzmi mu dali dozór?.. — ou! ma tutaj wiarę, znaczy...

A jak ta biedota składa ochotnie miedziaki na wkładki, na zostających bez pracy, na bibliotekę, na pismo — bo to dzień sobotni, dzień wypłat... Czyliż nie lepiej, że te pieniądze tu znoszą, na takie cele, niżeli do szynków i lichy wie gdzie jeszcze?

A przybywa ich coraz więcej, aż miło, aż radość, aż ciepło...

W tej chwili drzwi się otworzyły z trza

skiem. Dwóch stolarzy coś dźwiga: nowe ławy — dar członków, własna ich praca, dla młodego, ubożuchnego gospodarstwa w stowarzyszeniu.

W zamieszaniu jakieś od pół godziny z zakłopotaniem chowające się w kącie chłopiętko. Introliigator, dobywa z za paltota obraz i oddaje na uboczu, jak gdyby wstydząc się swego daru. Obraz na ścianę... A z pod ściany tej znów. przypomniawszy sobie to teraz widać, porywa się dwóch zagadanych lakierników na ławę i wołają ponad głowy wszystkich ku kasyerowi:

— To jakże będzie z temi drzwiami, ze stołem, z krzesłami, panie Stanisławie? Kiedyż się to pomaluje — bo czas jest. Tamten na to:

— Może w przyszłym tygodniu w wolniejszej chwili. Patrzajcież, jaka ciżba.

Ciżba też była jak w ulu.

Aż oto drzwi się znów otwierają z hałasem, głośny tupot od schodów dolata.

Wchodzi dziewięciu chłopów jak mur: cieśle, w zakurzonych butach, powracający z roboty za miastem, gdzie byli przez pięć tygodni przy budowie. Stary zna niektórych. Wałą prosto do kasy. pozdrawiając wesóło po drodze na prawo i lewo, opaleni, spoceni, weseli odbyciem ciężkiej pracy, przesiąkli słońcem i świeżym powietrzem, z którego wracają. Płacą wkładki zaległe za pięć tygodni, rozповідаją swe dzieje, kupi się koło nich wszystko.

— Bylibyśmy zostali dłużej, ale nas splukały deszcze i tęskno nam też było tutaj. Okru

tnie, mówię wam, naród wsiowy bieduje, gorzej nas, czasem. A cóż tu u was nowego ?

Wtem jeden z przybyłych, podniesioną ręką zwracając na się uwagę, wykrzyka:

— Ale!!.. Przyprowdzi wam tu jutro z Podwoli Kozik dwunastu kamieniarzy od mostów i kupę cieśli, a jakże, co jeszcze nie wpisani... Dużo też już macie narodu?

— Pięciu brak do tysiąca.

Stanisław podnosi głos:

— Pięciu brakowało wczoraj. Dziś już jest tysiąc czteremnaście.

Gwar się wzmaga, radość wybucha, stary patrzy i dumny myśli: "Do diabła, nie ma przecie jak cieśle, rażny to naród!.. " i radby im dokrzyknąć: "Dobrze chłopcy, dobrze..." ale go nie usłyszą w ogólnym hałasie. I czuje, że wyjdzie stąd nie takim, jak wszedł i czeka na syna, chciałby go już zawołać, uściskać, ale się nie spieszy, nie chcąc mu przeszkadzać, bo musi być potrzebny. Nie spieszy się, bo mu tu dobrze, bo ciepło mu i młodo, obok tych serc młodych, gorących, obok tego wspólnego ogniska, ogniska biedaków, do którego i jego chłopiec z innymi ognia przyrzuca. Niech się grzeją! niech pracują! niechaj uczciwie pracują dla jutra! niech im się szczęści!

— Tato! idziemy?

— A chodźmy.

Ledwie się przecisnęli, żegnani, zatrzymywani, lecz na ulicy szli długi czas w milczeniu, jeden o drugim myśląc; i o tem miejscu, co dopiero opuszczonem.

— I cóż tato? — spytał wreszcie chłó

piec z cicha.

Stary uchwycił syna za rękę i bełkotał wzruszony:

— A cóżby? Dobrześ zrobił, rób dalej! róbcie wszyscy młodzi... bodaj wam się wiodło!

Tu przystanąwszy, obrócił Staszka twarzą do siebie i wyrzucił goręcej, choć z pewną ostrożnością, jakby się bał, by go nie podsłuchano:

— Mój chłopcze! jabym się sam do was zapisał... wierzysz? jak Boga Kocham!.. Tak tam u was serdecznie... Ale cóż

— nie mogę, majstry by mnie zjadły!...

## PRZYJACIEL.

Długi czas Biedroń nie wiedział, co począć z listem, zapraszającym go do prezesa, aż nakłoniony namowami towarzyszy, poszedł w końcu.

Burzliwe wybory przed tygodniem dożyły na jaw cały, wrócy już w głębi miasta, w łonie ludności, proces buntu przeciwko jawnie, bezczelnie spełnianym na szkodę ogółu nadużyciom indywidualnym i kliczek. Jak grzyb i wilgoć w zaniedbanym budynku rozplenione, obudziły one wreszcie gwałtowny opór żywego organizmu, usiłującego wyrzucić z siebie trapiącą go chorobę. Po wielu zmiennego szczęścia starciach ze stron obu, nastrój był podniecony, spodziewano się jakichś ustępstw, układów. To napinało ciekawość, to nakłoniło też Biedronia do złożenia żądanej wizyty.

Jak syna marnotrawnego przyjmują w domu ojcowskim, jak dziecię ukochane wita czuła matka, albo kochanka wierna i przebacząca wybranego — tak został przyjętym Biedroń w domu prezesa.

Surowy robotnik, energiczny i śmiały, nawykły mówić krótko a otwarcie, poruszać się rubasznie, ale szczerze, prosto i jasno myśleć, nie zmieszał się wcale pod wpływem

tego przyjęcia. "Wiedział przecie, gdzie jest, do kogo przybył i ani czułości gospodarza, ani miękkość jego mebli, ani aromatyczna woń gabinetu, nie były zdolne oszołomić choćby na chwilę tego "krzykacza ulic, przodownika hałustry, podżegacza i wichrzyciela". Tak go nazywali ci wszyscy, którym się nie podobało, że warstwy ludności, które najwięcej pracują a najmniej mają, poczynają myśleć o sobie, brać udział w życiu i, co gorsza, wydają z pomiędzy siebie wcale tegich zuchów. Biedroń znał dobrze tego starego wyjadacza politycznych machinacji, tego wpływowego łgarza, który po głowach ludzkich, głowach głupców, niedołęgów i łatwowiernych pocziwców, niby po schodach, wspinał się na wysokie piętra karyery, śpiewając całe życie ładnie brzmiącą piosenkę popularnych hasel, ową piosenkę, co tak mało kosztuje, a porywa tłumy tak łatwo, jak szczury piszczałka zamawiacza. Domyślał się też, że tłum

robotniczy, pośród którego sam jednym był z pierwszych, nakazawszy wypadkami ostatnich dni, aby się z nim liczone, będzie przedmiotem rozmowy. Lecz jakim cel jej ostateczny?...

Po całej ulewie grzeczności, co spłynęły po gościu, nie wsiąkłszy weń, niby deszcz po skale, prezes, z miną pocziwca, trochę uradowany, trochę rozrzuwiony, a trochę smutny, zaczął:

— No, ale nie mogę wyjść z podziwu, że pan przyszedłeś. Bo wy mnie tam macie za wcielonego diabła, a co najmniej za jego prawą rękę!... Mój Boże! jak to się trudno

porozumieć!... To całe nieszczęście nasze! to nas dzieli, osłabia, gubi!... Gdybyż to więcej wzajemnego zaufania! więcej zgody!... Ileby to można zrobić dla wspólnego dobra!... Ale cóż — jedni drugich podejrzujemy, ten tego ma za wroga, choć tamtemu się ani nie śni i wojna gotowa: wojna między braćmi! grzeszna wojna! fatalna!... a li tylko dla tego, że się nie rozumieją... Oj. bieda, bieda!

W tem dodał weselej, biorąc gościa czule za kolano w miejscu bardzo łechczywem nawet u tak poważnych jak Biedroń ludzi, który je też cofnął:

— Lecz my się zrozumiemy! wszak prawda ?

— Dobrzeby to było, panie prezesie — odparł robotnik i pomyślał: "a więc o zgodę idzie, o porozumienie", — i po swojemu, pomijając piękne słowa, śledził myśl gładkiej i ciepłej mowy gospodarza.

Prezes zaś, gromadząc na prędce z pamięci wszystko, co kiedykolwiek dla dobra powszechnego uczynił ustami, a w mówkach oddał istotnie najwięcej usług społeczeństwu, wykadził najpierw obficie frazesami ogół, a potem zwrócił trybularz swej wymowy na gościa, którego zna oddawna z najlepszej strony, wie, jakim się tenże zaufaniem cieszy w swoich kołach i jak słusznem...

— Panbyś mógł wiele dobrego uczynić, wiele! o tak! znam się na tem.... Kto bierze udział w życiu publicznem, jak ja, od lat trzydziestu!... W panu jest materyał, wielebyś mógł zrobić... dla drugich... i dla siebie. No, bo o sobie zapominać nie można, nie

trzeba... Kto daje wiele, wiele mu się należy. Kucharz nie powinien być głodny!... Ale pan o sobie zdaje się nie bardzo pamiętać... Wiem! Znam to!... My, ludzie oddani ogółowi, zapominamy o sobie samych, sprawy nas porywają, karmi się drugich, samemu głodnym się umiera... Ach!

Tu prezes odsapnął, co uczyniło uderzającemi jego pełne, czerwone policzki, i brzuch w znakomitym stanie utrzymany, i kołyszący się na nim gruby, złoty łańcuch, który szczyrzył swe błyszczące ogniwa, niby zęby bezinteresowności i niesamolubstwa z pod bogatego szlafroka tego drugim poświęcającego się męczennika.

— Ale co tam! nas co innego cieszy! — my szukamy zadowolenia zewnątrz siebie, w szczęściu drugich... Ja to rozumiem panie, ja tem żyję... I panu to z oczu tryska... My się zrozumiemy!

Powoli też prezes, obiecując rychłe porozumienie, stawał się coraz zrozumialszym.

O co mu szło? — oczywiście o dobro publiczne. Aby je uzyskać, czego potrzeba? — Wziąć się za rękę, bo w rozprószeniu nie da się rady; trzeba porozumienia, karności, zgody

i — jednej komendy.

— Pan mnie rozumiesz?...

O tak, rozumiał Biedroń, patrzył przecie od godziny na jednego z tych, którzy tak chętnie podejmowali się być komendantami.

W dalszym ciągu prezes bardzo wymownie i bardzo obrazowo podzielił działaczy w sprawie publicznej na hufce, mające swoich przodo

wników, ci ostatni tworzą sztab komendanta. Przy wspomnieniu "sztabu" oczka prezesa mrugnęły smakowicie, dając do zrozumienia Biedroniowi, że mu się kroi na rangę sztabowca. Usta zaś mówiły:

— Pan masz swoich, którzy ci wierzą, dla których jak najwięcej pragnąłbyś uczynić, a tem więcej potrafisz, gdy będziesz z nami, bo jedność... zgoda... porozumienie... komendant... Pan mnie pojmujesz?

— Uhm, pojmuję.

— A my między wami potrzebujemy kogoś swojego mieć, tak samo jak wam przyda się ktoś między nami. Ważna, doniosła rola być takim łącznikiem!... I gdybyś się pan podjął?... gdybyś zrozumiał!...

Zdaje się, że rozumiał. Miał minę uśmiechniętą, pewno z uciechy. Złapał się, jak oni wszyscy, na kadzidła, na obiecanki, na rangę. Złapał się, jak złapano przed trzydziestu laty prezesa, który w jednym dniu, w przeciągu jednej konferencji z członkiem ówczesnej starszyny, z czerwonego stał się białym, bielutkim, tą białością stronnictw politycznych, która się brucze tak szkaradnie i której się doprac niepodobna.

Uważając interes za ubity, rybę za złowioną, zakończył prezes:

— A żeby o najważniejszym nie zapomnieć, proszę pana, bądź pan tak dobry być jutro około południa u dyrektora naszej spółki fabrycznej. Wakuje tam jedna niezła posada, o której pan z nim pomówi — no i — jeżeliśmy się dobrze zrozumieli...

Biedroń zerwał się jak sprężyna. Oczywiście będzie dziękował, dlatego taki czerwony.

— Jeżeli mnie pan dobrze pojął... — powtarza prezes z przyjaznym uśmiechem, ale już trochę z góry i protekcyjnalnie, jak do przyjętego w służbę po zawarciu umowy, i dla ostatecznego skaptowania sobie robotnika, wyciągnął prawicę z palcami, w złoto kutemi, w te lube kajdany trzydziestoletniej pracy dla ogółu.

Ale robotnik cofnął się, nie wyciągnął swojej, nawet do policzka jej nie wyciągnął, tylko wyrzucił przez zęby, wzruszony, uniesiony, głosem, jakim z wstrząśniętej piersi nie jednostka do jednostki, ale cały jeden gatunek ludzki do innego przemawia, głosem niepohamowanej nienawiści i wzgardy, głosem nieustającej a zażartej walki:

— Ja pana pojmuję, oddawna pana pojmujemy wszyscy i doskonale — ale pan nas nie pojmisz nigdy... Dlatego pospieszam pana objaśnić, że towarzysze moi nie są trzodą, dobry panie prezesie, — a ja — ja nie będę nad nimi pańskim ani niczym pastuchem. No i chciałbym zobaczyć tego, coby się podjął takiej służby!

I nasunawszy na głowo kapelusz rękoma drżącymi — wybiegł szybko.

"BIADA!... "

Kąpiele posłużyły landratowi wybornie, Żołądek się poprawił, policzki zarumieniły na nowo, tracąc swą niezdrowożółtą barwę, wróciło nawet trochę ochoty do pracy — tyle, ile uznawał za potrzebne dla zaznaczenia ostatniego roku swej służby jakimś czynem świetnym, czynem arcylojalnym, czynem godnym historii — a nadewszystko godnym... maleńkiej złotej biżuterii, jednej z tych, w jakich mężczyźni na stare lata bardziej niżeli kobiety w swoich klejnotach przez całe życie się kochają, jakie są marzeniem, ideałem, bóstwem automatów urzędniczych — krzyżyka!.. krzyżyka z kolorową wstążeczką, na którą czekały z tęsknotą wszystkie klapy surdutów w bogatej garderobie landrata.

A właśnie nadarzała się okazja.

Prusak po powrocie z kąpiel zastał rzecz niespodzianą, niepokojącą, ale prawdziwą gratkę dla swego doświadczonego podniebienia urzędowego zbira. Wietrzył już jej woń wyborną, jak dobry pies myśliwski wietrzy dziczyznę i rwał się ze smyczy rozwagi, idąc za tym' wewnętrznym głosem, który dobrze ułożone ogary szczuje przez całe życie.

Ale landrat za pół roku szedł na pensję, chciał służbę zakończyć majstersztykiem — postanowił więc działać oględnie. Przerzucał właśnie rozłożone na biurze papiery i dokumenta i myślał, kombinował, jak zręczny, wytrawny strategik. Były to prośby, podania, statuty powstającego w mieście poznańskim robotniczego związku, wszystkie już przejrzone przez właściwe instancje władz, zreferowane, ocenione, znalezione w porządku — bah! co najfatalniejsze — zatwierdzone.

Stało się głupstwo, możliwe tylko pod nieobecność słynnego z wybornej treaury landrata, głupstwo, jakiego by nigdy sam nie był dopuścił, a które teraz, skoro było faktem spełnionym, postanowił naprawić, cofnąć, zatrzeć, zniszczyć, zapragnął tak gwałtownie, z takim fanatycznym zapałem, jaki tylko w piersi urodzonego i długoletniego siepacza sztucznych form porządku społecznego wylęga się i żyje.

Spojrzał na zegarek: jedenasta. Dziś miał się rozmówić z delegatami robotników. Wezwani na ósmą czekają od godzin. Za krótko. Przywoła ich najwcześniej za pół godziny. Czekanie zniechęca, przygnębia, przeraża, napęnia szacunkiem, chyli karki, zwłaszcza i tak już pochylone od pracy — niech czekają.

Zresztą potrzebował zebrać nieco myśli.

Landrat miał wypróbowany sposób skupiania myśli — chował go w szafie z aktami w postaci butelki przedniego koniaku. Stary, dobry koniak, objaw czci poddanych władzy

jego obywateli, kupców, mających także inny, nieco gorszy koniak, dla swych bliźnich, dla tych, co zań płacili. Stary, poczciwy doradca przedstawiciela władzy, źródło przepysznych pomysłów, skarbnica jego służbistości, natchnienie, muza — landrata!

Ileż tych muz szklanych przewędrowało już przez kącik w szafie landrata. po krótkim z jego ustami pożyciu!... Na tym punkcie był on gorszym od Turka, Mormona... ale porządek publiczny w mieście był tak wzorowym, jaki tylko energia, dobrym, niefałszowanym podlewaną koniakiem, stworzyć jest zdolną.

Pociągnął z lubością z butelki, zatrzymując duży haust płynu w ustach, dla podroczenia się z swym pragnieniem, dla przedłużenia pieszczoty. Potrzymał go tak, posmakował i połknął.

Zrobiło mu się ciepło. Po jakiejś chwilce powtórzył dawkę i zdwoił, oczy mu zapłonęły, policzki okryła purpura, poczem otrząsnąwszy się, spojrzął na swój gabinet, jakby w natchnieniu.

Był to przybytek nad wyraz celowo urządzone. Wybornie udekorowana scena dla spraw, jakie się w niej rozgrywały.

Powaga, surowość, tajemniczość, wszystko co działa na prostaka, co wzbudza postrach i zaciemnia wrodzony człowiekowi instynkt i poczucie wolności, wszystko to czuło się bezwiednie w tym przybytku. Kto tu wszedł, czuł się przygniecionym, omotanym, osaczonym, widział wlepione w siebie oczy inkwizytora, czyhającego na niebaczne lub

po prostu niezręczne słowo, słyszał za drzwiami kroki szyldwachy a przez okno oglądał więzienne mury o małych okienkach z kratą.

Landrat kontent był z swego biura. Odświeżona trunkiem wrażliwość i pamięć odniesionych tu sukcesów szeptały mu do ucha: tu się odnosi zwycięstwa, nie klęski...

Przeszedł pewnym, wspaniałym krokiem posadzkę, obejrzał się w lustrze, zadowolony z swej butnie nadętej maski, rzucił okiem na biusty, portrety, szafy, na wszystkich sprzymierzeńców swej od tylu lat odgrywanej komedii jednostki, umocowanej nadawać kierunek ludziom i sprawom, i postanowił odnieść zwycięstwo — wymową.

Tak, czuł się do tego usposobionym — cisnęły mu się do głowy frazesy bardzo efektowne, liczył na wrażliwość słuchaczy, którzy dawali się przecież powodować wymownym towarzyszom, raz jeszcze pociągnął koniaku i kazał wezwać delegację.

Weszli.

Było ich czterech. Stary, niezgrabny jak niedźwiedź studniarz, weteran ruchów robotniczych, świadek wszystkich klęsk słusznej a tak biednej sprawy, jubilat kilkudziesięciu śledztw, kozieł ofiarny niezliczonych prześladowań i denuncyacji, a niezmordowany do końca, siedmdziesięcioletni już dzisiaj blisko szermierz sprawy, zgarbiony, nachmurzony, obojętny i spokojny. Przy nim, z fantazją pewną, wysunął się naprzód młody ślusarz. rumiany i tęgi zuch, z którego całej postaci tryskało zdrowie, siła, pogoda duszy i ciała.

Mały, szczupły, o płonących ogniem oczach blondyn stanął z drugiej strony. Był to młody drukarz, świeżo wypuszczony z więzienia, dusza ruchu, któremu poświęcał dnie i noce, zdrowie swoje, może życie. Teraz drżał z niecierpliwości, oburzony zwlekaniem, czekając na załatwienie sprawy. Za tą trójką ukrywał się jak mógł ogromny dryblas z podwiązaną twarzą, murarz, udający ból zębów, bo nie mógł zwalczyć szalonej chętki śmiechu, jakim, jego wesołą naturę napępiał widok tylu głupstw, dzieciństw i niskich utrudnień, którymi usiłowano zniechęcić ludność robotczą miasta od związania się w stowarzyszenie o celu tak niewinnym i tak zarazem wzniosłym, jak wzajemne oświecanie się, wzajemna pomoc i strzeżenie wspólnych praw i interesów. Nie chciał iść z nimi tutaj, zaklinał się, że parsknie w samą twarz śmiechem dygnitarzowi — ale go zmuszono, był bowiem delegatem i wszystkie akta mieściły jego podpis.

Stanęli przy drzwiach, skłoniwszy się plecami landrata, który bębnił palcami w okno.

— Kto tam? — zapytał, nie oglądając się.

— My.

— He? kto taki?

— Robotnicy, w sprawie statutu, — drżącym głosem odrzekł drukarz, którego nerwowa twarz odbijała gniew, jaki nim targał.

Dryblas się zakaszłał — ślusarz oglądał spokojnie miejsce — studniarz zaś, obojętny na nie, po tylu w niem w życiu swoim wizytach, czekał.

Przestali tak z kwadrans, oglądając od stóp do głów odwrotną stronę figury pana landrata, który z rękoma w kieszeniach, odwinąwszy połę surduta, odsłaniał im zwykle zakryte okolice spodni, kołysał się na nogach i milczał. Naraz odwrócił się. Sądził, że przywołani uczuli już należycie swą małość a jego wielkość, i że teraz paroma słowy ostatecznie ukorzy ich przed sobą.

Zmierzył ich oczyma. Oczu starego studniarza nie spotkał; stary, mrugając powiekami, myślał o porzuconym warsztacie, o zmarnowaniu pół dnia pracy. Śmiałe spojrzenie zuchowatego ślusarza nie zastanowiło też zbytnio radcy, który nie takim już zuchom pozwalał straży w tajniach urzędowych zakamarków żebra łamać. Trochę go zmięszwały pałające oczy, jakimi przeszywał go drukarz, ziejące nienawiścią, obelżywe, urągające. Ale pan landrat uważał za niegodne mierzyć się swemi oczyma, opłyniętymi łzami, wywołaną przez koniak, z spojrzeniem marnego robotnika. W ambaras natomiast wprawiała go puciołowata, chustką okręcona gęba wielkoluda, stercząca nad głowami tamtych. Gęba ta skrzywiona była grymasem płaczu — a jednak landrat, uderzony jej wyrazem, przysiągłby, że w gębie tej coś się śmiało...

Śmiało się! tu. w tym przybytku!... wobec niego! reprezentanta najwyższej władzy...

Landrat bał się śmiechu jak ognia, jak się śmiechu boją ci, co nań zasługują, bo śmieszność jest największym postrachem śmiesznych...

— A tobie co! — zapytał szorstko, wskazując ruchem głowy na obwiązanego.



Odpowiedziało milczenie — naraz drukarz wybuchnął z niestłumionem wzburzeniem:

— Panie, nie jesteśmy więźniami.

Landrat zmierzył go wzrokiem, który mizeraka miał zmiążdżyć, ale nie zmiążdżył. Potem zmierzył jego towarzyszy — ci też wyszli cało. Wtedy pomyślał: Harde bestye — i odparł na słowa drukarza szyderczo:

— Tak, jeszcze nie.... Więc co to panu, panie?!...

Murarz czuł, że po tak szybkim awansie z "ty" na "pana" ryknie, ryknie śmiechem najserdeczniejszym w życiu, jeżeli otworzy usta. Taka to już była natura, że miał wzrostu za dwóch, poczciwości za czterech, jadł za sześciu a śmiał się za dziesięciu. Nie bał on się rozśmiać. ale mu szło o towarzyszy, nastrojonych tak poważnie. Więc bełkocąc, nadawszy gębę, giestami zaczął pokazywać. że go boli... że go bardzo boli... i schował głowę za plecy tamtych a landrat zadowolony mruknął:

— Otóż to. Skutki jakiejś bijatyki.

Patrzył na nich jeszcze lekceważąco z przesadnie udaną pogardą, aż rzekł szorstko podniesionym głosem, przystępując do rzeczy:

— Cóż to nowego się dzieje! Zachciało wam się jakichś towarzystw ? związków ? spisków ?

— Wnieśliśmy podanie do urzędu...

— Podanie, podanie... mnie tem nie zamydlicie oczu. Znam was, ptaszki. Ale czy wiecie,

czem to pachnie? — krzyknął, nie zbliżając się do nich, bo poczuł, że pachnie w tej chwili mocno koniakiem.

Takie pytanie wprawiało tutaj zawsze przesłuchiwane strony w drżenie. Daremnie jednak śledził landrat obecnych — nie drżeli. Drżał natomiast ten drażal z tyłu: drżał, drażniąc tem landrata, który śledził jego minę i nie mógł dojrzeć ukrytej w chustce, dłonią osłoniętej. Siwy studniarz stoi niedbale, jakby nie widział, gdzie się znajduje, ślusarz patrzy mu prosto w oczy swoim spojrzeniem młodem, śmiałem — drukarz uśmiecha się ironicznie. Bezczelne draby.

Landrata zaczyna porywać pasya na widok ich spokoju. Koniecznie chce ich przerazić.

— Czy wam się zdaje, że my nie wiemy ? nie rozumiemy? Czy wam się zdaje, że kogo oszukacie? że się wam uda cokolwiek ukryć? że my nie mamy najdokładniejszych relacyj o każdym waszym kroku? nie wiemy, co się między wami dzieje, na co zanosi?...

Pauza — landrat szuka nowego konceptu, wezwani stoją i patrzą.

Trzeba ich zdruzgotać jednym słowem.

Podniósł rękę, groźnie nią potrząsł i z zapłonioną twarzą postąpił ku nim, wołając wściekle z wybuchem opoja:

— Ja wam dam spiski! ja was nauczę konspirować! łotry!!!...

Cztery czoła podniosły się w górę, czyste czoła, na których zakwitł rumieniec oburzenia. Ale obelga padła im pod nogi. Zmilczeli; byli w miejscu, w którym zawieszoną

była wszelka sprawiedliwość. Tylko teraz i studniarz wpatrzył się w mówiącego, nie z gniewem, lecz z uwagą. Spokojny, cierpliwy, myślał: ależ on jest pijany....

Lecz swada po tym pierwszym frazesie porwała mowcę, który zaczął ustami miotać pioruny na słuchaczy, a rękoma rozrzucił krzesła, dając do poznania, że tak jak te krzesła w własnym biurze, tak wszystko, co mu się oprze, obali, strzaska.

Była to długa, wściekła przemowa człowieka, nawykłego grozić dobywać zeznania z upadłych zbrojczyków, z tchórzliwych niedołęgów, z ludzi nieczystego sumienia lub duszy słabej. Długa, huczająca jak burza, groźba strasznych kar, nieuniknionego wymiaru sprawiedliwości, która czuwa i widzi wszystko!.. niczego nie przebaczy!.. A sensem jej było: Złoczyńcy! zawczasu wyrzeknijcie się swych zbrodniczych zamysłów, bo one są znane, bo dłoń sprawiedliwości zawisła nad wami...

Z oczyma krwią nabiegłymi, przewróciwszy już wszystkie krzesła, wyprószył sobie rękaw surduta gwałtownym ruchem i pozbawiwszy się paru guzików, zapieniony, zadyszany, ale i jakby natchniony, zakończył landrat proroczo: — Ale biada wam!... Władze będą nieubłagane wobec burzycieli porządku i konspiratorów ! Nie przebaczymy nawet najmniejszego wybryku, najłżejsze przekroczenie karanem będzie w dwójnasób! Na proch zetrzemy tę chorobę społeczną, która was wydała i którą szerzycie... Na proch robaki!.. na proch!!!...

I bił pięścią w pięść zapalczywie, sam sobie czyniąc krzywdę, nie mając litości nad biednym murarzem, którego już teraz, kolka poczęła zapierać, i który przeklinał naturę za to, że go obdarzyła skłonnością do śmiechu.

Landrat zaś kończył:

— Wy! reformować społeczeństwo? wy wiązać się i łączyć? W jakich celach? w imię jakich hasel i na jakiej podstawie? Kto inny powołany jest czuwać nad waszym dobrem i kto inny się nim zajmuje. Biada wam porywać się przeciwko istniejącemu porządkowi. Miliony bagnetów stoją za nami! Tysiąc dział wymierza paszcze w waszą stronę! Spalimy was, rozbijemy w puch żarem kartaczy! złe musi być zdławionem w zarodku i zdławionem zostanie. Skończyłem.

Odwrócił się. otarł pot z czoła i poprawiając spodnie, które z powodu utraty guzików zaczynały się rozluźniać, grożąc mu przygodą śmieszna i wcale w tej chwili niepożądaną, poszedł do okna. Myślał w duchu:

— Mówiłem jak ks. Bismarck. Teraz już są wyleczeni na pewno, ta hołota. No krzyżyk pewny, wraz z dekretem przeniesienia w stan spoczynku....

Naraz doleciał go szmer dziwny. Obejrzał się. To murarz, niezdolny dłużej panować nad sobą, zakrzusił się tłumionym w sobie śmiechem i śmiał się teraz, kaszląc, kichając, dysząc, ze łzami w oczach.

Zmięszany tem, próbował landrat rzecz: zagadać:

— Czegoż jeszcze stoicie?

Tamci obejrżeli się na studniarza.

Starzec spokojnie, z cicha, z flegmą człowieka doświadczonego, rozsądnego, który mówi wtedy tylko, gdy trzeba, rzekł:

— A bo my czekamy na statuty, panie landracie.

— Jakie statuty ? co za statuty ?

— Te, które wczoraj wróciły z Poznania zatwierdzone.

Landrat kompletnie wypadł z tonu. Skąd •oni wiedzą?...

— Przyszły? oho! pytanie czy przyszły!... a jeżeli nawet przyszły, pytanie, czy je dostaniecie... To bez mej wiedzy!

— Ale zatwierdzone! — odparł studniarz najspokojniej, drukarz skinął głową z uśmiechem bazyliuszka, ślusarz promieniał z radości, a murarz...

Ach tego już było landratowi za wiele. Pobiegnął ku niemu...

— Ty! ty! — wrzasnął z pasją — a ty się czego śmiejesz, skoro cię zęby bołą?!...

] czuł ochotę palnąć go w kark kulakiem, tylko mu się wydał jakiś za barczysty, za duży...

— A bo... a bo... bo mnie już boleć przestały... — wyjąknął murarz.

— Precz!!! — z gościem królewskim zawołał landrat.

Wyszli.

Nazajutrz doręczono im statuty.

## WSZYSTKO.

— Nie, panie, nie mogę dać wozu, i nigdzie go dzisiaj u nas nie dostaniecie. Żniwa ledwie zaczęte, deszcze co tylko nie luną... Dziś ludzie nawet wprzęgają się do zwózki, bo bydła nie starczy. Poczekajcie dni parę...

— Czekać!...

Zagadnięty strzepnął niecierpliwie rękoma i wskazawszy nieznacznie na stojącego opodal towarzysza, raz jeszcze począł chłopu wykladać, że o czekaniu mowy być nie może, że to człowiek chory, którego jak najprędzej zawieść trzeba do lecznicy, który dziś, jutro, ducha wyzionąć może.

I spojrzeli obaj na chudy, wybladły szkielet ludzkiej postaci, cień, widmo człowieka, tak smutno odbijające od bujnego rozkwitu, jakim jaśniał na okół letni krajobraz pięknej szwajcarskiej doliny. A mówiącego dreszcz przeszedł po tych słowach, w których wygłosił wyrok, ciężący nad jego biednym przyjacielem. Ale chłop poruszył ramionami na znak, że na to nie poradzi.. Chory potrzebuje pomocy, to prawda — ale żywi mieszkańcy

jałowego zakątka gór nie mogą się też bawić w samarytan w pilną godzinę zbiorów. Dwa, trzy dni ich samolubstwa w tej chwili — to rok życia, cały przyszły rok życia dla okolicy !...

Rzekłszy to, nie tracił dłużej drogiego czasu i tak poświęciwszy go już próżnej rozmowie za wiele. Skinął głową i odszedł.

Dwaj przyjaciele zostali sami, podobni jeden przy drugim sile i niemocy, zdrowiu i chorobie, życiu i śmierci, tak nędzną, steraną, złamaną była postać jednego przy drugiego rozrostłych, buchających siłą i zdrowiem kształtach.

Suchotnik stał obojętny na przebieg rozmowy, przepowiedziawszy z góry jej rezultat. Błyszczące niezdrowo oczy jego z pod powiek czerwonych, znużonych nadmiarem letniego blasku, błędziły bezmyślnie w różne strony. Nie otwierając ust, pokaszliwał od czasu do czasu przez ściśnięte zęby owym lekkim, nic nie znaczącym z pozoru kaszlem piersi bez płuc, puste, opróżnionej jak wyczerpany śpichlerz 'życia, jamy ciała. Teraz mruknął słabym, zmęczonym głosem:

— Mówiłem ci, Piotrze.

Tamten, wzburzony przeszkodami, które paraliżowały jego energię, do krwi wargi zagryzał z wściekłości. Udawał jednak spokój.

— Nic straconego — rzekł swobodnie, grając w dalszym ciągu przyjacielską komedię najlepszych nadziei, która chorych, znających swój stan, do rozpaczy doprowadza. —

Pójdziemy kawałek tymczasem, a po drodze z pewnością się wóz jaki spotka.

I ruszył ścieżką, pociągając za sobą chorego. Niezdolny do oporu powlókł się za nim, ale po chwili milczenia, począł stękać w rosnącym rozdrażnieniu:

— I po co ty mnie wleciesz ?... Czy to nie wszystko jedno, gdzie umrą, tu albo milę stąd, dziś lub za tydzień, skoro lada chwila umrzeć muszę, skoro śmierć owładnęła mnie już w dziewięciu dziesiątych... Po coś tu w ogóle przyjeżdżał z tak daleka? czemuś opuszczał ważne i pilne sprawy, dla mnie jednego, będąc tam niezbędnym... Nie po to przecież pisałem, nie wzywałem cię... Chciałem cię tylko zawiadomić, pókim miał siły

i pieniądze na opłacenie listu, że zdycham i że myślę o tobie, o was, o tem wszystkim, co mnie zabiło, a dla czego drugi raz bym się dał zabić, gdyby...

— Ale co!... Pleciesz jak człowiek zdenerwowany. Niech tylko będziemy raz w lecznicy...

— Piechotą ?... nie dojdę.

— Końmi.

— Gdzie są?

— Spotkamy je.

— Mnie okłamujesz, czy siebie ?...

— A więc choćbym cię miał i na plecach własnych zanieść...

— Zwaryował! zwaryował po prostu. Nie widzi, że konam w jego oczach, że... gdyby nie to górskie powietrze... nie lato...

Zakaszłał się, aż mu oczy łzami opłynęły a koło wyschłej szyi wystąpiły grube sznury żył,

— Widzisz ? widzisz ?... Usiądźże przynajmniej.

— Ja widzę doskonale, ale czemu ty nie chcesz widzieć, co się ze raną dzieje...

Zaczął zrzędzić. Z uporem człowieka zmęczonego życiem, czującego bliskość śmierci i pragnącego jej, którego drażni wszelkie przeczenie, dowodził, że dalej nie pójdzie.

Dopiero po długich i cierpliwych przekładaniach dał się nakłonić do drogi, odbywanej wolno, przerywanej odpoczynkami i pytaniem spotykanych po drodze chłopów:

— Daleko lecznica Arzta?

Po czterech godzinach, już o zachodzie, gromada wracających z pól zniwiarzy odpowiedziała Piotrowi chórem na jedno z takich zapytań:

— Dwie mile.

Dwie mile!... tyleż im liczono cztery godziny temu!...

Szli jednak, szli ciągle dzięki nadludzkim wysiłkom wymowy Piotra. Suchotnik bowiem co chwila wybuchał gniewem, opierał się, lżył go niemal. Dopiero po odpoczynku, uspokojony nieco, ułagodzony serdecznymi prośbami przyjaciela, włókł się dalej, patrząc na cień swój, pod nogami, rzucony przez księżyc, to znowu na silną, gibką postać tamtego.

Posuwali się co prawda złotym zaledwie krokiem, ale się posuwali naprzód: mijali drzewa, domy, skrzyty drogi, zbliżali się do celu.

Okolo północy nowa walka. Jan nie był już w stanie iść, ale też nie chciał i na to pozwolić, aby go towarzysz wziął na ramiona. Piotr nie śmiał nieborakowi tłumaczyć, że mu nie bardzo zacięży — przekonał go przecież w końcu i począł nieść.

Teraz przynajmniej droga szła jak należy. Mimo ciężaru Piotr dużym, pewnym krokiem przemierzał ścieżki, znajdując nawet pewną ulgę w tem pełnem zużywaniu swej siły, którą do niedawna musiał miarkować, aby nie męczyć towarzysza. Dwa razy odpoczywał w ciągu kilku godzin forsownego marszu — mimo tego tym samym wyciągniętym krokiem i z równą szybkością stapał, gdy już szarzyć zaczynało, co wówczas, kiedy jeszcze pierwszego piania kurów w wioskach słyhać nie było. Myśl o biedaku, którego półurnarłe ciało na plecach własnych dźwigał, nie odstępowała go ani na chwilę. Czasem, zaniepokojony długim milczeniem, uczuwał dreszcz na myśl, czy przypadkiem trupa już tylko nie niesie. Wstrzymywał się jednak od budzenia chorego, z obawy nowych utyskiwań i sprzeczek. Szedł ciągle, potem złany, przymuszając coraz cięższe, coraz sztywniejsze członki do ruchu.

Wtem rozległ się szelest — stado krów, popędzane przez pasterza, ukazało się z za wzgórze.

— Daleko lecznica Arzta?

— Tu! za pagórkem !...

Nareszcie!...

Po za wyniosłością ziemi był już prawie dzień. Zalewał on różowem światłem całą przestrzeń cudownej doliny, której białe domki pały w jego świetle a dym buchający z kominów, purpurowemi kłębami unosił się ku niebu.

Pośrodku zielonych ogrodów, lasów prawie czarnych i sieci żółtawych i szarych dróg, drożyn, rysowały się o tysiąc kroków złocistemi konturami wspaniałe mury lecznicy — na nich zaś, na frontowej ścianie gmachu, błyszczał do słońca złoty napis, biegnący po nad gzemsy, a blask liter, wpadłszy w zmoczone bezsennością, nieoswojone jeszcze z światłem dnia, oczy Piotra, oślepił go i wstrząsnął.

Nareszcie!...

Odetchnął z głębi piersi. Radość niezmierna przeniknęła go całego. Patrzył i sycił się tym upragnionym widokiem, nie czując już zmęczenia, pokrzepiony, rzeźki myślą, że tam, w tym pałacu zdrowia, jego biedny Jan odzyska prawo do życia. A świeżość, woń, jasność poranku, ciche jeszcze świergoty ptaszęce dokoła, wprawiały go w upojenie, które zdawało otuchę i budziło w jego sercu owe, pełne najsilniejszego przekonania wyrazy nadziei:

— Wszystko jeszcze będzie dobrze!... Nagle uczył żyć na szyi a dokoła niej

uciśnienie.

To Jan z płaczem dziękował mu i szeptał:

— Chodźmy tam!... chodźmy... Może ze mnie naprawdę jeszcze co będzie... Może ja jeszcze żyć będę...

Życie!... to nie było pragnienie samoluba. Ten biedak jedno już życie swe, to, które lada chwila miał utracić, w usługach ludziom i idei stargał — i z drugim uczyniłby to samo; na to go tylko pragnął. Pragnąłby żyć wieki — ażeby wieki pracować dla drugich!

Po chwili gorączkowego marszu znaleźli się w lecznicy. Jan, zbyt strudzony, pozostał na dole twierdząc, że już i tak samo przekroczenie tych progów wróciło mu część zdrowia. Piotr udał się do lekarza, właściciela zakładu.

Poważna i prawa twarz dodała mu otuchy. Powołując się na znany fakt, że zakład przyjmuje biednych chorych, począł się odwoływać do filantropii właściciela.

Lekarz uśmiechnął się.

— Moja filantropia zależy od liczby wolnych łóżek. Na szczęście jest jedno.

Obecny asystent skinął głową.

— Gdzież chory?...

— Czeka na dole. Umyślnie został, abym wpiery zapoznał pana doktora nieco z jego przeszłością, która może się nie podobać... Uciekł za granicę prześladowany za uczestnictwo w ruchach socjalnych. Jest skompromitowany, jak to mówią.

— Ach! to u was tak mówią — nie u nas, w Szwajcaryi. Czy ciężą na nim jakie poważne zarzuty?

— Jeżeli pan pozwoli, opowiem to w kilku słowach.

Niedługo były, chociaż tak smutne, dzieje młodego entuzjasty, który nie doczekawszy

go roku życia, zdążył utracić majątek osobisty, zerwać związki rodzinne, pozbawić się grubych spadków, wyrzec się ukochanej kobiety, aby się tylko nie wyrzekać przekonań, wykluczony z uniwersytetu, wydalony z kraju, którego nie był poddanym, potem z miasta, które nie było jego gminą, nakoniec z własnej gminy groźbą więzień śledczych.

Nęcano go niemi po parę miesięcy raz po raz, aby go zmęczyć, zniechęcić, odciąć od umiłowanej sprawy, od biednych upośledzonych, którym się oddał, aby na legalnej drodze nielegalnymi środkami uczynić nieszkodliwym tego wroga ulegalizowanych nieprawości. Pozbawiony wszystkiego, nawet możliwości zarobkowania, wydalany tysięcznymi intrygami z biur, fabryk i warsztatów za pomocą postrachów i fałszywych denuncjacji — więziony w niezdrowych kaźniach, żywiony strawą zabójczą, opuścił wreszcie kraj, ograbiony nawet z tego, co się pozostawia zwierzęciu: zdrowia — ale nie postradał zapалу do pracy w imię miłości uciemnionych, pracy, której poświęcił wszystko!...

W opowiadaniu tem przyjaciela, w proste wyrazy ujętem, było coś więcej nad tylekroć bez końca powtarzającą się historję... były łzy, była niedola, nędza, rozpacz całej ludzkości, gnębionej i deptanej, której jedna cząstka, ten biedak blizki skonania, potoczył się tu w cichy zakątek górski, w którym chorzy zebrali o parę lat życia, o parę miesięcy, choćby o parę dni...

Zamiast oświadczyć Piotrowi, że przyjmuje chorego, lekarz zapytał:

— Pan wiesz, że mój zakład jest dla dotkniętych suchotami ?

— Wiem. Kiedy mój przyjaciel siedział w więzieniu, wypróżniano do jego porcy obiadowej spluwaczkę suchotnika z więziennego szpitala. On tego nie wie. ale ja to wiem.

Lekarz i asystent spojrzeli na siebie zdumieni i wlepili jeden w drugiego oczy. więcej mówiące, aniżeliby czyjekolwiek usta wysłowić były zdolne.

— Jako?! spluwaczkę suchotnika?!...

— Prawda, że trudno uwierzyć?

Wtem wpadł do gabinetu jeden ze służących.

— Panie doktorze!... ten obcy, na dole... Krew go załala...

Lekarz zerwał się ku drzwiom.

— Ach bo też trzeba było zacząć od chorego — mruknął.

Pobiegli wraz z asystentem, zaczęli ratować krztuszącego się krwią własną Jana. Lekarz wydawał rozkazy, ale oczyma powiedział Piotrowi od razu: za chwilę skona...

Za chwilę też skonał, zostawiając przyjaciela z twarzą we łzach i zostawiając mu w uszach szept swój. ostatkiem tchu wyrzucony:

— Wracajże do nich... zaraz...

Stali tak w kilku, obaj lekarze i służba, patrząc na tego płaczącego mężczyznę i na to

ciało w łachmanach odzieży, które jedna chwilka zamieniła w trupa, zbroczonego krwią, żółtego, bezwładnego.

Nareszcie Piotr stłumił w sobie boleść niezmierną i wybełkotał:

— W każdym razie... dziękuję panu za to, co chciałeś dla niego uczynić...

W tej chwili jednak lekarz, 'wezwany, oddalił się.

— Czy może nie byłem dość grzeczny?... Podziękuj pan z łaski swojej odemnie dyrektorowi, widzisz przecie, jak jestem zgryziony, albo ja sam pójde jeszcze... — przemówił Piotr do asystenta.

Ten jednak odparł, machnąwszy ręką:

— Ależ... mylisz się pan. Po co tu w bawelnę obwijać: ot lepiej, że ten nieborak umarł... tak jest... Nie moglibyśmy go tu przyjąć. Biedaczysko, widzi pan, zanadto był wynędzniały i obdarty, nasi chorzy przeraziliby się na sam jego widok.

A my mamy bogatą klientelę, z którą się zawsze trzeba

— Ach! dlatego ?!..

— Tak jest, dlatego. To trudno.

## ZA PIECEM.

Po hałaśliwym tupocie na schodach, który rozpocząwszy się na dole. rósł jak zbliżające się grzmoty na skrajach pierwszego i drugiego piętra, drzwi wchodowe otwarły się nagle i Józia, z szumem sukni przebiegłszy kuchenkę, wpadła do pokoju zdyszana. Od progu zaraz rzuciła spiesznie na łóżko parasolkę i niciane rękawiczki, poczem podniosła obie ręce do kapelusza, wyjęła zeń szpilkę i zdjawszy z głowy, rzuciła go także na stołek najbliższy. Matka, zajęta łataniem swego barchanowego kaftanika, przy lampie, na której umbrelkę zastępował kawałek opalonej gazety, przegryzała właśnie nitkę w zębach, kiedy jej to gwałtowne wejście dziewczyny przerwało pracę i siwą jej, pomarszczoną, rozczochraną, bezzębną głowę ku drzwiom zawróciło.

— Mamo! Karola idzie z Łupskim...

— Tu?!...

— Tu.

— Macie ludzie. Djabli go niosą.

— Co tylko, że ich nie widać. Zostali przy sklepie w tamtym domu, niby to przed

wystawą. Trąciła ranie, żeby pobiedz naprzód... Tak mi serce bije... Jezu! co tutaj za garus ? !... A róbże mama co!.. To rzekłszy, poskoczyła sama przed lusterko, obok okna przybite, i przysunąwszy lampę, poczęła wygładzać włosy, rozwiane w biegu, poprawiać kołnierzyk i puszką od pudru wcale niepotrzebnie wybielać swoją smagłą, lekko zarumienioną twarz.

Matka odłożyła tymczasem robotę, zerwała się z krzesła, klnie, zgarnia rozsypane po podłodze brudy, przeznaczone do prania na jutro, i objąwszy je, jak wiązkę siana, oburącz, z trudem dźwiga ten ładunek w stronę łóżka, w tył od ciężaru przegięta.

— Zdejmże prędko kapę, Józka! Nie widzisz, że mi wszystko z rąk leci?...

— Jest! mam właśnie czas na to.

— Ty się przecież mizdrzyć nie potrzebujesz. Nie do ciebie przychodzi...

— Do mnie, nie do mnie. cóż mam wyglądać jak chuchro.

Tobół zbrukanej bielizny padł z szelestem na łóżko, formując górę. Matka, odsapnąwszy, rozrzuciła szmaty czempredzej i przysłoniła je po wierzchu spłowiałą kapą, na największej z dziur kładąc kapelusz Józii. Teraz dopiero, gdy gość pod drzwiami, oceniając brud i nieporządek zapchanego rupieciami mieszkanka, bez przebierania w wyrazach zaczyna gderać: że też to u niej zawsze musi być jak w chlewie, choć takie duże dziewczęta są w domu: ale to pluchy, ładaca, przez dzień



cały żadna o porządek nie dba. za to wieczór kawalerów matce na głowę sprowadzają. I żeby chociaż z tego co było. ale gdzie tam. Przynajmniej ona w to nie uwierzy, nie pierwszy to już raz.

— Moja mammo! Jeżeli się córce nie dopomoże i jeszcze źle będzie wróżyć, to pewnie że nigdy żadna za mąż nie wyjdzie.

— Eh. gadanie, nic więcej. A tamten zeszłoroczny. Mędlak: łąził przez całą zimę. pił herbatę z wirsztłami. podłogę się musiało myć względem niego w każdy tydzień — i gdzież go masz?... no — gdzie?...

— Wszystkiemu ojciec winien. Widział, że ojciec mało kiedy trzeźwy...

— Tak ci tara, ojciec. Żeby Mędlak był miał porządny zamiar, toby na córkę był patrzył, nie na ojca. Zresztą i Karola też nie umiała koło niego chodzić, powiem ci. To to było. Tyś do niego więcej oczy zawracała, niż ona, powiem ci.

— Moja mammo! Każdaby przecież za mąż wyjść rada... Widziałam, że był z Karola nie bardzo, cóż rui to szkodziło?...

— Ale ty tak z każdym — i co z tego masz? Obieście do niczego... Nieszczęście na moje stare lata.

— Oho! już... Niechno mama da lepiej na salceson...

— Na jaki salceson?

— Przecież go trzeba czemś przyjąć!...

— A ja skąd na to wezmę?...

— Matko święta! skąd mama chce... Bój

się mama Boga, chce mama, żeby my staremi pannami zostały? czy co?...

— A to czemu sama nie dasz siostrze?... Masz reńskiego.

— Niby to mama nie wie. że już tak jakbym go nie miała. Jutro mam odebrać kapelus z farby, to czem zapłacę ?

— Jutro ci Karola odda. ja ci wrócę.

— Już mama lepiej nawet niech nie mówi. Ja kapelus mieć muszę. Wszystkie już letnie kapelusze mają. Weź mama od sąsiadki.

— Weź mama... weź mama... a kto odda?... Skaranie boskie z wami.

Wśród tej rozmowy córka skończyła upiększać swe wdzięki, stara zaś wsunęła ceber z niepomytymi od objadu talerzami i naczyniem pod łóżko, poczem, odszukawszy w kuchence mocno już zdartą miotłę, zaczęła naprędcę, aby, aby, w kąty rozmiatać zalegające środek podłogi całodzienne śmieci.

— Gdzież twoja bronzowa spódnica?

— Gdzie jak nie w szafie. A niech mi ją też mama znowu zadepcze, proszę mamy, bo już i tak mało sterana, a mam na drugą...

— Nie będę w niej przecież tańczyć. Przykryjno stół za ten czas, jak pobiegnę po te parę szóstek...

Zarzuciła przez głowę spódnicę córki, Józia zaś nakryła stół czerwonym obrusem, mniej poplamioną stroną na wierzch, postawiła lampę i wykroiwszy tępem nożyczkami z tkwiącego między szafą a murem papieru umbrelkę, osłoniła nią cylinder.

— Wystarczy nafty?... E, wystarczy... Żeby tylko ojciec nie przyłazł na to wszystko...

W tej chwili wróciła matka z stękaniem.

— Wołałabym nie wiem co od tego pożyczania. Masz na salceson. Tylko żeby jaki świeży, moja ty...

— Lecę.

Stara zaczęła się drapać po przez rękaw w chude ramię niedbale. Józia zaś poskoczyła do progu. Już w półotwartych drzwiach obracając się, zawołała na odchodnym znacząco:

— Marno?... a gwóźdź!!

— Widzisz — dobrze, żeś przypomniała.

Pochyliwszy się co żywo, wyciągnęła stara z pod szafy drewnianego pieska od butów i nim poczęła na gwałt wbijać sterczący w siedzeniu najlepszego stołka gwóźdź zdradliwy, aby uchronić suknie oczekiwanego gościa od szkody. Cały dom miał odzież w tych samych miejscach podartą od tego gwóźdźcia — wbijany co dni parę, raz po raz najniespodziewaniej wychylał się napowrót, z uporem.

Wtem głośny śmiech Karolki, dochodzącej szczytu schodów — pierwszy sygnał — przerwał jej pracę. Cisnęła pieska w cieńmy kąt i po drugim sygnale — wycieraniu nóg w słomiankę pod drzwiami sąsiadów — usiadłszy na krześle, jak aktor wcielający się w swą rolę przed podniesieniem kortyny, przybrała pozę rozmodłonej staruszki, z koronką w rękę, którą podjęła z pod stołu. A fizyognomię starej wiedźmy okrasila uśmiechem anielskiej dobroci.

W tej samej chwili młoda para wkroczyła do pokoju.

Karolka przy obcych była istną pieszczotka. Była nią w tej chwili zwłaszcza śmiejąca się, ożywiona, przejęta zabiegami o męża. Lecz jednocześnie ukradkiem rzucała niespokojne spojrzenia po pokoju i na wszelki wypadek zasłaniała go sobą jeszcze przed Łupskim.

Młody, wyelegantowany introligator wsunął się za nią w ukłonach. Od paru już miesięcy co wieczór czekał na Karolkę i jej siostrę przed szwalnią, by je odprowadzić do domu i wpoił w starszą swem nadskakiwaniem, pełnem uwielbienia, nadzieję, że ten stosunek może ją zaprowadzić do ołtarza. Posiadał tutaj względy.

— A! rzadki gość! Co się to stało! No! no!... — witała chłopaka w oklepany sposób stara, ze wszystkich sił przytem udając wielkiej godności damę.

— Siednij że pan sobie — ponowiła, podsuwając przeznaczony dlań stółek, mrugnięciem zaś oczu uspokoiła Karolkę, która chciała podać inne krzesło.

— Jakże mi się pan miwa, mój panie?...

— Tak sobie, proszę pani, obleci. Raz w prawo, drugi raz w lewo.

Karolka przekonała się paru rzutami oka, że zwykłą niechlujność mieszkania trochę usunięto. Kopnęła jeszcze nogą pod łóżko wystrzępiony pantofel matki i coś białego, przybrukanego. co się z pod kapy wychylało.

wsunęła nieznacznie pod przykrycie. Tylko nosem pociągała bez przerwy daremnie starając się w siebie wmówić że nie czuje zwykłego fetoru.

Zwolna wywiązała się rozmowa. Kawaler przypatrywał się głównie frendzli od obrusa poniżej stołu, którą bez litości miętosił w rękę, czasem zaś spozierał na starą, aby zaraz potem poszukać oczu Karolki w lustrze, skośnie zwieszającym się z odrapanej ściany. Tam to właściwie, w tym drugim, nieistniejącym, odbitym tylko pokoju, między dwoma parami ich oczu, toczyła się najważniejsza część rozmowy, dla niego jedynie i dla niej zajmująca, podczas której matka, świadoma tego co się dzieje, od czasu wizyt poprzednich konkurentów oraz z własnego doświadczenia przed laty, obojętna już jednak na te głupstwa, poziewała tak szczerze, aż jej łzy w oczach stawały.

Nakoniec weszła Józia. Po długim pobrzękiwaniu w kuchence talerzami i łyżkami wniosła salceson w plasterkach, cztery szklanki mętnej herbaty i cztery blade, koszlawe bułki, ostatnie, jakie były w sklepiku. Zakochani nie lubią przyznawać się do apetytu w swojej obecności, to też Łupski i Karolka, chociaż zapach salcesonu przywołał im ślinkę do ust. oboje oświadczyli, że nie głodni. Za to Józia i matka poczęły zmiatać wędlinę na wyścigi, przyczem córka o porządną porcję wyprzedziła starą, nie mogącą nadażyć z powodu braku zębów. Jednej wszakże jak drugiej nie poszły zapasy te na zdrowie: Józka

się zakrzuszyła tak mocno, że aż musiała wstać od stołu na chwilę, matka zaś ze złości, jaka ją porywała na widok znikania kąsków w łakomych ustach dziewczyny, zeszeptniała na poczekaniu, pozbywając się całkowicie oblicza dobrotliwej kobieciny, które udawało jej się nieraz zachować z godziną, ze dwie, przy ludziach.

Gawędząc wśród tego o różnych rzeczach, stale powracano do jednego tematu: miłości, wesel, małżeństwa. Łączono pary. udzielano sobie wiadomości o pożyciu już połączonych, spierano się o daty zaręczyn i terminu ślubów.

Najdłuższym ustępem rozmowy był opis wesela Masłówniej, córki odźwiernego z ulicy Białej, koleżanki i przyjaciółki obu sióstr, która ostatnich zapust wyszła za drukarza. Karolka i Józia nie dawały prawie jedna drugiej przyjąć do słowa, z zapalem opisując naprzemian to wesele, poprzedzone ślubem w kościele rzeźbiście oświetlonym, przystrojonym dywanami i kwiatami, do którego orszak zajechał w karetach, w karetach wyraźnie, z fernalami ubranymi w liberye na koźle, nie w numerowanych, jednokonnnych dorożkach. W orszaku były same fraki, same jedwabne suknie, zupełnie jak na pańskich ślubach — kawiarka z "Końskiego placu" była w pomarańczowej, z czerwonym piórem na głowie, maszyniścina Dłutkowa ubrana popielato z niebieskiem, siostra jej na zielono i t. d. Wszystkie jednak zaćmiła panna młoda ogonem na trzy łokcie u sukni jedwabnej, która z welonem, wachlarzem, za

rzutką, dodatkami, kosztowała, pod słowem, reńskich. Wesele wyprawiono w hotelu, z obsługą we frakach i białych rękawiczkach, muzykantów wojskowych czterech, słowem wszystko odbyło się suto i z szykiem, nic też dziwnego, że uroczystość zaszczylił swym udziałem sam właściciel drukarni, oraz pewien jednoroczniak i dwóch aptekarzy. Koszt wprawdzie wyniósł koło trzystu guldenów i połknął wszystkie oszczędności Masłówniej, która aż dotąd zarabiała dużo jako bardzo zręczna modniarka, ale panna młoda była zdania, że to raz w życiu, więc jak pokazać się, to się pokazać... To też wszystkie rówieśnice, wzdychające dopiero do zamążpójścia, zazdrościły jej z całego serca, przyznając, że z pięknem wspomnieniem opuściła dom rodzicielski, małą, ciemną izbinkę w kącie podwórza. pełną zawsze dzwonięcia

przez noc całą (bo ojciec spał twardo), aby się przenieść do skromnego pokoiku na przedmieściu, który był gniazdkiem, usłanem jej za pożyczane pieniądze przez męża.

Dziewczęta rozprawiły o tem wszystkim z iskrzącemi oczyma, znać było, jak je ten przedmiot, będący szczytem ich marzeń, zaprzęta. Matce przypadał również do smaku niewyczerpany temat babskich gawęd i plotek. Dla niego jednak, dla Łupskiego, w roli, w jakiej tu występował, kompletnie zawróciwszy sobie dziewczyną głowę, rozmowa o ślubie i weselu przedstawiała urok nieopisany, a każde słowo z ust Karolki pełnem zdawało się pokus i obietnic, pełnem wdzięku i znaczenia...

Ale kiedy we trzy wzięły się do chłopaka wspólnymi siłami, udało im się po jakichś dziesięciu minutach doprowadzić go do tego, że się ze stoika podniósł i zaczął je żegnać.

Matka, kontenta z tego, popychając go zlekka ku drzwiom, żartowała:

— Tylko też prosto do domu... mój panie Łupski... bo wy kawalerowie...

I pogroziła mu na nosie, rzucając jednocześnie spojrzenie wściekłości na Józię, która za plecami gościa pochłonęła co tylko ostatni plasterek salcesonu. Łupski ścisnął po kolei wyciągnięte ku sobie ręce.

W tej chwili jednak, gdy się do matki zwrócił, doleciał z kuchni łoskot drzwi, otwieranych z trzaskiem, ciężki krok męski i naraz kobiety, spojrzawszy po sobie, spoważniały.

— Pozwól też pan, — wrywając Łupskiemu rękę, rzekła stara i spieszenie wybiegła.

Pozostałe córki zastawiły mu sobą drzwi od kuchni, przymknięte. Plotą coś trzy po trzy, równocześnie, gorączkowo, z czego on nic a nic nie rozumie, widzi tylko utkwione w siebie zakłopotane spojrzenia obudwu.

— Przepraszam pana na momencik — odzywa się naraz Karolka, nie mogąca dostać na miejscu i znika również za progiem kuchni, zostawiając Łupskiego na pastwę kokieteryjnych min siostry, które go nie od dzisiaj w kłopot wprawiają, zważywszy szczere jego zamiary względem starszej.

Ale po chwili, po bardzo krótkiej chwilece darennych prób zagłuszenia jakimś na pędzie

wymyślonym opowiadaniem o domowych kłopotach coraz głośniejszej w kuchni sprzeczki, nad którą górował gruby, chrypliwy głos męski — i ona nie potrafiła wytrwać na stanowisku i bąknawszy:

— Zaraz wracam — zniknęła, zamykając mu drzwi przed nosem. Przez to zajrzeć za próg stało się rzeczą niemożliwą, za to słuchać łatwą zupełnie.

Ale nastrojonomu bardzo idealnie spędzeniem wieczoru u boku ukochanej Łupskiemu trudno się było zorientować.

Zaniepokoił się tylko mocno, słysząc najwyraźniej łkanie Karolki, która szeptała boleśnie rozpaczliwym tonem:

— Chyba tata chce mojej śmierci!...

Józia znów powtarzała:

— Bójcie się Boga! tam wszystko słyszać — a właśnie jej głos słyszać było najlepiej. Matka nie przestawała mruzczyć:

— Wstydubysz nie miał, włazić tak: zastanów się, żeś usmolony jak nieboskie stworzenie, a do tego masz w głowie!...

Mężczyzna odpowiadał na to ochryple:

— Więc cóż z tego?... Usmolonym?... to od roboty... Wypiłem? to za swoje... Panie szanowny!... Chodźno pan tutaj... Panie... jakże to panu?... panie Łupski!... chodźże pan, bo te gęsi...  
Przyzywano go — wkroczył do kuchni.  
Ale one nie spodziewały się tego, i właśnie wszystkie trzy, zjednoczonymi siłami, starały się wepchnąć starego za piec i ukryć go tam przed konkurentem, przed którego oczy

ma roztaczały dzisiaj przez cały wieczór ile tylko mogły pięknych, pozorów, dla zakrycia swojej nicości i nędzy. Staraly się schować go w kącie jak owe brudy, przysłonięte szmatą, traktując na równi ze swym niechlujstwem tego starca, który przez cały tydzień pocił się, aby zarobić grosz na ich utrzymanie, a raz jeden, jedyny w tygodniu szukał odrobiny przyjemności w kieliszku, nie mogąc jej znaleźć w domu nigdy, przez całe życie. Uprzątały go z przed oczu jak śmieci, jak sprzęt jakiś wstydlivy, ponieważ się nie dostrajał do ich obłudy.  
Na widok Łupskiego nie wiedziały teraz co począć. Matka badała oczyma chłopca, starając się uśmiechać, nieszczerze, Józia uciekła w drugi kąt kuchni, a Karolka wybuchnęła płaczem; nie płaczem wstydu, ani bólu, lecz płaczem złości, że niespodziewane zajście psuje jej tak dobrze idącą komedję, złości i obawy, aby widok jednej przywary ojca nie pozwolił domyślić się wszystkich jej przywar pod kłamliwą powłoką udanej dobroci i sztucznego wdzięku.

"PROSZĘ O GŁOS!"

Uczucie dziwnej rozkoszy, spokoju i nadziei ożywiło Wolskiego, gdy otwarłszy rano oczy, spojrział na pokój, i odbiło się na jego bladej, chudej, ciemną brodą okolonej twarzy, blaskiem pogody, prawie szczęścia.  
Z okna biły ku niemu ciepłe i jasne promienie jesiennego słońca, tak miłe, tak cudne po paru tygodniach słoty, a dzieci, mały Józio i jeszcze mniejszy od niego Franuś, w koszulkach, zamorusane, przewracały się po nagich, rozgrzanych słońcem deskach podłogi, wykrzykując do siebie na cały głos, na urągowisko przestrodze matki, jaką zostawiła im przed wyjściem do miasta, kiedy ojciec spał jeszcze:  
— Cicho bądź Franiu! bo zbudzisz tatusia !..  
Leżał chwilę bez ruchu i pałł oczy widokiem rozbawionych malców, które nie wiedziały, że je ojciec obserwuje; rozkosznym widokiem ich zarumienionych od snu buzi, rozczochranych główek i tłustych gardziołków, śmiejących się tak radośnie i szczerze.  
Naraz zobaczyły zwrócone na siebie oczy ojca i jego uśmiech serdeczny, więc dalejże

do tatusia, do łóżka. Teraz już troje dzieciaków zaczęło płać figle i hałasować jak szaleńcy.

Po jakimś czasie dzieci, uprzykrzywszy sobie igraszki z ojcem, pozeskakiwały z pościeli i poczęły z całych sił zbijać swe nagie, małe, różowe piętki po podłodze — Wolski zaś, rozradowany, orzeźwiony, puścił spojrzenie za okno, na zwodnicze blaski babiego lata.

Jasność, coraz obficiej wypełniająca skromny pokój robotniczego mieszkańka, coraz, większą otuchę zaczęła w nim budzić. Zapomniał zwolna o tych dwu tygodniach, przeleżanych w łóżku w walce z goryczką, brakiem apetytu i niemocą, które go tak gwałtownie powaliły na posłanie chorego po owym krwotoku, wywołanym zażartą rozprawą z pryncypałami. Nie myślał o owej walce, toczony od paru miesięcy o polepszenie warunków pracy, odwiecznych warunków, które nieludzko wyzyskiwały paręset ludzi, zmuszając ich kontentować się miarą wynagrodzeń, od lat pięćdziesięciu niezmienną, pomimo z każdym rokiem spadającej wartości pieniędzy a drożenia środków do życia. Nie rozpamiętywał tych trudów, jakie poniósł, zanim zgarnął towarzyszy zawodu, oświecił w ich sprawie, zagroził i skłonił do podjęcia walki nieuniknionej, koniecznej. Nie myślał o przeszkodach, zwalczonych z wysiłkiem, o zniesionych prześladowaniach i przykrościach, o nieustającym trudzie podtrzymywania przekonaniem i energią jednego człowieka wytrwałości zniechęcającej się byle czem gromady, o której dobro

szło. Zapomniał o tem, że przypląciwszy swoją forsowną pracę gwałtownym wybuchem piersiowej choroby, wywołał wyrok lekarza: "Drugi taki atak, a przeniesiesz się pan do innego świata".. O tem wszystkim zapomniał w tej chwili a oddał się całej myśli o swoich drogich bębnach, o tyra drobiazgu, w którym widział cel i rozkosz życia, i o swej poczciwej, biednej żonie, takiej dobrej, nieznużonej pracownicy biednego gospodarstwa i tak pieczołowitej nadzorczyń chorego zapaleńca, zaniedbującego jej dobro dla dobra innych. Bo przecież poświęcając daie i noce, zarobki i zdrowie tej walce w imię towarzyszy zawodu — narażał tem samem całą egzystencję własnej swojej rodziny. W tej chwili żona była w mieście na rannych zakupach.

Było to święto. Echa dnia wypoczynku, gwarne i wesołe, dolatywały tu z ulicy, napelniając go tą samą co zawsze, silniejszą jeszcze w świeżości wrażeń rekonwalescenta rozkoszą, ile razy ten dzień wolności nadchodził. Zbierała go chętka wstać, pójść, przywitać znajomych, przejść się po ożywionych ulicach, zajrzeć do świętujących warsztatów. Lecz drugiej strony myśl o żonie opanowała go naraz silniej i ciesząc się na jej powrót, postanowił ją przywitać, podziękować jej za jej dobroć, za jej pełne miłości starania około siebie, widokiem zdrowego człowieka. Wyskoczył z łóżka, umył się i zaczął żwawo

ubierać. Zaniepokoiło go tylko, że się pod nim nogi chwieją, osłabłe.

Wśród tego drzwi się otwarły i ukazała się przez nie ręka męska, w rękawie obszytym pomarańczowem suknem, dzierżąca papier w palcach. Bozległ się głos niewidzialnej osoby:

— Piotr Wolski.

Okulawiony chwilowo przez pół ledwie wdzianym na nogę butem, nie mógł do drzwi pospieszyć, więc rzekł:

— Weź no to Józiu, to dla tatusia.

Trzyletnie bobo podreptało do drzwi i zadarło w górę rączkę. Potem drzwi się zamknęły a Józio poważnie, prawie z trwogą, jak świętość jaką, niósł w wyciągniętej przed siebie rączce papier do ojca. aby zaraz potem, w podskokach, napaść braciszka, który się tarzał po ziemi, podobny do kluseczki tłustego, różowego ciała, niewyczerpanego w figlach.

Było to pisemko robotnicze. Wolski zaledwie rzucił na nie wzrokiem, odkładając' czytanie na później. Lecz naraz, na ostatniej stronie, wpadły mu w oczy między wierszami drobnego druku wyrazy:

"... jutro tedy. w niedzielę, odbędzie się ta ostateczna rozprawa o nowe warunki pracy, której nie najlepiej niestety wróżyć można, zważywszy..."

Słowa te przykuły do siebie jego oczy, uwagę, myśl. unieruchomiły go całego.

Przestał się ubierać, odczytał cały ustęp, pochłonał go powtórnie, odnowił w sobie w minucie wszystko, czem dyszał od pół roku —

i po oliwili uczuł, że cały należy do zawartej w nim myśli, że cały stoi napowrót przy sprawie, o którą w nim szło; cały, wbrew przestrogom lekarza, wbrew głosowi rozwagi, wbrew całemu światu.

Tak!... to dziś. dziś to ostateczne zebranie ogółu pracowników, na którem ma nastąpić tak zwane "ostateczne porozumienie" — ściśle biorąc, ostateczne zamydlenie oczu robotnikom przez pracodawców. I nie najlepszy słowa pisma, wróżą mu koniec...

Ach! nio dziwił się temu. Wiedział dobrze, że tak będzie, że tak być musi, skoro go braknie, że wszystko wówczas pójdzie w rozsypkę, bo nie będzie kto miał dodawać ducha, oświecać, zbijać kruczki, przeciwdziałać intrygom, odpierać fałszywe dowodzenia tak silnej w tych rzeczach przeciwnej strony. Był pewny, że do tego przyjść musi. I otóż pod jego nieobecność miano ubić sprawę. I oto warunki pracy zostaną jak były — to znaczy: robotnik będzie bardziej niż kiedy przykuty do łańcucha trądu nad siły wynagrodzeniem, nie starczącym na życie...

Godzina dziesiąta minęła... Dla Boga!... a zebranie rozpoczęło się o dziewiątej!... może już skończone?... może już po wszystkim?!...

Lecz może nie ieszcze...

Na gwałt dokończył ubrania, przywdział zarzutkę, kapelusz, biegnie do drzwi bez namysłu.

— Jdzies tatusiu ?... — zaświergotał cieniutkim głosem Józiek, za jego przykładem

Franuś zwrócił na ojca niebieskie, okrągłe oczka i naśladując starszego braciszka, mamrocze coś niewyraźnie.

A Wolski przypomniał sobie żonę, jej bezsenne noce, jej płacze ukrywane, perswazyje i tysięckrotne powtarzanie mu przestroóg lekarza...

Gdyby była w domu, nie puściłaby go z pewnością — a więc... zdawało mu się, że ją haniebnie zdradza, wymykając się pod jej nieobecność...

Tak! ale tam, tam... kto wie, co się w tej chwili dzieje!...

Ucałował dzieci, przykazał im, aby były grzeczne, pozamykał okna, zaniknął drzwi na klucz a klucz oddał sąsiadce i przestając odczuwać nagle tę niepewność w nogach, co go tak rano zdziwiła — biegł... biegł!...

Ach! wpadł nareszcie tam, gdzie myśli jego były już od dawna, wyprzedziwszy kroki.

Pełna sala ludzi. Jakiś mowca co tylko skończył. To ten lis Brechalski, zarządca zakładów spółki. Musiał dopiero nałgać!...

A pryncypałowie, siedzący obok na wzniesieniu, potakują mu poważnie głowami, jak gdyby skończył głosić jedną z ewangelii. Garstka stronników pryncypałów słabo przyklaskuje. jedni z obawy, inni z lizusostwa.

Lecz pośród tłumu roboczego zamieszanie. Bliżsi estrady stoją z opuszczonymi głowami, przybici, jakby obezwładnieni i z rezygnacją słuchają niby serdecznych perswazyj stronników pracodawców. Pod ścianami i po kątach mruczenie — wielu poprostu obróciwszy

się plecyma do przewodniczącego, opuszcza salę, machając desperacko rękoma.. Po co tu więcej zostawać? na co się to przyda? Już wszystko skończone. Tak być musiało...

Widocznie Brechalski zadał ostateczny cios obuchem swej krętackiej wymowy w te głowy i tak aa pół ogłuszone troskami i pracą.

Ale tamci chcą odnieść zwycięstwo zupełne. Przewodniczący, jeden z właścicieli, dzwoni i jakby na szyderstwo pyta, czy nikt nie żąda głosu?...

Teraz! kiedy głos wszystkim zamarł w gardłach, po tem co usłyszeli, kiedy złamano ostatecznie fałszywym rozumowaniem, groźbami i intrygami poczucie ich potrzeb, ich praw, kiedy już zapadł wyrok, skazujący ich na nędzę dawnego losu. który polepszyć chcieli... teraz pytają, czy kto nie żąda głosu?!...

Cisza wezwaniu odpowiada. Gromada ciśnie się ku drzwiom. Komuby tam w głowie było głos zabierać. Uśmiechnęło się gorzko paru, paru zakłęło półgłosem, sala się zaraz wypróżni. To też sekretarz składa już papiery a przewodniczący powstawszy, dumnie po raz ostatni mierzy zgromadzonych wzrokiem, który mówi: Tak jest. nie zabierajcie głosu, waszą rolą jest milczeć! milczeć zawsze...

Naraz — z pod samych drzwi — z ciżby — stłoczonej pod niemi, rozlega się głos silny, dźwięczny, znany wszystkim i wstrząsa salę, jak iskra elektryczna wyrazami:

— Proszę o głos!

Ta pewna, śmiała, spokojna a silna zapowiedź protestu zatrzymuje robotników... wy

wołając między nimi ruch. Co to ? kto to ? — pytają niektórzy, jeszcze nie pewni — ale wszyscy już w gruncie wiedzą, że to Wolski, nikt inny tylko on... I: Wolski!... Wolski!... przebiega szept z ust do ust, obiega salę. wraca, podnosi



barki, rozjaśnia czoła, zapala iskry w oczach... i cała gromada pcha go już sobą ku estradzie... i podnosi się gwar, gwar radości i nadziei...

Brechalski szepnął coś pryncypałom, tamci patrzą ku sali zadziwieni niespodzianką. Przewodniczący zaś, zmarszczywszy się, jakby oburzony zuchwałstwem, pyta:

— Co takiego? — z pewną opryskliwością.

— Wolski prosi o głos!! — ryknęło chórem paręset piersi.

— Ou... przemówili... — mruknął pod nosem sekretarz...

Tak, przemówili — odzyskali swe usta, i te usta będą mówić za nimi, tak jak przed chwilą w imię pryncypałów mówili pryncypałów usta: Brechalski.

Zaledwie Wolski stanął na estradzie, — krzyk i oklaski całego uradowanego tłumu. robotniczego hukiem burzy powitały towarzysza, który w tej chwili będąc zbawcą, zdawał się bić światłem. A on przejrzał ich twarze, ich oczy rozognione, w których samem swem zjawieniem się ten ogień i tę ufność zapalił, i nabrawszy pełną pierś tchu, zaczął mówić...

Ten człowiek mówił zawsze to, co oni myśleli. Myśl i uczucie tłumu, który go wydał, z którym żył i pracował, wydobywała się z jego piersi taka jasna, taka silna, taka

wymowna, jakgdyby w chwili mówienia szeptała mu w ucho cała gromada tych biedaków swoje wszystkie bóle. a on je tylko powtarzał w myśl ogółu. Był on co się zowie głową towarzyszy — nie tą głową, co się wysoko zadziera ponad barki, aby sterczeć, ale głową, która myśli, która posiada świadomość, która kieruje rozumnie i bez samolubstwa — był też i sercem, Gdy Wolski mówił, niepodobna go było nie słuchać — słuchając, czuło się podnoszącą się w ciele siłę, czuło się gorąco, wstępujące w żyły, pięści się zaciskały, szczęki zgrzytały zębami, a ciało całe przebiegały strumienie dreszczu, jakby na widok przelatujących w powietrzu ostrzy i błyskawic. Bo jego słowa padały nagle jak błyskawice, ostre jak grotty stalowych dzid...

Porywał ich też... porywał z każdym słowem.

Wyłożył najpierw raz jeszcze całą sprawę, krótko, zwięźle a jasno, i przedstawił ją taką, jaką była, obalając tem w gruzy wszystkie przebiegłe i chytre kłamstwa poprzedniego mówcy, choć ich nie słyszał.

— Nie ustąpimy od naszych żądań ani na włos — mówił — bośmy je rozważyli dobrze, bo są słuszne, bo bez ich zaspokojenia nie podobna żyć, bo tu idzie o nasze dzieci, o tych co z nami pracują i o tych wszystkich, co po nas pracować będą. Me na tośmy powiedzieli. pod jakimi warunkami przyjmujemy odtąd robotę, aby ją przyjąć nadal pod dawnymi. Od trzech miesięcy wiadome są nasze postanowienia — i jeżeli nie zostaną, jak słusznie należy, uszanowane, od dziś za trzy

dni ani jedna ręka nie dotknie narzędzi. Lepiej zginąć z głodu w obronie swoich praw, niżeli żyć po to, żeby je dać krzywdzić. Lepiej samemu popaść w ostatnią nędzę, niżeli zgodzić się na tę lżejszą, która potem przejdzie i spadnie w dziedzictwie na dziesiąte pokolenia.

Ale zaczął słabnąć. Czuł, że nogi się pod nim chwieją, ścisnęło go w gardle, na policzkach paliły wypieki. Już parę razy orzeźwiał się wodą, a raz nawet zachwiał się w nagłym zawrocie głowy, tak że jeden z kolegów, poskoczywszy na estradę, musiał go podtrzymać. Czuł, że się strasznie naraża — że staje oko w oko z życiem swoim, z naturą, która mu powiadała: milcz!!! przestań! bo zginiesz...

Lecz czuł też potrzebę mówienia, czuł ten napływ myśli, słów, które wzbierają w piersi i rwą się na świat potokiem jak siła niepowstrzymana... Czuł, że tamci czekają spragnieni i głodni jego słów, że karmi i umacnia setki ludzi...

Więc mówił dalej, mówił bez przerwy zapalając się, zapominając, co mu grozi, co się z nim dzieje, wydobywając z siebie wszystkie siły i przelewając je w swych słuchaczy...

Naraz pochylił się w tył... Mdleje?... Skropiono mu twarz wodą — otworzył oczy, powstał i mówi dalej.

Mówi i duch w słuchaczach rośnie — i silni czują się nimi, i krzywdzeni widzą całą ohydę swej krzywdy, i prawda, cała prawda, staje przed nimi jasna jak słońce, które w natchnieniu ukazał im ich druh serdeczny...

— Tak! tak! prawda święta!! brawo !!

doskonale!!... — wołają — tłum cały żyje, drży, rwie się, jak rumak na uwięzi, podniecony dźwiękiem trąby bojowej...

Ale Wolskiemu już tchu brak, już mu pierś zapiera, parę razy go ścisnęło za gardło — mówi, jeszcze mówi, jeszcze dorzuca po słowie — jak po garści żaru z ogniska swego życia, ale czuje, że padnie w pół zdania..

Ustał na chwilę dla zebrania sił — a pauzę wypełnił huk oklasków uznania, wdzięczności i uwielbienia.

Wtem, czy to przestroga, czy to widmo tylko, czy rzeczywistość?... U drzwi sali w cieniu galeryi zobaczył żonę...

Wpadła, stanęła, załamała ręce i wybuchnąwszy płaczem, oparła się o ścianę...

Coś Wolskiego zabolęło jak rana... Zabolęła go krzywda, zbrodnia, jaką popełnił w tej chwili przeciwko niej i przeciwko dzieciom...

W sali już się uciszyło — czekają dalszych słów — on milczy i jeszcze w nią patrzy. Zgromadzeni się niecierpliwą, słysząc wołania: "dalej... dalej!" — on patrzy oczyma pełnymi uczucia na żonę i mówi jej: "wybacz mi... i... bywaj zdrowa..."

Otworzył usta, aby wyrzucić dobitnie:

— To chciałem powiedzieć tym, którzy nasze słuszne żądania zbywają jezuickimi sztuczkami, jezuicką gadaniną...

Jutro dowiedzeni, że słowa nasze możemy poprzeć czynem! Prawda towarzysze?...

— Prawda! — zagrzmiały głosy ludzkie jak salwa rotowego ognia.

— Od jutra biedni, jeszcze większej biedzie mężnie stawimy czoło, w imię spraw naszych. !... — Prawda towarzysze?...

— Prawda!! prawda!!!...

— Od jutra nie damy więcej naszej pracy, jeżeli nam za nią nie zapłacą tyle, ile warte to życie, ten pot krwawy, te siły, które nam ta praca zabiera... Od jutra! wszyscy! co do jednego! pokażemy, jak się broni krzywdy! ludzkiej krzywdy, krzywdy człowieka!... bo w nas ludzkość cała jest deptana i poniewierana haniebnie... A za jej prawa i godność, nie za krzywdę jednostki, ale za krzywdę ludzkości ! my wszystko! wszystko!!... nawet ży... nawet życie... nasze...

— Ach! — bolesny, rozdzierający okrzyk przeszył powietrze u wnijscia sali. Obejrzeni się bliżsi, to kobieta jakaś padła na ziemię zemdlona, biegną ją ratować.

Większa część tłumu rzuciła się w inną, w przeciwną stronę, ku stołowi mówcy, gdzie padł ktoś drugi...

Na papierami przeładowanym stole leżał twarzą naprzód Wolski, krwią zalany — a krew ta, krew jego, której nie szczędził w zapale dla sprawy, wybuchnęła zda się wszystka teraz przez usta. za słowami, skoro już na słowa piersi nie stało, aby sobą. męczeńską swoją barwą przemówić do oczu zebranych, aby zaświadczyć, że wszystko człowiek ten drugim oddawał.

I zalawszy stół. ściekała po zwieszonych z przodu papierach, czerwona, gorąca, podobna do wystrzępionego sztandaru, utkanego z krwi

ludzkiej, z krwi ofiar, ofiar przeszłych tych, co już padły, co już swoje odcierpiały, — i zdawała się mówić:

— Widzicie mnie? ciekłam strugami przez wieki!.. strugami mnie wyciskano z bark niewolnika z chłopskich karków, z ciał biednych i ciemnych, z ciał pracowitych... Dopókiż jeszcze ciec będę?... Kiedyż zatamujecie to źródło czerwone, które was hańbi, źródło krwi. przelanej w bratobójczych walkach nie o słuszność, lecz o zwycięstwo?!....

## POGRZEBY.

Ślepy koń włókł to stare, rozbite wozisko, wyschły chłop, z wolem na podgardlu, wywijiał posztukowanym ze strzępków batem nad wytartą i pokaleczoną skórą szkapy, do żebraczych łachmanów podobną — a w głębi, obok trumny z chropawych tarcic, wrytej w posłanie ze słomy, którą gdzieś z podściółki w oborze zapewne wysmyknięto, siedziało bokiem na drabince, trzymając się oburącz zadzierzystych drążków i półkoszka, dwóch ludzi licho odzianych: szewc Kładka i Maliński lakiernik, serdeczni przyjaciele zmarłego Zawiasa. Nieboszczyk był szewcem wiejskim w Piaskach.

Trzęsło się to wszystko jak biedak w dzień mrozu po wybojach bocznej drożyny wiejskiej, skradającej się środkiem wyrw gliniastych i dzikich krzaków wiklu ku głównej, bitej drodze, pod cmentarz z miasta biegnącej rozłożycie i równo. Trząśł się wóz. dziadziśko na nim, trzęsła się trumna i trzęśli obaj jadący tak silnie, że całe ciało drgało im po przez suknie, drgały wychudłe policzki w takt turkotu i kiwały się postacie, kurczowo ściśnię

temi rękoma drabinek uczeplone, za każdym uderzeniem kół o kamień lub dziurę w drodze. Ale dziad, poszarpując lejcem, śmigał batem raz po raz i spieszył. Za trzy szóstaki trudno jechać nogą za nogą, choć i z umarłym. Na skręcie w główną ulicę, skąd już do wrót cmentarnych sto kroków najwięcej, pofolgował wszelako szkapie jakby droga porządna mniej uczyniła lichego woźnicę i zaprzęg lichy śmiały, właściwie zaś dla tego, że widać było zdala nadciągający od miasta pański kondukt żałobny i że dziady z pod wrót cmentarza rękoma zaczęły wywijać, a jeden, przez szczęki bezzębne, słabym, dawno na pacierze wyszeptanym głosikiem, wykrzyknął w ich stronę: Stójcie tam! hej! stójcie!...

Więc przystanęli.

Z pod bram cmentarza dziady i dziadówki, co do jednego zwróciły oczy na wolno, długim pochodem kroczący pogrzeb. Tu, z wozu, stanowiącego cały kondukt biedaka, spojrzano też w tamtym kierunku: i furman, z pod dłoni, którą przysłonił oczy przeciw słońcu, i szewiec z pod daszka swej czapki, i lakiernik z pod kapelusza smutno zwieszającego brzegi spłowiłało, strzępiaste; jedna tylko szkapą, ślepa na widok wszystkiego co ziemskie, spuściła łeb ku ziemi, znużona, i przymróżwszy sennie osowiałe swe. bielmem zakryte oczy, to potrząsaniem skóry, to zamachami wyłysiałego ogona spędzała muchy i bąki z swoich chudych, kościstych boków.

Stali tuk zdala, pod niebem jasnym, białymi chmurkami na gładkiem tle błękitu ubranem, i czekali wraz z trumną, aż wspaniały korowód mimo nich przeciągnie. Czekali skromnie i cierpliwie. Kazały tak dziady, kazał sam widok zbliżającej się pompy, kazało im poczucie własnej niższości, które zmusza ubogo odzianego zstępować z drogi bogatym sukniom, z podziwem patrzeć na postać nadętą i nos w górę zadarty, ze drzeniem chylić czapkę przed podniesionym dźwiękiem głosu.

Pogrzeb był wspaniały.

Pół setki księży w komzach, każdy z płonąca świecą, cały hufiec sierót zakonnych z świecami, dziadów płci męskiej, łysych, brodatych, też z świecą w ręku, dwa sznury, za niemi w czepcach dziady płci żeńskiej, świeca u każdej. Potem drab z pałką, w czerń odziany, za nim szóstka karoszków, potrząsających łbami, ustrojonemi w kity, karawan srebrzysty, jak ołtarz, a w nim trumna z metalu, złocona, przepyszna, prawie ukryta w gęstwinie wieńców, od których spływające szarfy jedwabne obwołują złotemi głoskami uczucia przyjaciół i wielbicieli, jakich zmarły zostawił, oraz liczbę cnót jego. A za tem tłum, ogromny tłum "państwa" w żałobnych, ciemnych strojach, starcy, kobiety, młodzież, nakoniec dwadzieścia karet, toczących się na ostatku wolno, smutno, uroczyście...

Kładka z Malińskim patrzy podziwu pełni, z powodu niewoli dni roboczych niewiele w życiu pogrzebów widziawszy. Otoż to się nazywa być grzebanym po ludzku, dla takiego po

grzebu to i umrzeć warto. To się dopiero nazywa zostawić po sobie żałobę, łzy, smutek, sieroctwo... Tyle księży! tyle ludzi! tyle koni! świec tyle!... O takim nieboszczyku ktoś wie przynajmniej, że umarł... Taki się też na pewne do nieba dostanie... A jak mu śpiewają, jak mu serdecznie kulawy dziad u furty przydzwania!...

Zapatrzyli się trzej biedacy z wozu z uszanowaniem na orszak, który powoli wkraczał w bramę cmentarza, a potem na trumnę, porwaną w tej chwili na barki przez kilku panów, niesioną jak coś niepospolitego, czcigodnego, aż znikła, a za nią tłum.

— Piękny pochówek — stęknął ochryplem ze starości gardłem woźnica.

— Cóż mu z niego, wołałby żyć — głębiej zauważył lakiernik. Szewc zaś, najgłębszy z trójki, zakończył wzdychając:

— Każdemu jeden koniec. Takie to życie ludzkie.

Szkapa kopała się kopytem w brzuch, to lewem to prawem i oganiała resztką ogona.

Wtem zaświszczało:

— Wijoo!... — chłop lejcem strzepnął i konisko, podawszy się naprzód, wyteżywszy ścięgna, napiąwszy postronki, ruszyło z miejsca, wóz wprawiając w trzeszczenie.

Podjechali pod bramę, nieśmiało, z boku. Lakiernik z szewcem, zeskoczywszy zaraz, otrzepywali odzież ze słomy, chłop zaś okręcał lejc około luszni.

Nikogo nie było przy furcie. Grabarze pobiegli na złamanie karku naprzód, ku mogile,

a żebraków pociągnął za sobą orszak, miano bowiem rozdzielać jałmużnę. Czekali tedy, lecz chłopek skrobał się w głowę, żalując czasu.

Po chwili ukazał się zarządca cmentarza z domu obok furty i podniósłszy głowę, z góry spojrzął na przybyłych. Wtedy Maliński i Kładka pobiegli ku niemu, z ukłonem meldując nieboszczyka.

— A pokładne? — przerwał im.

Spojrzeli po sobie.

— Cóż to? Udajecie, czy co? Należy się pokładne za grób.

Nie wiedzieli nic o tem. Chowali zmarłego pierwszy raz w życiu.

Nie śmieli zapytać o wysokość opłaty, ale konieczność dodaje odwagi.

— Reński dwadzieścia centów. Malińskiemu wyrwało się:

— O Ia Boga!

I znów spojrzeli na siebie. Lakiernik włożył rękę w kieszeń od spodni, szewc szuka w kamizelce. Szepczą do siebie zmięszani, nie przestając rękoma dłużyć w kieszeniach a zarządca tymczasem spogląda w głąb cmentarza, pomiędzy ten las krzyżów, nagrobków, krzyżyków, stłoczonych w ciasnym zamknięciu cmentarnego muru znaków męki i zgonu.

— No?... — zapytuje nagle przybyłych.

Tracili jeden drugiego łokciem i równocześnie z nieśmiałości na odwagę wzięwszy, wykrztusili:

— Kiedy nie mamy tyle.

Skarcił ich takim wzrokiem, aż ich ciarki przeszły, jakby mówiąc: cóż to V kpiny ? czy co?

— Mamy tylko... siedm szóstek... wszystkiego... — wyznał pokornie Kładka, straciwszy oddech w ciągu czterech słów trzy razy. A Maliński dodał:

— Siedmdziesiąt jeden! — znalazłszy jeszcze centa w kruszynach chleba na dnie kieszeni.

— Tu targu nie ma! — dobitnie wyrzekł rządca. — Opłata reński dwadzieścia, i koniec. A nie mitręzcie, bo to wstyd, że ciało czeka... Siedm szóstek i cent!... także coś nowego. Na stypę się znajdzie, ale na takse to nie ma. No dalej, dalej, bez obrazy boskiej!.. żebym wam nie powiedział czego...

Poczęli się naradzać skonfundowani, zrozpaczeni, co uczynią, zawstydzeni, że ich biedny zmarły towarzysz czeka tam, za bramą, wykluczony z pomiędzy żywych, niedopuszczony do miejsca pośmiertnego spoczynku... z ich winy.

Nakoniec Kładka zdecydował się prosić z pokłonem:

— Panie szanowny... to my by donieśli resztę przed wieczorem...

— Żadne tam takie! — potrzásając ręką odmownie huknął zarządca. — Co się należy: na rękę! Będę was szukał "przed wieczorem"!... aha!...

Lakiernik wysunął pierś przed siebie i rękę ku niej zbliżył zapewniająco — ale tymczasem rządca, splunąwszy wyraziście, stał już do niego plecyma, ręce w tyle pod połami surduta, rozkraczywszy nogi.

Zostali bezradni.

Wtem dziady, przy chrzęście żwiru pod! nogami z szwargotem, który stawał się coraz głośniejszy w miarę zbliżania, poczęły się schodzić z głębi cmentarza, zrzędząc:

— Po czworaku na każde! a to parada!... A obiecywali Bóg wie co, jak psu kości!... I to za takiego bogacza cztery nowe jednemu!... Żeby no choć tysiączne z tego dali, co tylko w jeden dzień nakradł!... Ale to tak: oszukiwał żywy, oszukał i po śmierci!...

Pojedynczo i chórem mówiły to głosy starców i staruszek, co za skromnem wynagrodzeniem ofiarowywali duszyczkom protekcję swych warg nabożnych. Nareszcie jeden z dziadów począł głuchej babce trąbić podniesionym głosem w ucho, jakie to grzechy ciążą na tym zmarłym, który śmiał im tak lichy przynieść zarobek. Inny, ujrawszy strapioną minę Malińskiego, prawił szepleniąc:

— Tak to tak, panie: drugiemu to naród kupą za karawanem leci, a drugi, to ledwie tyle, że go. jak tego psa. z przeproszeniem, bliska osoba, samego, na cmentarz wywlecze i po krzyku... Ale względem czego to pan taki krzywy?...

Wstyd było lakiernikowi odsłaniać swą troskę. Czekał na Kładkę, który do szynku, naprzeciwno, przybytku chłopskich styp, pobiegł zastawić z siebie kamizelkę. Wygadał się jednak przed dziadem z żałości.

— Patrzcie ludzie! — podjął żebrak — za tego nie ma na pokładne... a tamten se, jeszcze mu się o śmierci ani śniło, z marmuru

grobowiec fundował... O sprawiedliwość!...

Wtem przybiegł Kładka zadyszany i jakiś szczuplejszy niż przed tem a szczerlnie zapięty, choć guzików nie starczyło.

— No?

— Wzionem cztery szóstki — szepnął.

— Mało!...

— Ledwie i to wyżebrał.

— Cóż będzie? Szóstki przez centa brakuje...

Dziadowski cech dowiedział się właśnie o ich strapieniu i zestawiając je z poprzednim pogrzebem, nie skąpił biedakom krzykliwej sympatii. Nie darują oni tych czworaków!... Jeżeli wszyscy bogacze zechcą dawać takie nędzne jałmużny, czyż warto będzie być dziadem?!...

Dwaj przyjaciele zdobyli jeszcze cztery centy, wyprosiwszy je od swego woźnicy, jedyne, jakie miał w rogu chustki, po trzykrotnym zakłęciu, że oddadzą, na zbawienie. Pozostawało pięć.

— Żeby tak dziady chciały pożyczyć...

— Mów któremu.

— Mów ty.

Ale nie było innego ratunku, więc poszli w prośbę bez zwlekania i uzyskali trzy w ten sposób. Jeden z dziadów ofiarował centa, bo mu się wydawał fałszywym, któraś z bab dorzuciła swego na intencje, że ją coś w dołku gniołło, a strach ją przed śmiercią udrećzał, druga zaś, dla pokazania się, sądząc, że tamta, z którą darły koty o miejsce przy furcie, chce ją zaćmić.

Naraz Kładka zastawił się Malińskim tak, aby się za nim ukryć, i po przez ramię lakiernika ukradkiem zerkając na główną ścieżkę, szepnął:

— Stój tak. nie ruszaj się.

Przytem, zaczerwieniony, poprawiał na sobie surdut, jakby się lękał zdradzić, że pod nim brak kamizelki.

Tamten obejrzał się i zrozumiał zaraz, co się dzieje.

— Aha! Zośka — mruknął. Lecz w tejże chwili z nagłym ożywieniem przytknął palcami i łapiąc szewca za ramię, rzekł:

— Ty! a możeby od niej...

Brakowało im dwóch centów.

Szewc się obruszył.

— Ale idź.

— Bójże się biedy! w takim razie!!... — przekładał towarzysza, splatając ręce.

— Nawet mi nie mów !... — oganiał się Kładka,

— Kazek !... zrób to. Przecie to dla Zawiasa!... Sambym poszedł do niej, alem z nią nie znajomy.

— Ja także już nie.

I zachmurzył się po tych słowach Kładka, zraniony przypomnieniem powodów, dla których zerwał z tą dziewczyną, obchodzącą go do niedawna wcale nie na żarty, dopóki się nie dowiedział o jej prowadzeniu. Obecność jej tutaj, o tej porze, w strojnej sukni, z świecidełkami przy uszach i na ręku. potwierdzała tylko wieść, że porzuciła uczciwą pracę. Była

nawet zmieszana ich widokiem. I ja, ją prosić?... Nigdy!...

Wtem dojrzał za bramą sterczący z wozu żółty rożek trumny Zawiasa i Zośkę, która przekraczała w tej chwili furkę. Porwał się za nią co prędzej, zostawiając Malińskiego w niepewności, na krótko.

Nareszcie dopełniła się suma i mogli przystąpić do zarządcy, który zwracał na nich niekiedy zdala spojrzenia niecierpliwości i gniewu.

Ale kiedy przy pomocy grabarzy zabrali się do zdejmowania trumny z wozu, znów ich wstrzymano. Dzwonnik zawołał:

— Czekajcież chwilę, niech państwo przejdą — właśnie bowiem uczestnicy poprzedniego pogrzebu opuszczali cmentarz tłumnie, rozmawiając z ożywieniem, nadskakując kobietom i przywołując pojazdy. .

ONA...

Ulice i place, któremi będzie przechodził kondukt, zatłoczone są ludźmi. Zwartą masą ciśnie się wszystko aż popod szpaler, w napięciu najwyższego oczekiwania patrząc modlitewnymi nieledwie oczyma w stronę, skąd spodziewaną jest trumna. Nad tysiącami głów odkrytych, nad tysiącokrotnie powtórzoną w nich myślą o nim, o tym wielkim i drogim zmarłym, który z obczyzny do rodzinnego grobu powraca, i ponad cichem serc biciem, tysiącokrotnie tej myśli we wszystkich wtórzącem piersiach, unosi się jednostajny, smutny, pomięszany dźwięk dzwonów, jękliwy płacz wież i dzwonic, podobny żałobnemu łkaniu życia nad mogiłami. Z góry zaś, z wysokości nieba rześiste odblaski błękitu i słońca zlewają złotą światłość letniej pogody na tysiące ludu, który nabożna cześć dla popiołów wieszczą pogrążyła w ciszy i ukorzeniu.

Naraz ukazała się w dali, po długim korowodzie wieńców mała, tak dziwnie maleńka skrzynka, na szczycie karawanu chwiejąca się wysoko ponad głowami tłumów: mała, pro

sta, uboga trumienka, będąca schronieniem jego prochów, schronieniem tych relikwii, większych, wspanialszych, czcigodniejszych i świętszych, niż jakiegokolwiek na świecie.

Jeden dreszcz szarpnął za serca wszystkich, nie oszczędzając człowieka, który aż do tej chwili obojętnie i zimno, a nawet z niedowierzaniem patrzył na otaczające go tłumy i uroczyście ich nastrój.

Był to jeden z tych zgorzkniałych, wyziębłych biedaków bez marzeń, bez wiary w sercu, jedna z tych istot, przedwcześnie rozczarowanych, z duszą chorą, które w dzieciństwie otarły się o brud i nędzę życia, łamią się na zawsze, nie zdolne zapomnieć potwornej twarzy, jaką na progu egzystencji przeraziła je złość i szkarada ludzka, nigdy nie zdolne szczerze uwierzyć, że nie wszystko dokoła nich jest złem i fałszywem.

Stał tutaj obcy temu, co się wokoło niego działo, obcy tym tłumom, obcy ich myśli, uczuciu, obcy całemu światu.

Naraz — w tej właśnie chwili — skoro ujrzał zdaleka, ponad głowami, tę skrzynkę szarą, nie wielką, w której na proch zbutwiałe mieściły się resztki ludzkiego ciała, niegdyś mieszkania duszy nadludzkiej, skoro zobaczył teraz dopiero i



odczuł w oczach i postaci tłumów potęgę i świętość uczucia, które przywiódłszy, zgromadziwszy je tutaj, przykuło tam dusze wszystkich patrzących w te zwłoki jak w objawienie — i jego oczy rozwarły się szeroko, zdumione, olśnione,

i ścierpł cały. czując, że kurcz i zimno biorą mu ciało w jakiś uścisk nagły, gwałtowny, który aż do samego serca sięga i myśl samą porywa w dreszcze...

I kiedy tak patrzył... nagle w ponurym smutku jego zwiędłej duszy otrutej niezdrowym powietrzem piwnic życia, jęknęły w taki sposób, jak grzesznikowi przypomina się dawno zaniedbana modlitwa, te łez pełne, tak proste, a tak wstrząsające ogromem zawartego w nich bólu, miłości i tęsknoty, wyrazy:

"Litwo ! ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie...

"Ile cię trzeba cenie, ten tylko się dowie

"Kto cię stracił!..." "

I pochwyciło go za krtań owo łkanie bez dźwięku, tak strasznie bolesne, jak gdyby sprawiała je dusza, cisnąca się do furty swego więzienia, aby się wyrwać z niego, opuścić je, rzucić, ulecieć, bo jej w niem źle...

"... ty jesteś jak zdrowie!..." "

Z wspomnieniem słów tych kilku spłynęła nań rozpacz i żal bez granic...

Ocecił naraz, niby w jasnowidzeniu, że brak to tego zdrowia, brak "jej" czyni go tak biednym, tak nieszczęśliwym... brak tej, która jest jak zdrowie...

A nie miał jej! stokroć bardziej nie miał niżeli wszyscy — bo jej nie kochał!...

Nie miał nietylko tej wielkiej, wolnej, silnej, szczęśliwej, jakiej nie mieli i oni. którym ją wydarto — ale i tej nawet, którą

tamci posiadali, tej obumarłej, uwięzionej, tego widma mieszkającego w najczulszej skrytce serc, napół stworzonego ich wiarą gorącą, i tej nawet nie posiadał — bo w nią nie wierzył... jak nie wierzył w nic ludzkiego; zawiódłszy się na wszystkim, co ludzkie...

Lecz w duszy jego. rozświetlonej od widoku trumny wieszczka, rozwarło się teraz krzepiące źródło wielkiego ciepła a z niem odezwał się w nim taki popęd niezwalczony, potężny i szczerzy do tysięcy i kroci tych, których wypierał się odosobnieniem swoim i obojętnością, że naraz, ujrzawszy się rodzonym ich, ich złym, wyrodnym bratem, uczuł, jak jest niegodnym być między nimi w tej chwili podniosłej, uczuł to tak silnie, że gotów był rzucić się na bruk z okrzykiem:

— Zabijcie mnie! zdepczcie! bom was nienawidził, bom gardził wami!... Lecz teraz jestem wasz! wasz cały!... z życiem!!...

Łzy zakryły jego oczom obraz świątyni, której postać przybrał spowszedniały widok miasta, ulic i ludzi — i przez czas jakiś poił się ożywcem uczuciem jednego z tych bólów, co odradzają..

Skoro jednak, oprzytomniawszy, ogarnął rzeczy oczyma po raz drugi — niedawne wzruszenie już w nim dogasło, zjawiska, co je jakby czarem wywołało, nie było jużT a tam, gdzie przed chwilą zdawał się być kościół z serc ludzkich, chyłących się przed wielkodusznym kapłanem nieszczęśliwego narodu — tam teraz był już tylko gwar, ścisk, chaos uliczny....

— Dałem się porwać wrażeniu!... — szepnął do siebie, nie mogąc odnowić uczucia, jakie go przenikało przed chwilą, która minęła... "

Odświeżało się w nim natomiast wszystko to, co na krótko stłumiła ta chwila uniesienia, odzywały się głosy dawnych skarg i utyskiwań. Wywlekał z pamięci co żywo wszystkie gorycze i wstręty, jakimi zatruchał sobie życie, nadmiarem rozczarowań wyzute z miłości i wiary w cokolwiek.

Te tłumy — myślał teraz — silące się przybrać świąteczne miny przejętych uroczystością — to zbiegowisko ciekawych, to garść marzycieli lub komedyantów, otoczonych gromadą naśladowców z interesu, z głupoty i z musu.

Ten obchód cały — to spektakl, zbiorowemi siłami jednodniowych aktorów odegrany lichy dla okłamania łatwowierności współczesnych i potomnych, wstrętne w swej umyślnej czy bezwiednej obłudzie, przedrzeźnianie uczuć wzbudzonych sztucznie, na jedną chwilę napuszystej komedyi... lub wcale nieistniejących...

Naród!!... Ojczyzna!!... — myślał z wyży wającym szyderstwem swej wzburzonej duszy, która na ogóle szukała doraźnego odwetu za swoją niemoc podzielania uczuć ogółu.

Co to jest naród?!... — zapytywał siebie, odtrącając wszystko, coby mogło zachwiać choć trochę jego wezbrany pesymizmu

To tłum ludzi, skutych więzami wspólnej przeszłości, częściej złej, niż dobrej, współ

nych nałogów raczej niż obyczajów, wspólnych błędów więcej niżeli cnot — związanych ciągłą bliskością i obcowaniem, zbliżonych jedną mową, tem narzędziem codziennej wygody i interesów po prostu, a nie, jak się to głosi tak szumnie: braterstwa!... Ci, którzy potrzebują mieć pod swem dowództwem dla własnych planów lub mrzonek solidarną i karną gromadę, wmawiają w masy. takimi węzłami zbliżone, że węzły to "święte", fanatyzują je — cóż łatwiejszego! — i idea narodowości gotowa...

Ojczyzna!...

Czem jest ojczyzna ?!... kawałkiem ziemi, do którego nawykamy od dziecka, jak bydłę nawyka do jednego żłobu, do którego się przywiązujemy, ponieważ jeden ma na nim budę własną, inny rolę, jeszcze inny dobry, mniejsza o to czy uczciwy, zarobek — przeważną większość zaś tylko powietrze, mróz, upał. słońce i nędzę!...

Oto macie i. ojczyznę! oto ziemia rodzinna! ta wasza ziemia, na której mocniejszy słabszego, sprytny prostaczka, nie bacząc, że to rodak, za łeb bierze, gorzej wroga; na której jednych przeciwko drugim jak dwie sfory psów szczują rodzeni, swoi; na której... Ach. dosyć przecie spojrzeć dookoła: czyż nie żre się tu wszystko dzień za dniem jakby

zwierzęta, aby raz na rok w nielicznej gromadzie, samozwańczo zastępującej ogół, udać braci przez odśpiewanie paru pieśni...

Nie!... fałsze to są — powtarzał w duchu — te ideały, któremi silni i sprytni upa

jaja tłumy, by niemi mózdz powodować... Inaczej wprawdzie sądzą poeci... Ba! ale od czegożby byli poetami?...

Tak myśląc, po długim dumaniu, ze wzgardą i nienawiścią oddalał się z pomiędzy tych, co mu się wydawali zgrają obłudników i głupców. Z obrzydzeniem opuszczał to miasto stare, jakby w historii jego nie było nic oprócz gwałtów i zbrodni, które teraz przywodziła mu pamięć, jak gdyby grzechy tylko i ułomności przepelniały całą tę ziemię i krążyły w żyłach wszystkiego jej ludu, od którego żądał doskonałości, w tajemnej potrzebie kochania go i podziwiania, jak się jej pragnie dla bliskich i drogich.

Lecz oto, za miastem, ujrzał na jasnym tle firmamentu wznoszące się pod obłoki zielone wzgórze kopca Kościuszki. Wspomniawszy na ten widok, ile patryotycznych uniesień, ile szlachetnej egzaltacji budził w sercach sam widok mogiły bohaterskiego wodza pierwszej z walk o niepodległość Polski — jeszcze niezdrowym tokiem swych myśli i uczuć opętany, jeszcze przeciwny wszystkiemu, co z serca swego, własnym bólem oddanego, wyganiał, uczuł dziką chęć: pójść tam z szyderstwem, dokąd namaszczenie wiodło tysiące, i zamtąd uragać temu, co one ukochały i czciły. Przyspieszył kroku, upojony swem postanowieniem, aby prędzej dotrzeć na miejsce. Niebawem też ujrzał się na szczycie, sam jeden, pośród ciszy, w którą mógł miotać,

ileby zechciał obelg i przekleństw, nie potrzebując się lękać odpowiedzi...

To jednak, na co spojrział teraz z tak wysoka, oszołomiło jego myśl jak nagłe światło oślepia oczy, do mroku nawykłe, jak powiew świeżego powietrza pierś, wyszła z zaduchu, oszołamia i razi.

Uderzył go tutaj niespodzianie majestat promiennej pogodą, wspaniałej wielkością, kojącej spokojem i ciszą ziemi, a przenikając na wskroś jego duszę, zmusił ogromem swej piękności drobne jej skargi do milczenia, rozpraszał w niej mroki, leczył rany...

Tak dawno już tutaj nie był!

Zapatrzył się zdumiony w jasne i piękne oblicze kawałka rodzinnej ziemi, czując coraz wyraźniej, choć z niepokojem jeszcze, którym był wstyd, i ze wzruszeniem, którym była wracająca miłość, — że się w nim coś odmienia, odradza, polepsza... że oczy jego prawdziwiej, czyściej, dokładniej ztąd widzą, że myślom zbłąkanym tam, na dole, w bezdrożach, na tej wyżynie droga się odsłania właściwa, bo stąd się ogarnia i widzi więcej niżeli z bliska, już przez to, że się utracą z oczu, czemu zbyt wiele uwagi poświęcać nie warto, nie wolno.

Tu, obok nieociosanej bryły głazu, wysoko nad złociste łąny zbóż, łąk zieleń i srebrem mieniącą się wstęgę Wisły, nad różnobarwne plamki chat i domów, wzniesiony, u stóp prawie swych widząc starą stolicę Polski — teraz dopiero pomyślał, oddaliwszy się od niej, ponad nią wzleciawszy, jak gdyby

mu się w tej chwili dopiero oczy na to otwarły, że ma oto przed nimi tłumionem życiem bijące serce wielkiego ciała, które spętane, umęczone, na trójramiennym krzyżu rozpięte... jeszcze żyje! od stu lat wijąc się z bólu zadanych krzywd, jeszcze się życia domaga! jeszcze się przy niem upiera, jeszcze na wolność czeka!...

Na północ, wschód, południe, w trzy strony świata, w stumilową dal, gdzie wzrok nie dobieży, ciągnie się to ciało, ta ziemia wielka, żyzna i piękna, taka w obliczu niebios i słońca jak inne, nie gorsza, jak wszystkie inne kolebka, dom, mogiła niezliczonego mrowia ludzkiego, i wszystkich ludzkich zalet i wszystkich ludzkich grzechów, tylko pomiędzy wszystkimi ostatnia, stokroć od innych nieszczęśliwsza, biedniejsza, na największe poniżenie i krzywdy skazana a z praw swych najmniejszych nawet wyzuta i wyzuwana bez końca...

Te miliony — lud co ją zamieszkuje — które z najpierwszego swego dobra, przeciw naturze, ograbione: z swobody!... myśleć, czuć, mówić, czynić nie mogą po swojemu, nauczynki, słowo, uczucia, myśl samą mając nałożone pęta wrogiej im obczyzny — czyż te miliony, jako naród ciemnione, jako naród stawiające czoło ciemniństwu, z bolesną dumą męczenników nie mają prawa szczyścić się niewystygłem w znękanym sercach poczuciem jedności swej bratniej w narodzie? czy to, co wydrzeć im pragną, a czego one bronią tak walecznie i bohatersko, czyż to złudzenie? czy mrzonka?...

A ta ojczyzna! żyjąca w ich myślach święta i nieskalana, pomimo iż rzeczywistość plwa na nią, krwawi ją i katuje od wieku — czy ta ojczyzna nie jest czemś wyższem ponad wszystkie dobra tego świata, czy nie jest niespożyty jak nieśmiertelność ducha ludzkiego, jak idea ludzkości bogiem człowieczego życia — skoro po pokoleniach, którym ją wydarto, urodzone następne, co jej już nie posiadały wcale, wydają nowe, coraz dalsze ostatnich chwil jej życia zastępy, wszystkie jednakiem tętniące dla niej uwielbieniem, jednej żądzy ogniem przejęte, by ją odrodzić, jedną z kolei przejmującą świętą, we krwi przyniesioną, z krwi niewyżytą potrzebę walki o jej życie, o jej zmartwychpowstanie!...

I wielka, wspaniała, nad wszystko powszednie wyniesiona dusza narodu dała mu jakby usłyszeć swe tętno, bijące ponad rodzinną ziemią, ponad nieszczęsnym ludem w niewoli.

Jej to blask zaświecił przed nim nagle, na chwilę, runo tego pamiętnego dnia, na widok trumny Mickiewicza, podobny tryskającym z poza chmur czarnych ciężkiego i smutnego bytu promieniom nadziei, któremi z otwartych na chwilę niebios, przesyła ziemi światłość i ciepło tajemnicze źródło wszechbytu: słońce!...

Zajaśniała ona znowu w jego myślach, świetlana, przezczysta, pomimo że zachód osnuwał go zewsząd szaremi zasłonami zmierzchu i zabierał mu z przed oczu stary, brzydki, zły Kraków, w którego oknach za

płonęły i zgasły purpurowe odblaski konającego dnia, — ciemny i słaby lud wydającą polską ziemię, i tę z jednej obczyzny w drugą jak tułacz przepływającą rzekę Wisłę, z niecichnącym nigdy szeptem swych nurtów, zdającym się pytać smutno, bez końca:

— Zawszeż u was jeszcze to samo?...

Jaśniała w jego myśli coraz bielsza, droższa, świętsza, i wypełniała mu duszę, w miarę znikania z przed oczu w zalewie mroków nocy.

I naraz ugodził go w serce szalony, niezmierny ból na tę myśl przerażającą, coby się stało, gdyby i tę nawet, jaką była, utracił... tę, którą śmiał obwiniać, w której tem więcej widział złego, im więcej by w niej dobrego ujrzeć pragnął... tę pełną błędów, chorą, największej godną liłości, a nieznajującą żadnej i nie wzbudzającą ani poszanowania, ani współczucia, ani sprawiedliwości, tylko ciepłem sieroczej, przez tyle wrogich mocy gaszonej miłości swych dzieci utrzymywaną przy życiu... Coby było, gdyby tę, której nie kochał, bo ją miał, bo po niej stapał, bo żyła jeszcze — gdyby i tę utracił, gdyby ją utracił, oślepszy, gdyby go z niej wygnano, gdyby przestała dlań istnieć w jakikolwiek sposób naprawdę, tak jak teraz przed oczyma jego ginęła pozornie tylko...

I ujrzał z przerażeniem, że po za nią nie ma dla niego świata, nie ma życia, nie ma nic !... że jeśli ją postrada, postrada wszystko!...

Ale na szczęście miał ją jeszcze! żył na niej!... tak mało jej godny...

Upadł wtedy na stopień pomnika, przycisnął doń usta namiętnie i przysięgając sobie żyć dla niej, dla niej pracować i umrzeć, z bijącym sercem całował kamień, jak talizman cudotwórczy i święty, a łzy gorące i rzewne lały mu się po twarzy w wielkiej, nocą i ciszą rozgrzeszonej skrusze serca, które wśród wielkich bólów życia wielką sobie znalazło pociechę....

Młodszy brat.

Podczas kiedy drobniejsi, przynajęci lokaje uwijali się po przepelnionym gośćmi apartamencie hrabiego dyrektora z tacami, on, Franciszek, lokaj etatowy, zajmując odpowiedzialne stanowisko w przedpokoju, od dwóch już godzin zapadał w coraz głębsze zdumienie, przechodzące niemal w osłupiałość.

Naturalny porządek rzeczy, uświęcony przez tradycję, taki przykładowy, aby ci z dołu postali na dole, a owi znów na górze nie opuszczali góry, mięszał się i przewracał w oczach pańskiego fagasa, topniał, w puch się rozlatywał.

On, który zdejmował dotąd zawsze tylkoz dostojnych urodzeniem, majątkiem, czy urzędem, bark kosztowne futra i wykwintne paltoty, on, który nawykł patrzeć na eleganckie suknie, obwąchiwać ich woń wyszukaną, i patrzeć na miny,

mocą swej pańskości chyłące ku ziemi jego kark fagasa, ten smakosz, znający się tylko z śmietanką kamerdynerskiej służby, z rozbieraniem i ubieraniem ciał herbowych, w których wszystko jest wyższem nad pospolitość, wyborowem, szlachetnem, — skazany został oto przez dziwny nie do po

jęcia kaprys swego pana na istotne ponizenie, a przedpokój i jego salonowa atmosfera przybrały minę oplakanej tandety.

Od dwóch godzin Franciszek zaledwie kilkanaście przyzwoitych okryć zciągnął z samych tylko co zaufańszych przyjaciół swego pana, nielicznie przybyłych. Reszta — setka z górą, była to zbieranina najohydniejszych w świecie kapot kozuchów, płaszczy, proletaryat odzieży, napół żebracze jakieś opończe, które wybredny kamerdyner brał w ręce z obawą i wstrętem, dusząc się w woni, jaka wydobywała się z tej porozwieszanej naokół starzyzny, z każdego kawałka innej woni potu, nędznych pomad, tytoniów, wódek, i sam dyabeł by nie zgadł jakich, daleko gorszych jeszcze rzeczy. Jaką odzieżą przedpokój — takimi ludźmi napełniły się salony.

Hołota po prostu, samiuteńka hołota!... na którą nie mógł patrzeć bez wzmagającego się oburzenia, że śmiała tutaj wtargnąć, że zmuszono go ją obsługiwać, tak jak i na ulicy patrzył na nią z samego wierzchołka pychy kosztownie odzianego pańskiego sługi.

Byli tu szewcy, krawcy, stolarze, rzeźniki, kowale: najnędzniejsze figury, najordynarniejsze gęby, najdziksze i najrubaszniejsze głosiska. Z salonu, gdzie byli zebrani, dolatywał gwar jakby z jarmarcznego szynku, tupot jak z stajni. Istny koniec świata! Hrabia dyrektor zwaryował chyba, wpuszczając w swoje wysokie proggi tę czarną zgraję.

Niedość jednak, że ją do siebie wpuścił, przyjmował w dodatku tych gości cuchnących, brudnych i niezgrabnych tak zalotnie, jak najbardziej uperfumowane damy ze swojej sfery. Każdego nowo przybyłego witał serdecznie niby najlepszego przyjaciela, a Franciszkowi ' posyłał spojrzenia tak surowe, że sługa, gwałt sobie zadając, ślepo naśladował swego chlebobawcę i pana, i obsługiwał gromadzącą się zbieraninę tak starannie, jak kiedyindziej hrabiów. Wstydził się jednak tego w duszy, czując że depcze swe przekonania i poniża swą godność.

Skoro już goście przybywać przestali, a Franciszek z wściekłością oglądał ohydnie zabłoconą posadzkę przedpokoju, zbezczeszczoną butami niegodnej po niej stapać hałustry, naraz wpadł Jakób, donajęty fagas, poświęcający swe zdolności tylko magnackim stołom, gdzie i napiwki są większe i kraść da się z większą korzyścią.

— Rozumie Franciszek, co to znaczy? — szepnął w pędzie z jednych drzwi do drugich, biegnąc z hasłem dla kucharza, aby rozpoczął dania.

— Stary się brata z hołotą? co?... Coś w tem jest!... — dodał.

I pokręcił nosem, marszcząc go około nozdrzy w sposób, mający oznaczać przenikliwość, przed którą niełatwo się coś ukryje.

Franciszek, podejrzewający trochę Jakóba, że mu obłudnie w oczy schlebia, za oczy obmawiając go o korzystanie z hrabskiej piwnicy i garderoby, aby go z miejsca wysa

dzić, — wyprostował się i nadał swoją goloną maskę podobnie, jak widział nadymającego się pewnego, słynnego z golizny hrabię. Hrabia wyglądał w takiej pantomimie jak człowiek zamierzający kichnąć, Franciszek zaś jak ktoś, co ma pełną gębę kartofli.

— Jest w tem coś, ale nie to, co wam się zdaje! — odrzekł wyniośle. — Stary nie ma centa długów !...

I w gębie jego jeszcze więcej zdawało się mieścić kartofli po tem oświadczeniu.

Tamten jednak ze sprytną miną przymróżył jedno oko i trącając kolegę w zawodzie ramieniem w ramię, rzekł znacząco:

— Niech no tylko Franciszek nie udaje. Pan tam wiesz najlepiej, że tutaj nie o długi chodzi!...

I odbiegł, zostawiwszy go w tem mniemaniu, że wie najlepiej coś, czego w istocie nie wiedział wcale.

Nastąpiło widowisko oburzające.

Szewcy, krawcy i reszta tej hołoty porzysiadali się dokoła stołów za pan brat z hrabiami, nieprzystającymi się łaskawie uśmiechać, porwali w czerwone swe, potworne łapy widelce i noże i zaczęło się obżeranie, istna godzina karmień w menażery!...

Z górą setkę żujących żarłocznie gęb puszczone w ruch. Wśród krzykliwej gawędy kawałki pieczonego napowrót wypadały na talerze, plamiąc brody jedzących i obrusy sosem, niektóre zaś paszcze, w hałaśliwym śmiechu rozdziawiały się jak wronie dzioby

i ukazywały całe wnętrza jamy ustnej, pełne niedożutych kęsków i zębów spruchniałych.

Brr!....

Jakże inaczej jedli, jak pięknie, niemal budująco, nieliczni panowie ze świata, przeplatający tę hołotę i pstrokaczną jej ubiorów swemi czarnymi, etykietalnemi strojami.

Franciszek tymczasem nadzorował wprawmem okiem pracę najętej służby, z poważną miną wtajemniczonego w to, co się dzieje, a co dlań było zagadką, nierozwiązaną ciągle...

Powoli jednak rzecz sama zaczęła się odsłaniać, skoro uczujący wzięli się do spełniania toastów i skoro Franciszek z Jakóblem ze swej strony wychylili też w przedpokoju parę butelek lepszej marki.

Teraz przy stole, urwane i niejasne do niedawna gawędy, prowadzone równocześnie we wszystkich kątach salonu, ucichły, jak cichnie orkiestra, strojąca instrumenta przed produkcją, i rozpoczął się koncert właściwy z solowych popisów, przyjmowanych chórami okrzyków i zbiorowym poklaskiem.

Mówiło z kolei wielu mowców a każdy po swej mowie wychylał kielich, jakby chciał usta po czemś brzydkiem popłukać, zebrani zaś popłukiwali też swoje zgodnie. Mówili hrabiowie i... tamci drudzy; hrabiowie nader wymownie, tamci zaś bardzo głośno i bardzo serdecznie. Mówiono różne rzeczy. Wznoszono zdrowia hrabiego dyrektora i innych znanego nazwiska osobistości. Wygłaszano hymny na cześć rozmaitych pięknych hasel i celów, sławiono cnoty, przyrzekano wzajemnie się

kochać, iść z sobą ręka w rękę. zamienić świat w raik, dziś, jutro, w najbliższej przyszłości... Przytem hrabiowie wykonywali ruchy kapelmistrzowskie. tamci zaś inni stosownie do tego. czem który był: szewc zamaszyste giesta przeciągania dratwy, krawiec rozmierzanie tużurka, cieśla giest zagrażający rozrąbaniem głowie sąsiada rozmachaną pięścią, rzeźnik zaś co chwila w taki sposób poprawiał mankiety, jakby zamierzał obnażyć swoje czerwone, krwiste ręce co najmniej do łokcia.

Ale nastrój był ciepły, serdeczny, coraz; serdecniejszy. Hrabiowie przyklaskiwali delikatnie białymi rączkami niegramatycznej gadaninie swych "młodszych braci" — brać młodsza starszą połykała rozrzewnionemi oczyma i wyrzucała z swych zdrowych piersi objawy miłości w okrzykach tak potężnych, że człekowi trzeźwemu popękałyby od nich bębenki.

Kraj, dobro ogółu, postęp, przyszłość, braterstwo, wybiegały z ust mowców w potokach zwrotów, prosto w serca wymierzonych, a smaczniejszych i bardziej upajających niż te kielichy, które wybornem raz po raz napelniano winem, aby przelewać je następnie w głąb gardeł, pracujących z takim zapałem wspólnemi siły i bez różnicy stanów, dla dobra powszechnego przez cały ten wieczór...

Ponieważ Franciszek nie opuszczał także żadnego toastu, i jemu więc, jak tamtym, świat i porządki ludzkie rozjaśniały się coraz bardziej w oczach. Przeszły go zwolna razić

ordynarne gęby rzemieślników i odzież ich ladajaka, przestał się jednocześnie korzyć w swym duchu u stóp wyższości hrabiów. Uwierzył, że wszyscy są braćmi — bo i czemuż nie miał w to wierzyć, skoro tak utrzymywali zgodnie obecni tu dygnitarze, sami się swem braterstwem przechwalając. Czemu nie miał się Franciszek uczuć bratem rodzonym tego tam zaślinionego kotlarza lub płaczącego z przepicia litografii, albo składającego jakieś przysięgi sąsiadującemu z sobą łysemu magnatowi bez zębów kapelusznika, jeżeli sam hrabia dyrektor oświadczył, że czuje się tychże bratem i że braterstwo uważa nietylko za obowiązek najświętszy, lecz i za najwyższy z zaszczytów.

Trącał się Franciszek z Jakóbem, zapomnieli obaj o swych nierównych rangach lokaja stałego i lokaja do wynajęcia, zapomnieli

o swych liberyach. Natomiast jeden przypomniał sobie matkę praczkę, drugi ojca gałganiarza, obaj kilka dawno słyszanych i zatartych w pamięci kazań nieszpornych o równości stanów wobec Boga, które widzieli teraz obleczonemi w ciało — i dumni byli, że mają prawo zaliczyć się do tej warstwy, którą tak tutaj dziś, przy dobrem jadle i trunku, okadzano i sławiono na wszelkie sposoby.

Ale najbardziej poruszył Franciszka hrabia dyrektor.

Człowiek ten mówił jak prorok.

Franciszek nienawidził swego starego. Uważał go za despotę i sądził, że trochę za



nadto nos zadziera — ale przekonał się dziś, że był niesprawiedliwym. Był to bowiem najbardziej ludzki z hrabiów — uznali to wszyscy. Najwięcej jemu przyklaskiwano, najczęstsze były ku jego czci zdrowia — a okrzyk: "wszystkie głosy!... jak jeden mąż za panem hrabią!..." odzywał się coraz głośniejsze, chyląc trefioną głowę hrabiego do pełnych skromności dziękczynnych pokłonów.

Ależ to zacna!... co się nazywa zacna dusza!... nie poznałem się na nim!... — myślał Franciszek i zbierała go ochota pójść i rzucić się w objęcia swemu chlebodawcy, z słowami:

— A ja myślałem, że ty masz ludzi za psów, jak ranie zawsze miałeś... Daj pyska stary !...

I postanowił ucałować go bezwarunkowo, po uczcie, na razie tylko w rękę, w łokieć najwyżej, zanim stary sam mu da buzi, jak teraz dawał buzi powroźnikowi o rozczochranej głowie wywleczonego prosto z pościeli śpiocha, ślusarzowi z nosem, podobnym do indyczego w znacznym powiększeniu, i temu wreszcie, bardzo wpływowemu szewcowi Cholewce, koło którego ust jadził się ogromny, strupowaty liszaj. Wyrazić staremu uczucia swe uściskiem było dla Franciszka wzmagającą się z każdą chwilką potrzebą serca.

Nakoniec, po przypieczętowaniu kolejek toastem "kochajmy się" zaczęło się rozstawać. Hrabiowie na podobieństwo gwardyi otoczywszy gospodarza świadczyli ostatnie honory "młodszym braciom", dopomagając od

najdywać ich rękami drogę do rękawów, nogom do drzwi, ściskali im dłonie, wkładali czapki na głowy i wyprawiali po kolei na świeże powietrze nadzianych jadłem, napitkiem i frazesami.

Hrabia dyrektor pracował ciężko. Pozwalał się ośliniać każdemu, śliniąc, o ile zapas starczył wzajemnie i uściskał oburącz ze sto prawic, niektóre, łakomsze zaszczytu, po kilka razy.

Nakoniec w przybytku zrobiło się pusto. Wszyscy już wyszli a odgłos oddalających się ginie w głębokościach schodów...

Franciszek, chwiejąc się na nogach, łzawy trochę i nieco smutny, że ta piękna chwila tak prędko minęła, myśli, że nigdy chyba tutaj tak wiele nie pito, skoro sam czuł się tak mocno pijanym. Pił zaś zawsze nieco więcej niż goście, bo pijąc prosto z flaszki, trudno nie przebrać miary.

Zamknął drzwi na klucz, powrócił — a ujrzawszy naprzeciw siebie zmierzającego pana uległ odnowionemu nagle w całej wielkości rozczuleniu i czując na języku cisnące się z serca wyrazy:

— A ja myślałem zawsze, że jaśnie wielmożny hrabia masz ludzi za bydło... — postąpił ku niemu, rozkołysany, jakby tańczył.

Wtem, jak coś nie trzaśnie w dobrze znany Franciszkowi sposób, tylko znacznie mocniej niż kiedykolwiek.

Wyprostował się, wytrzeszczył oczy i całą siłą woli powstrzymał rękę, którą miał ochotę złapać się za policzek. Napół wytrzeźwiony

razem, spostrzegł z łatwością, że dostał w papę od starego, który dzisiaj w tak nowem zdawał mu się okazywać światło — w papę po dawnemu, jak tyle, tyle razy.

— Bydłę!! — wybuchnął hrabia — czy nie wiesz, że mam odciski?!...

I syknął z bólu, klnąc pod nosem:

— A to cham! tak mi na nogę nastąpić... Otwieraj tu okna zaraz, błźnie, kadź, wymiataj !... Wyjeżdżam za pół godziny do Wiednia na dwa dni. Jak wrócę, żebyś nie zastał śladu po tej hołocie...

Najmniejszy procent.

Skoro zarządca średniej tuszy, łysy, rumiany brunet, z hiszpanką trochę nieszczerą barwą, spojrzął na zegar i zobaczył dziesiątą, po raz czwarty już dzisiaj odkładając rachunki, zerwał się gniewliwie z przed biurka i założywszy pióro zu ucho, szybkim krokiem wybiegł z kancelaryi w głąb zakładu. W ciemnych, mimo dnia letniego, zasmolonych, cuchnących, jakby przygniecionych brudnymi od gazowego kopcia sklepieniami sal drukarni, pełnych rygałów, kiwali się po wszystkich kątach, stojąc, zecerzy z winkelakami w rękę, przed bielejącym nad kasztą skryptem każdy a wśród milczenia spiesznej pracy tylko czcionki, stawiane jedna obok drugiej w wierszach, wydawały cichy, zewsząd dolatujący klekot.

Zarządca mijał jedną salkę za drugą, nie oglądając się, patrząc przed siebie, tam, dokąd zmierzał, do izby maszyn, i w miarę zbliżania się do niej coraz to srożej marszczył na czole skórę, rozróżniał bowiem wyraźnie łoskot jednej tylko prasy. Nakoniec gdy stanął na progu i ujrzał w rzeczy samej drugą z maszyn od samego rana, przy takim nawale robót, ciągle jeszcze nieruchomą, wście

kłym wzrokiem odszukał po za próżnującem cielskiem tego roboczego zwierzęcia z żelaza maszynistę, który się kulił pod oknem zmieszany, i wpił w niego wymowne, karcące spojrzenie gniewu

Tamten, niski, chudy, blade, z opadłym na czoło na kształt strzępa pakuł kosmykiem jasnych włosów, jak komar nikły człeczyna, z wybitnymi znamionami alkoholisty w twarzy — poruszył się żywo. Nie wiedząc z zakłopotania, jakąby przybrać pozę pod karcącym wzrokiem szefa, ze drżeniem przestępował z nogi na nogę i obciążał na sobie niezręcznie fałdy długiej niebieskiej koszuli, w którą był odziany.

— Panie Kułak! wiesz pan, tego mi już za dużo!.. — potrząsając głową rzekł z gniewem dyrektor. — Dokąd ta maszyna będzie stać — co?!... Mu tor pracuje na dwie. roboty czekają — a prasa jak stała tuk stoi!... Co to znowu za robota?!... Pan sobie chyba żartujesz ze mnie, bo już nie wiem. Ile ja panu razy mam powtarzać, że za spóźnienie terminowych robót drukarnia musi płacić. Czy pan tego nie rozumiesz? Jak ja mam mówić do pana?!..

— Kiedy dziewczęta nie przyszły... — zaczął maszynista bełkotać, lękliwie, bez przekonania do własnego wykrętu. Dyrektor nie dał mu dokończyć.

— Ile mi pan to razy będziesz jeszcze śpiewał? — zawołał. — Już to słyszałem.

Cóż to, ja się będę uganiał za nakładaczkami?.. Jeszcze co nowego?!.. Dziewczęta na

leżą do pana, powinienes pan dopilnować. Trzeba było nie trzymać takich, które lada dzień lichu wziąć mogło. Zresztą od rana mogłeś pan już dziesięć sprowadzić na ich miejsce do tego czasu. Przez jego niedbalstwo drukarnia będzie tracić!... Żeby mi najdalej za pół godziny tygodnik szedł na drugiej prasie, pamiętaj pan sobie.

Odwrócił się na progu, mruknął jeszcze, skrobiąc się w trzydniowy zarost na brodzie:

— A to skaranie boskie z tym człowiekiem — i oddalił się, wzburzony nigdy nie mającymi końca kłopotami z personelem maszyn. Maszynista klótnik i pijak, dziewczęta niedbałe, leniwe. Zmieniano je co kwartał, co miesiąc. Przechodziły przez drukarnię procesya, jedna za drugą, aby dotknąwszy się zaledwie uciążliwej pracy, przywdziać niebawem strojne kapelusze i wyzywające suknie ładacznic.

W izbie maszyn cisza zapanowała po odejściu zarządcy. Maszynista, jakby go kurcz chwycił z konfuzyi. stał nieruchomo, patrząc w stronę, w której zniknął dyrektor. Parobcy, czarni, z zakasanymi rękawami, zerkali ukradkiem na niego i na siebie, nie ruszając się z miejsca, aby się zdawało, że biorą szczery udział w zmartwieniu najbliższego swego przełożonego — a nakładaczka, wysoko ponad maszyną chyląca się raz po raz wśród nieustannego przesuwania arkuszy z deski ku wirującym walcem prasy, aż się zarumieniła pod wrażeniem tej przykrej sceny. Jedna tylko maszyna, której wózek toczył się z łoskotem

tam i nazad na przestrzeni półtora metra, jak miotające się w zbyt ciasnej klatce zwierzę, dwa razy głośniej zdawała się trzaskać i huczeć w tej ciszy.

Po chwili Kułak przyszedł do siebie.

— Żeby w te dziewczki piorun trząś!.. — zaklął, naśladując równocześnie, o ile mógł dokładnie, zamaszystym giestem prawej ręki uderzenie piorunu.

I począł złorzeczyć obu opieszalym robotnicom, nieobecnej Tećce i Frani, sprawczyniom całego ambarasu, zwracając się do pracującej dziewczyny i do parobków w ten przyjacielski sposób, w jaki zwykli się odwoływać do sympatyj swoich podwładnych starsi między nimi, słusznie dostawszy nosa w ich obecności od władzy wyższej.

Parobcy kiwali głowami w odpowiedzi jego skargom potakująco, Rózia zaś odezwała się przychylnie z maszyny:

— Żeby to chociaż w inny dzień zrobiły!.. ale dziś!...

Otóż to właśnie, że dziś! w tem rzecz cała.

Na nowo zaczął piorunować na nieobecne, nie zostawiając suchej nitki na obu, wygadując najgorsze z ich sprawek, które przemilczał dotąd, zachowując je sobie na największą złość w rezerwie, a oczerniwszy je należyście, dawał jeszcze domyślnikami do zrozumienia, że ma do opowiedzenia rzeczy daleko okropniejsze.

— Nie ma to jak panna Rózia! żebym, tak zdrów był!... Z panną Rózią nigdy żadne

go kłopotu — pochwalił pracującą, Rózia zaś w tejże chwili zaświeciła dwoma rzędami białych zębów i rozpałała się rumieńcem, który żywą barwą świeżości i zdrowia odbijał na białej jej cerze od czarnych, trochę na skroniach zwitych włosów. Pracowała ona w drukarni od dziecka i używała tutaj opinii sumiennej robotnicy oraz dziewczyny uczciwej, stąd też zecerzy oglądali się chętnie za jej drobną, ruchliwą figurką, obciśniętą w niebieskie perkaliki, gdy przebiegała izby z papierem lub odbitkami, a maszynista lubił jej prawie pochwały, dla wyróżnienia jej pośród koleżanek.

— Tamte wszystkie — dodał teraz — to tylko nabić w armatę i wystrzelić. Ca się panna Rózia śmieje?...

W istocie z tamtych obu, z Tecki i Frani, były nicponie. Tecki od czterech dni już nie ma w robocie. Upiła się któregoś wieczora z zecerem z pierwszej sali, Cmoktalskim, urwisem, bałamucącym z zasady, z tytułu koleżeństwa, każdą maszynistkę, natłukła sobie przy tej okazji okropnego guza nad okiem i wstydząc się pokazać w drukarni, gdzie znano już szczegółowo tę historię, udawała teraz chorą. Co do Frani, ta dawno już odgrażała się, że puści budę w trąbę, dzisiaj zaś oświadczyła parobkowi, przez maszynistę przyslanemu w prośby, że ma już dosyć tego wstawiania do roboty o szóstej rano; tego guania na obiad, z obiadu, jak pies czasem w trzy kwadranse niecałe; tego garbienia się nad maszyną od świtu do nocy, w smrodzie farb, olejów, kurzu i gazowego światła — a wszystko za nią

dzne cztery reńskie tygodniowo!... I żeby choć ją umiano uszanować!... Ale nie — Kułak jest gbur ostatni (powiedział jej raz smarkulo — a raz... wstyd powtarzać), reszta zaś drukarni, wszyscy zecerzy, nie wyłączając dyrektora, mówią do niej: Franiu. Phi! "Franiu" !... jak do służącej. Jeden tylko Cmoktalski umie być grzecznym, ale i to nie zawsze i przecież nie za darmo, rzecz znana. Nie, dosyć już tych ponizeń — i ona potrafi sobie być panią, przy pomocy pewnego feldfebla manipulacyjnego w pułku.

W ten sposób obu naraz dziś brakło, i zamiast trzech nakładaczek, była tylko jedna.

A tu roboty mnóstwo! stopy papieru zalegają dokoła ławy i stoły, bielejąc ciężkimi bryłami ryz, same parotysięczne nakłady terminowe, wszystko na jutro: druki kolejowe, zakontraktowane pod grozą odszkodowania za każdą godzinę zwłoki — tygodnik z datą jutrzejszą, dodatki do niego, okładka, dziennik na dziś wieczór, kilka arkuszy wydawnictwa zeszytowego i jeszcze pewna ilość drobnych robót, razem na obie maszyny aż nadto materiału — a tu jedna z nich tylko pracuje, druga zaś stoi bez ruchu, z deską podniesioną w górę, pustą i beczynną jak ręce próżniaka, z schodkiem nakładaczki nie zajęty, z kołem rozpędowym martwo wznoszącym się z prawego boku.

Kułak, odczuwając fatalność położenia, dotąd nie znalazł na nie rady, mimo całej surowości upomnień zarządcy.

Nagle odezwał się z postanowieniem:

— Jakób! skoczcie no mi za dziesięć... Jakób znał tę komendę jak pacierz, powtarzała się bowiem kilka razy dziennie. Poszedł w kąp po butelkę, próżną w tej chwili, by wrócić z napełnioną, maszynista zaś przemykał się tymczasem ostrożnie ku drzwiom kancelaryi zarządcy, aby zobaczyć" czy jest lub wyszedł.

Nie było go. musiał pójść za interesami; chwila zwłoki.

Wtem zjawił się pośród maszyn niespodzianie, przerwawszy Kułakowi pracę w połowie kieliszka.

Maszyna stała nieruchomo jak przed pół godziną.

— Nie! wiecie ludzie, tu się już wszystko kończy... — zawołał.

Kułak połknął czempredzej pół łyka, które miał w ustach, kieliszek z resztą cisnął w kątr po za siebie, w stos makulatur.

— Cóż ja poradzę... — bąknął zaczerwieniony — z rękawa przecież nakładaczki nie wytrzęsę.

Zarządca postąpił ku niemu z nabiegłymi krwią żyłami na czole rozognionem.

— Z rękawa ? z rękawa ?! — krzyknął — Ja tu panu zaraz pokażę: z rękawa !... Widzicie go!... A sam na maszynę i nakładać! Rozumiesz pan ... To pańska wina! Za tamtego maszynisty nigdy się takie rzeczy nie działy jak teraz.. To coś okropnego, co ja tu mam z tyra człowiekiem. Natychmiast mi szukać nakładaczki! mówię to ostatni raz.

Wybiegł trzęsąc się cały, z twarzą za

czwernioną, a po chwili doleciał jego głos gniewny z dalszych sal, gdzie wylewał resztę irytacji, rozprowadaniem kłopotliwego stanu rzeczy przed zecerami, którzy zawieszając na chwilę pracę, z uroczystą uwagą słuchali skarg szefa. Tymczasem Kułak odszukał kieliszek pośród śmieci, napełnił go raz jeszcze, wypróżnił, wytarł usta rękawem i zwrócił się z głową zadartą do Rózi. kiwającej się bez przerwy nad arkuszami, które z cichym szelestem wsuwała jeden po drugim, miarowo, w łakomą czystego papieru paszczę prasy. Głośno, aby przekrzywić huk maszyny, której każda cząstka drżała w gorączce pracy, powiększając łoskot, zawołał:

— Panno Róziu?...

— Co?

— Nie wie też panna Rózia, gdzie teraz mieszka Fiałkowna?

— Ta, co jej brat przy tramwajach ?

— Uhm, ta.

— A czemu się pan Kułak pyta?

— Chcę do niej posłać. Podobno teraz nigdzie nie jest — możeby do nas przyszła ?..

Rózia nie wiedziała, gdzie ta Fiałkowna mieszka. Nikt tego nie wiedział w całej drukarni.

Lecz wiedział Cmoktalski; on wiedział takie rzeczy zawsze — był skarbnicą adresów. Znał on historię i stosunki Fiałkowny, wiedział gdzie mieszka, wskazał dokładnie uliczkę, opisał zakręt, bramę, podwórze, schodek, drzwi, byłby i drzwi przekroczył, aby

odmalować wnętrze mieszkania — lecz nagle uciał drobiazgowo wskazówki uwagą:

— Ale do niej szkoda chodzić, ona nakładać nie przyjdzie.  
— Dlaczego?  
— No bo nie. Jest taki interes, że nie może.  
— Może tak tylko ćmisz ? — zapytał maszynista z niedowierzaniem, zaniepokojony możliwością nowego zawodu.  
— Cobym tam miał ćmić! Jak cię szanuję, że nie przyjdzie. Spróbuj zresztą. Ale to na darmo, ona się z domu nie rusza. Kułak odszedł strapiony. Cmoktalskiego zaś obłożono natarczywymi pytaniami o przyczynę, która Fiałkowej, bardzo tu popularnej, z domu wyjść nie pozwala.  
Drażnił ich chwilę tajemniczą miną, i udając zajętego pracą, oganiał się od nich ręką jak od much na prawo, na lewo. W końcu, niezdolny dłużej panować nad chętką udzielenia towarzyszom łakomej plotki, nachylił się najbliższemu do ucha i szeptał w nie przez trąbkę z rąk czas jakiś. Tamtemu oczy gniły, a usta tłumiony śmiech rozszerzał; raz po raz wykrzykiwał:  
— E? Ale?!... O! jak Boga kocham... Wśród tego bliżsi starali się podsłuchać, wszyscy zaś inni śledzili ich z ciekawością.  
Kiedy nareszcie Cmoktalski, skończywszy, zawołał:  
— Wiesz już teraz?... — natychmiast rzucono się na obudwu, wrywając im z ust niemal tajemniczą nowinę.

Tymczasem Kułak, zadumawszy się nad maszyną, którą brak pomocy rąk ludzkich pogrążył w martwocie, zdobył się naraz na pomysł.  
— Panno Róziu! — zagadnął ciągle zajętą nakładaczkę z nagłym ożywieniem.  
— Cóż?  
Wpatrzył się w nią bacznie, zwlekając odpowiedź.  
— Robiła już panna Różia kiedy w nocy ?  
— Raz zaprzeszłego roku, jeszcze przed panem Kułakiem.  
— A długo ?  
— Do pierwszej.  
— A co ?  
— Tabele dla kolei.  
— Robiłaby tak panna Różia dzisiaj przez noc ?... Ale dłużej.  
— Czy ja wiem... Jeżeliby było potrzeba...  
— Bo ja bym zaraz poszedł powiedzieć dyrektorowi, że panna Różia gotowa robić... Dobrze?... Moja panno Róziu! Przecież panna Różia widzi, jak jest! Ostatni ratunek!...  
Serce w niej zabiło z obawy, czy podola zadaniu. On patrzył na nią wzrokiem niecierpliwego oczekiwania.  
— Mam iść ?...  
— Czy ja wiem...  
Była widocznie zakłopotana potrzebą nagłej decyzji, ale z oczu jej tryskał blask zbudzonej ambicji podjęcia się tak trudnego obowiązku.  
— Idę! — zawołał Kułak i zniknął.  
Po upływie chwili powrócił, przy nim zarządca z twarzą ożywioną, lecz nie zupełnie dowierzającą.

Zatrzymano prasę, koło, ujęte rękoma parobka, stanęło, a dyrektor zaczął wypytywać dziewczynę, czy podoła takiej pracy, czy się jej podejmie, czy zechce zostać przez noc.

Dławiąc się słowami z wzruszenia, przystawała obecnie na wszystko. Cała w ogniu, trzymała się kurczowo boku maszyny, wzniesiona na schodku po nad ich zadarte ku sobie głowy, zakłopotana i dumna na myśl o swej roli i o tej tak ważnej i długiej konferencji z samym dyrektorem.

Rzecz została postanowioną. Rozliczono czas i robotę, poczem dyrektor, oświadczywszy. Rózi, że na nią liczy, z przyjaznym uśmiechem zachęty odszedł, kontent z ocalonej sytuacji.

Co prędzej wdrapał się Kułak po drabince pod sufit, gdzie krzyżowały się pasy transmisji i przelożywszy pas na większe koło, dla przyspieszenia biegu maszyny, zawołał z góry, z fantazją klasnąwszy w ręce:

— Jazda!

Rózia odemknęła hamulec, pas zaświszczał, porwany poczynającym się ruchem motoru, zaczął o koła prasy i owinąwszy się dokoła nich, puścił się w swój bieg nieskończony, pociągając za sobą tego żelaznego potwora, podobnego ujarzmionemu zwierzęciu w okowach, które siłą zmuszone, wykonywa z wściekłością swą pracę, zgrzytając zębami

i warcząc, każdej chwili gotowe, byleby je z oka spuszczone, rzucić się zmienacka i zmiażdżyć.

Od rana, od godziny siódmej na nogach, dziewczyna pracowała niezmiernie bez przerwy, poświęciwszy zaledwie dziesięć minut objadowi, który jej z domu, od ciotki, przyniósł posłany z drukarni chłopiec. Pot ją oblewał, w krzyżach odzywał się ból coraz rosnący, który rozchodził się po całych plecach, ciągle zgiętych wśród nieustannego chylenia się nad maszyną w prawo i w lewo, ku warstwie arkuszy, to znowu ku walcom. Nie ustawała jednak ani na chwilę, dotrzymując kroku wysiłkiem swego wątłego ciała nieprzerwanemu ruchowi żelaznych członków maszyny, zsuwając w jej głęb czyste arkusze, które z drugiej strony, poniżej, wracały pokryte pstrokacizną świeżego, mokrego jeszcze druku. Widok czekających na swój los licznych jeszcze stosów czystego papieru dodawał jej bodźca — a jeszcze więcej słowa zarządcy, który raz po raz wpadał dla dowiedzenia się o postępach robót i uspokojony oddalał się z słowami:

— Otóż to mi się nazywa zuchdziewczyna.

Kułak dorzucał po odejściu zarządcy:

— Będzie gratyfika! będzie!... — co Rózia przyjmowała uśmiechem, a zecer, zgięty nad korektą z sztyłem w ręku, uwaga:

— No, myślę!...

O godzinie siódmej wieczór drukarnia się opróżniła, pogaszono światła, izbę maszyn zaległa cisza dziesięćminutowej przerwy, obróconej na spożycie kolacyi, które było zarazem wypoczynkiem przed dalszą robotą.

Ale o północy dziewczyna zaczęła słabnąć, wycieńczona jednostajnym ruchem, który po "trosze, ale bez przerwy, wyczerpywał wszystkie jej siły. Stanęli. Maszynista policzył nakłady. Zostawało wprawdzie roboty na jakie cztery godziny, lecz za to bieg prasy musiał być teraz zwolnionym koniecznym, bo nakładaczka zbyt była strudzoną, więc o odpoczywaniu nie mogło być mowy.

— Bardzo panna Rózia zmęczona ?

— Ledwie żyję.

— Zaczekamy jeszcze chwilę.

Wysłuchiwała tego obojętnie, oparta na krześle ciałem prawie bezwładnym zrozpaczona na myśl że nie wydoła dokończyć robót.

Wtem ktoś zapukał w okno od ulicy.

Kułak odchylił arkusz, zastępujący firankę w dolnych szybach. Twarz dyrektora w blasku latarni ulicznej zamajaczyła przez zapyłone szkło. W powrocie od teściów, zboczył z żoną do drukarni, po drodze.

— Dużo tam jeszcze? — zapytał. Kułak odkrzyknął:

— Nie tak wiele. Skończy się.

— Chwała Bogu! Tylko pan daj wypoczywać biedaczce... Dobranoc!

Rózia zerwała się żywo z krzesła. Była znowu silną. Ambicya sumiennej robotnicy zwalczyła raz jeszcze znużenie.

Wskoczyła na schodek, rozsunała kostką, arkusze na desce i puściła w ruch maszynę.

Ale stopniowo zaczął ją sen morzyć coraz to bardziej. Mruganiem gazu zmęczone oczy

patrzyły na oślepię, nie rozróżniając chwilami przedmiotów, tylko zeszywniały korpus i ręce, bliskie omdlenia, wykonywają automatycznie swe ruchy, zgodne z poruszeniami prasy.

Kułak, obserwujący Rózię z ubocza, uciekł się do ostatecznego środka. Dobył korek z flaszki, przygotowanej z wieczora, i dał jej wina. Znowu ją to pokrzepiło. Z coraz cięższą głową wprawdzie, coraz mniej siebie i swych czynności świadoma, połykając tylko od czasu do czasu nieco wina, pędziła i pędziła maszynę, która w tym pustym, ciemnym nocą przybytku, naprzeciw niewyraźnego widma drugiej w przeciwnym końcu salki, naprawdę coraz była podobniejszą złośliwemu bydłociu, z wściekłością poddającemu kark pod jarzmo Zębate jej koła kręciły się w jedną i w drugą stronę, sztaby, sztaby i dźwignie drżały, klekocząc, kuło rozpędowe tylko migotało, wirując bez wytchnienia, a wózek, dźwigający na grzbiecie brzemień czcionek, rzucał się na swych szynach to w tył, to naprzód: trzasktrzask!... trzasktrzask!... — z ogłuszającym łoskotem całego, w ustawicznym ruchu drżącego mechanizmu. Cisza, pustka i ciemność, zalewająca zakład cały, którego czarna głębia wyzierała z po za drzwi rozwartych, potęgowały jeszcze grozę hałaśliwego miotania się tego potworu.

Nakoniec przyszła chwila, że Rózia prawie zupełnie straciła pamięć rzeczywistości i utrzymywała się na samej granicy snu i czuwania tylko dzięki stojącej postawie i odzywaniu się raz po raz Kułaka, który

kręcił ustawicznie koło maszyny, poprawiając szrub. oglądając odbitki i pilnując odbieracza.



Wtem dzień zaczęło. Na świecie był już dawno świt. ale tu, w tej, między dwie wysokie ściany oficyn wciśniętej budowli, dniało zawsze o parę godzin później przez okna zakurzone, małe, arkuszami makulatur przysłonięte. Tak, zaczynał się nowy dzień roboczy. Zecerzy się schodzą, Cmoktalski, ledwie się przebrawszy z eleganckiego garnituru do wyjścia w koszulę roboczą, wpadł do maszyn i wykrzykuje komplementa dla Rózi. Za nim inni zjawiają się, wyspani, wypoczęci, odświeżeni, witając ją prostym "dzień dobry pannie Rózi", które jej taką zawsze przyjemność sprawia. Podziwiają jej wytrzymałość, nie chcą wierzyć, aby rzeczywiście noc całą spędziła bez zmruczenia oczu. Kułak w odpowiedzi na to z dumą pokazuje opróżnione z ryz papieru ławy, oboje jednak, brudni i niewyspani, z czerwonymi oczyma, wyglądają jak z krzyża zdjęci. Za chwilę przyjdzie dyrektor... Ale już Rózi sił nie starczy, aby myśleć o czekających ją pochwałach i cieszyć się na nie. Zbyt jest senną. Świat jej po prostu z oczu znika, rzeczywistość przybiera niepewne kształty mglistego widma i wymyka się jej zmęczonemu spojrzeniu. Zresztą coraz więcej skupiać musi uwagę na swych skołcałych palcach, które zaczynają jej po prostu odmawiać posłuszeństwa, jak martwe. Już parę arkuszy krzywo nałożyła. Radzą jej, aby teraz, mając już tak niewiele do

ukończenia roboty, wypoczęła. Właśnie dlatego jednak upiera się skończyć, i resztę swych sił wyteża. Wtem zesunęła dwa arkusze, zamiast jednego. Maszyna porywa je — drąc, powlecze w głąb płataniny walców, gdzie popsuje i zbrucze całe przyrządzenie prasy, które na nowo trzeba będzie porządkować ze stratą czasu. Zakręciła więc klucz hamulca, zastanawiając nagle ruch maszyny a jednocześnie, zeskoczywszy na ziemię, pobiegła do koła rozpędowego, i, wedle zwyczaju, uchwyciła rękoma za jego obwód, aby powstrzymać bieg znacznie zwolniony. Robiła już setki razy to samo... Lecz tym razem zawiodły ją siły. Niedostatecznie zahamowana maszyna odzyskała swój pęd i nagle, zdradliwie, pociągnęła uczeponą do czarnych ramion koła robotnicę. Straciwszy równowagę, oparła się instynktownie na trybach fundamentu, zawsze ruchomych, nie myśląc o tem, co czyni, nieprzytomna z bezsenności i wyczerpania... i w tej samej chwili wydała z siebie krótki, urwany krzyk przerażenia, uczuwszy, że koła porywają ją za suknie... Maszyna wykonała jeden tylko obrót.... niecały... pas pękł z traskiem i koło rozpędowe stanęło jak wryte, aż ziemia i ściany zadrżały. Krzykiem zwabiony, zgromadził się w jednej chwili cały personal zakładu w izbie maszyn. — Co się stało?!.. co się stało?!.. — zaczęli wołać jedni przez drugich zecerzy,

wbiegając z wyciągniętymi naprzód szyjami. Lecz całą odpowiedzią było jedynie spojrzenie wysadzonych strachem oczu Kułaka, który zatoczywszy się pod ścianę, wsparty o nią, błądy, prawie zielony, utkwiał wzrok osłupiały tam... między kołami... Wszystkich oczy poszły za śladem tego wzroku przerażenia i zgrozy.. I zdać się mogło, że nagły paraliż unieruchomił naraz całą tę gromadę ludzi w długich, niebieskich bluzach, na widok, jaki ujrzeli.

Pośród zębatych kół prasy, niby w olbrzymiej paszczy o kłach stalowych, tkwiło zmiażdżone, martwe już ciało bez ruchu, zwitek kobiecych sukni, w którym trudno byłoby rozpoznać istotę ludzką, gdyby nie stercząca w górę ręka, pracowita ręka robotnicy, z kostką do rozsuwania papieru, ściśniętą w palcach kurczowo...

Nikt nie spieszył z ratunkiem, wszyscy, ogłuszeni przyspieszonym tętnem serc własnych, stali nieruchomo, czując się w obliczu śmierci, której już nikt łupu nie wydrze.

Naraz ukazał się dyrektor. Roztrzącił wszystkich, jednym rzutem oka spostrzegł, co się stało, i ugiąwszy się w kolanach a rękoma uchwyciwszy za głowę, wykrzyknął zmienionym głosem:

— O rany boskie!...

I powiódł wzrokiem po twarzach, skurczonych dziwnym, niemiłym wyrazem, jak gdyby pytał, czy to prawda, czyli to rzeczywistość, ta rzecz niespodziewana i okropna, na

którą patrząc, nie miał odwagi w nią uwierzyć, a potem jeszcze boleśniej, jak człowiek ugodzony ciosem nie do zniesienia, przeciągle zawiódł:

— O rany boskie!... rany!.. boskie!...

W tej chwili spostrzegł maszynistę, którego cera przybrała jeszcze zieleńszą niż wprzód barwę a czoło okryły krople potu.

— Cóż pan zrobił?!.. coś pan zrobił?!.. — począł biadać dyrektor.

Kulak chwiał się od chwili. Za krtań i piersi zdawały się go szarpać kurcze, z którymi walczył, drżąc na nogach, aż naraz porwały go wymioty...

— Chciała zatrzymać koło — bełkotał, krztusząc się — jak tyle razy... Coś się stało... sam nie wiem...

— Ale po coś jej pan pozwalał! po co jej było pozwalać zatrzymywać koło!.. Gdzie lekarz!.. Czy kto poszedł po lekarza ?.. Bójcie się Boga, niech się kto ruszy... Doktora sprowadzić...

Kilku postąpiło, nie spiesząc się, ku drzwiom, aby tylko zadosyć uczynić jego życzeniu, widzieli bowiem, że lekarz jest już zbyt czyny.

Inni stali ze spuszczonej głowami, z winkelakami pełnymi czcionek w ręku, oniemiałi, i nieśmiając się zbliżyć do tego żelaznego narzędzia pracy, które zamordowało im towarzyszkę, patrzyli na kałużę krwi, formującą się zwolna pod kołami. W ciszy słychać było tylko prychnięcie motoru za ścianą i szelest kropli, spadających cicho ze zwłok na ziemię.

## KOLEŻKA.

W obu olbrzymich salach zakładów Fleissa panuje zwykły, gorączkowy ruch wielkiej fabryki. Zgrzytają z jękiem piły, świszczą heble, furkoczą tokarnie, a z ich ogłuszającym łoskotem, z stukaniem młotków i zgiełkiem czeladzi mieszają się jeszcze odgłosy wrzawy ulicznej, napływające falami do wnętrza lokalu przez górne, uchylone szyby okien. Wraz z nimi wciska się też z zewnątrz wezbrany potok świeżego powietrza i świetna, odmładzająca jasność wiosennego poranku rzuca tu szczere złoto słonecznych promieni i łagodne odbłaski błękitu.

Stu ludzi pracuje w fabryce. W koszulach otwartych, z włosami ubielonemi od trocin i przyklejającymi się do skroni spotniałych, z ołówkami za uchem i rękoma zakasanymi po łokcie, wśród nieustającej na chwilę ruchawki zdają się brać udział w wielkiej, nieubłaganej rzezi drzewa. Świeża woń jego unosi się w powietrzu, zamglonem od trocinowego pyłu, łączy się z zapachem kleju, grzejącego się w tyglach na piecyku, a butle z politurą i bejcami szerzą zapach olejów i spirytusu.

W tej atmosferze dłuta, heble i świdry, przechodząc z warsztatu na warsztat, z jednej pary czerwonych pięści w drugą, wpijają zajadle swe lśniące ostrza w drzewo, które syczy i stęka pod śmiertelnymi razami. Na ziemię spadają kawałki desek, niby odcięte członki, sypią się trociny i wióra, niby krew, a po tem białem posłaniu zwitych jak loki wstęg drewnianych, brodzą z szelestem nogi zapracowanych stolarzy i bosc pięty chłopców, którzy wysługują sobie co chwila kułaki u starszych, oddają je młodszym i wymieniają pomiędzy sobą. Tu i ówdzie mignie nakształt złocistego węża żółty, w gzygzak łamany metr, aby naraz pokurczyć członki i wtulić się między narzędzia lub zniknąć w cholewie robotnika. Z pod ścian zaś, z pod powały, gdzie na żerdziach dosusza się materyał, patrzą nieruchomo na ćwiertowanie swej braci dłuższe i krótsze deski: biała lipa, sośniną żółta, czerwony buk, dąb szary i ciemne, jak skóra wyprawna cienkie i gnące się deseczki orzecha. Wszystko to padnie pod ostrzem żelaza. Na gawędę nie ma tu czasu — krzyżują się jednak wykrzykniki. W jednym tylko kącie pracowni szpakowaty czeladnik Pastorał, z wąsami jak dwa snopy pod grubym, wydatnym nosem, dopasowując właśnie rzeźbione części stołu do rozsuwania, swoim zwyczajem z powagą coś prawi. Gaduła — lubi, by go słuchano. Zdolny to robotnik, ale wicherzyciel, awanturnik i lichewka. W całym personalu nie ma ani jednego towarzysza, któryby chociaż raz w życiu

nie był jego dłużnikiem, niektórzy zaś siedzą w kieszeni Pastorała po uszy. Ciułał on pieniądź od lat trzydziestu, żyjąc jaknajoszczędniej i powiększając grosz drobnymi pożyczkami, tak, że dzisiaj był małym kapitalistą, dla osłabienia zazdrości kolegów i okupienia sposobu, w jaki do pieniędzy doszedł, głoszącym krzykliwie skrajne poglądy na urządzenia społeczne. Opinia wszakże jego w fabryce nie była najlepszą. Uchodził wprawdzie za sprytną głowę, ale go przytem miano za hultaja, nazywano farbowanym lisem i opowiadano między sobą na ucho brzydkie szczegóły o jego przeszłości, niedosyć wyjaśnionej, pochodził bowiem z innej dzielnicy kraju.

W tej chwili, w rosnącej z laty gadatliwości rozprawia bardzo buntowniczo, wiedząc, że w taki sposób najłatwiej poklask zyskać. Siedząc oczyma wrażenie, z naciskiem rzuca poglądy swe na niedaleki dzień go maja, o którym we wszystkich warstwach ludności najrozmaitsze krążyły zdania.

— Bo proszę tylko wziąć na uwagę!... Żydowi wolne święcenie kuczek; chłopu hulać w dożynki nikt nie zabrania; lada pijak może się urznąć na swoje imieniny, choćby je obchodził trzysta sześćdziesiąt pięć razy na rok; lada psu wolno zawyć, jak ma się czule na sercu robi — nie mówiąc już o panach, co balują cały karnawał, cały rok, całe życie!.. — nie mówiąc o rocznicach z bibami i wyżerką, jakie sobie zastrzega w statucie pierwsze lepsze kasyno śpiewające, grające, albo nic nie robiące — a nam, nam biednym robotnikom

nie wolno jest święcić, moiściewy, jednego jedyne dzioneczka w roku. jednego marnego świątka, jednuteńkiego sobie jakiegoś tam pierwszego maja!.. No?!.. I pytam się: czemu?.. Czyby to co komu szkodziło?.. czyby się komu stała przez to krzywda?.. Nie! jako żywo nie!.. tylko dlatego, że myśmy czerń, śmieci... a nawet gorzej niż śmieci, bo o te przynajmniej nikt się nie troszczy — a o nas... o nas troszczą się zanadto. I żeby się tak człowiek, jak ojca kocham, resztkami sił nie bronił, ile może, od pazurów tej troskliwości, toby go ta troskliwość, bodajem tak zdrów był, dawno już zżuła, a jakże... połknęła, może nie?.. strawiła — i... no, jak zwykle po strawieniu... Cudowny świątek! przysięgam Bogu... Cudowny... — Antoś! daj no mi dłučko: to cienkie, uważasz ? to z pękniętym trzonkiem, com cię niem trzepnął wczoraj, ty już wiesz za co...

Chwila milczenia.

Pastorał dłubie ostrzem dłuta w ornamencie orzechowej deski, warsztat cały aż drży od pracy, nieustającej ani na chwilę.

Naraz rozlega się głos z pod środkowego okna: śmieszny, szepleniący głosik Tuzika, który reprezentuje bezwiednie wesołość w pracowni, podczas kiedy w Pastorałe uosabia się żywioł myślący.

Czeladnik ten najokropniej się jąka. krzywiąc przytem twarz i pociągając nosem, jak człowiek rzewnie płaczący lub zakatarzony mocno. Malutki i mizerny chudzina, stroi się dla zaznaczenia barwy swoich przekonań w olbrzymie

czerwone krawaty, zdolne rozjuszyć byka — koledzy zaś zwa go "postrachem kapitału" i przyklaskują dla zabawy hucznie przemowom, w których się kocha, przekonany najmocniej, że posiada dużo wrodzonych talentów na mówcę. — Raacya! słoowo honoru daję, że raaacya! Właśniem se mymyślał tto samo! — odzywa się Tuzik w mniemaniu, że potakiwaniem swoim doda powagi głosowi poprzednika.

Ktoś wtrąca niby seryo:

— Tuzik zawsze z ojcem trzyma! — jak się to mówić zwykło o dwóch sprzymierzonych z sobą mocarzach.

Odpowiada na to śmiech wielu.

Więc Pastorał, aby zażegnać obrócenie w żart rzeczy — odzywa się spiesźnie:

— A wy to nie trzymacie?!.. Bodajże was Bóg kochał — ładnież się rozumiecie na, swojej sprawie! To nie dziwota, że wam po karkach byle kiej jeździ! Także mi gadać... Nie byłbym pary z gęby puszczał, bo mnie kto jeszcze zda do Fleissa i szwab mnie wyrzuci za bunt.

Słowa wywarły skutek.

Jedni zaczęli pomrukiwać zgorszeni, drudzy, głośniej, przeczyć.

Co znowu? skądże? za kogóż to on ich ma?.. Także przypuszczenie!..

Wszyscy oni jednego są zdania! Tej samej myśli! — ale o czem tu wiele gadać: jeden powiedział, inni kiwnęli głowami, bo im to z pod serca wyjęte — no i po krzyku.

Źle jest — ani słowa — ale cóż kto poradzi na to?...

Pastorał wyczekał cierpliwie końca tych. uwag, dopiero kiedy ucichły, zaśmiał się szyderczo i głową pokiwał:

— Jakto: co poradzi?!.. — zawołał z siłą i pod boki wsparty, powiódł oczyma po warsztacie.

Na Tuziku ton głosu i postawa zrobiły porywające wrażenie. Natychmiast podparł się pod boki jak tamten i z nagłym impetem jąkały wyrzucił z ust potakująco:

— Aaale!..

— Nie dać się! do stu diabłów... Nie dać!.. — ciągnie Pastorał z rozkazującym giestem pięści, niby wódz dodający ognia szeregom, przed walką.

Ledwie zaś umilkł, już głos Tuzika, wpatzonego weń jak w tęczę i bezwiednie naśladowującego wszystkie jego ruchy — wykrzykuje:

— Aaale!..

— Czyśmy to barany ? czy co ?!.. — z apostołskim zapałem, widząc wywarte wrażenie, zachęca dalej Pastorał, zadarłszy w górę nos gruby, mięsisty — a Tuzik, zadarłszy też swój, malutki, zaostzony, kończaty, wyjąkuje raz jeszcze, już tchu ostatkiem:

— Aaale!..

Wtem Fleiss, pryncypał, wszedł do warsztatu i nie zdejmując kapelusza, przed którego paradnym połyskiem pochylały się czapki i głowy bliższych z czeladzi — skinął na kogoś ręką.

Dobrze zbudowany, z miną energiczną Niemiec, przybyły z zagranicy, przed kilku laty sam jeszcze zakasywał ręce w małym warsztaciku o paru ludziach — dzisiaj zaś jeździł powozem, budował drugą kamienicę i pobudzał setkę swych robotników i wszystkich partaczących w mieście stolarkę majstrów, do uwag:

— Takiemu to się czart wie jak wiedzie.

Nienawidzono go, pomimo, że w jego fabryce najlepiej było robotnikom, że w ogóle był człowiekiem bez zarzutu, prócz tego jedyne, iż był — Niemcem. Nie mogli mu przebaczyć przymiotów, jakich im samym brakło, i zamiast się uczyć od niego, kopali pod nim dołki i ujadali nań.

Wydał teraz kilka wskazówek, rzucił jakiś szkic, coś przypomniał, coś poprawił — i wyszedł.

Skoro tylko Pastorał był pewnym, że właściciel oddalił się dostatecznie — splunął z hałasem i zaklął zjadliwie:

— Tfu!... Łam człeku ręce i nogi na cudzy brzuch!..

I rozgadał się na dobre, trafiając przebiegle prosto w serce towarzyszy, jak umiał kiedyindziej trafiać do ich kieszeni po grosz ostatni, — dowodząc niezbitie doniosłości, potrzeby, obowiązku święcenia nadchodzącego pierwszego maja, które od dłuższego już czasu było przedmiotem ciągłych rozpraw w budzących się do życia kołach robotniczych.

A wszystko, co mówił, było słusznem — niesłusznem tylko było, że z jego ust płynęły te słowa...

Ale przemowa ta, którą przyjęto gorącym aplauzem — to był ów wiatr jedynie, co ogień podsyca, nie wywołuje. Zar sam był w ich piersiach, zarzewie zapału do pracy nad wspólnym dobrem tkwiło w duszy każdego. Urósł też duch w tłumie jak płomień rośnie w suszu — i jedno było zdanie: że pierwszy maj święconym być musi, że go święcić będą bez wyjątku wszyscy — a fabryka Fleissa. najpierwsza w mieście — da przykład, Głosem, który najwięcej, najdobitniej odzywał się w tej sprawie — był do ostatka głos Pastorała.

W oczekiwanym dniu głucha cisza zaległa przeważną część pracowni w mieście, co wcale, wbrew obawom — nie zakłóciło spokoju miastu samemu. Cisza też trzymała dłoń kojącą na spracowanych warsztatach i narzędziach dużych sal stolarni Fleissa.

W jednym tylko kącie stary, wąsaty robotnik odpracował co do minuty, podług zwyczaju, swój dzień roboczy i z osłabłymi od trudu rękoma opuścił warsztat dopiero wieczorem w godzinę fajerantu.

Nazajutrz powitano go w zakładzie spojrzzeniami oburzenia. Potem jedna za drugim, gniewliwsi, wygłaszali coraz wyraźniejsze docinki — aż w końcu Tuzik, wzięwszy na bohaterstwo, tak zaczął szeptem, podniecony pochlebą myślą, że jest rzecznikiem ogółu:

— Jaabym ta tyylo tyylo popowiedział, że tak się nie robi: innych bubunto

wać "świętkujcie" — a sasamemu nie św... św... świętkować!...

I stał się pąsowym, jak krawat, pałący mu się pod szyją, była to bowiem jedna z najdłuższych i najśmielszych mów, jakie kiedykolwiek wygłosił.

Pastorał nawet nie podniósł głowy z nad hebla, lecz z flegmą, łagodnie, poczciwie, prawie żałośnie odrzekł:

— Ja nie mogłem!... Ja nietutejszy!... Mnieby stąd wyrzucili jako obcego poddanego za udział w demonstracjach... Nie dla mnie pierwszy maja!... nie dla mnie!...

Czego im brak?

Ten czyrak, co się Turciowi usadowił w najdrażliwszej okolicy ciała i od dni kilku nie dawał mu chodzić, leżeć, siadać a nadewszystko siadać, podwójnie przykrą był w jego nieobfitem w troski życiu klęską, że wystrzelił mu z pod skóry w sam przeddzień świąt Bożego Narodzenia, tego wstępu karnawałowych zabaw, balów, maskarad, polowań, kuligów, w przeddzień wili, na którą młody próżniak szlachetnego rodu tyle miał zaproszeń, w przeddzień tradycyjnych wigilijnych łowów.

Otaczał go oto w mieszkaniu szereg świeżych przyborów toaletowych prosto z magazynu: ubrań, krawatów, rękawiczek, fularów, perfum i biżuterij, które, wykradłszy sekreta nowości najświeższym dziennikom mód, miał odnosić tryumfy szyku na zebraniach, prześcigać współzawodników na polu salonowej elegancji, ostatecznie zwracać głowy dam, do zawrotów pohopne i poświęcające tymże najpiękniejszą część swego życia — miał się jednym słowem zaznaczyć na cały zimowy sezon w salonach, po za których wonną, roz

koszną i próżniaczą atmosferą nie było dlań świata, życia, ludzi...

Wszystko to jednak na nic.

Patrzył na to wszystko, jak na daremnie poczynione przygotowania do zwycięskiej kampanii, którą okrutny figiel losu uniemożliwia, wydzierając mu tyle upragnionych rozkoszy!... tyle należnych sukcesów!...

Na dobytek ten rwący ból w nodze, nieco poniżej biodra, wyżej zaś uda usadowiony, który żarem praży i szarpie kleszczami jego delikatne nerwy, od urodzenia osłaniane przez mamę, papę, bony, guwernerów i nadwornego lekarza od wszelkiej dolegliwości, jak osłaniane są z natury rzeczy ciała i osoby wybrańców.

Turcio uczuł się prawdziwie nieszczęśliwym. Złorzeczył po francusku swej doli, oburzony jej zrzędzeniem, jej napaścią, której, niby świętokradztwa, padał ofiarą. Podobne rzeczy jak ten czyrak, niech sobie spotykają kogo chcą, tylko nie jego...

I oddał się czarnym i gorzkim myślom, doświadczając wrażenia, że w świecie zanosić się chyba musi na coś bardzo a bardzo złego, skoro na niego. Turcia, tego Benjaminka losu, zwałać się poczynają nieszczęścia.

Wydało mu się, że go wszystko opuszcza. Mieszkanie — bogato urządzone szeregi pokoi, zdawało mu się zarazem więzieniem dokuczliwie ciasnym i straszną, nie do zniesienia, pustką. Czyliż był zdolny ją zapełnić, osamotniony?... Czem"?... W tym stanie o przyjmowaniu gości nie mogło być mowy — bez po

mocy drugich zaś, bez nowiu ze świata, bez wesołych towarzyszy, bez towarzyszek z teatru, udających artystki, i innych, z po za niego, które mają szczerą nieukrywaną tego, czem są w istocie, po za żaden fach pomocniczy, bez śniadań, kolacji, kosztów wina i butelek koniaku Turcio nie umiał się bawić, nie umiał zająć swych myśli, nie miał poczucia swej wyższości nad całym światem — zniknął dla świata, zniknął nawet dla samego siebie.

Gdyby chociaż Kicia dotrzymała danego słowa... Przyrzekła go odwiedzić.

Ale od rana daremnie czekał swywołnicy. imponującej mu tem, że go poniewierała jak lokaja. I zanosilo się na to, że cały dzisiejszy dzień, całą wilię przepędzi sam — po raz pierwszy w życiu!

Już był wieczór. Przedświąteczny ruch ulic wielkiego miasta zastępowała wigilijna cisza.

Kulejąc, chodził Turcio od okna do okna, wyglądał, czekał, obsypywał Kicię w duchu wyrzutami, to znowu posyłał ku niej westchnienia. Daremnie. Nie przychodziła niewdzięcznica, dla której para kolczyków z brylantami czekała tutaj, przygotowana na, gwiazdkę.

Wśród tej posępnej i przykrej tułaczki po własnym mieszkaniu, znalazłszy się przypadkiem przed jednym ze swych okien, wychodzącym aa podwórze, zabłąkał się Turcio oczyma w okienko niskiej oficynki, gdzie do światła niedużej lampki czytał stary, wyłysiały rzemieślnik gazetkę, w grubych pięściach ją dzierząc.

To oni czytają? — ci prostytutki?

Turcio założył szkła na oczy i z pewnym ożywieniem, w jakie nas wprawia rzecz nowa, zadziwiająca, wpatrzył się w owo okno, któremu nigdy dotąd uwagi swej nie udzielił.

Ten człowiek wąsaty, pomarszczony, na dole, czytał w istocie. Czytał on gazetkę, której tytuł, dużymi literami wypisany, brzmiał:

"Czego nam brak?"

"Nam?" — to zapewne: im — pomyślał Turcio.

Czego im brak?... Phi!... Czegóż im może braknąć, temu robactwu... Powinno być chyba może: "czego nam się zachciewa". Bo ten motłoch podobno zaczyna ostatnimi czasy objawiać różne zachcianki.

Ale to mu przypomniało, że jeden z pakietów, zdaje się nowe kalosze, przysłane z magazynu, owinięte były bodaj czy nie w tę właśnie gazetkę. Warto rzucić na nią okiem, dla samej osobliwości — tak jak się czasem zaszczyca rzutem oczu lub pytaniem człowieka albo rzecz, najmniej tego godną, ot, przez kaprys humoru lub dla zabicia czasu.

Wziął się do czytania.

Ba, ba, ba.... więc to prawda! więc oni się mają za ludzi! oni przypisują sobie jakieś prawa! oni się o nie upominają! chcą o nie walczyć! obiecują je wywalczyć nawet!...

A to zuchwała zgraja!...

W Turciu zagrała krew karmazyna, ostatnia jakaś kropelka, ocalała w spadku po przodkach kropla sierotka tej krwi tak szła

chętniej! wobec której w prochu niegdyś kalało się wszystko, która budowała kościoły, katowała chłopą, nieciła wojny domowe, rozrzucała złoto za granicą i sprzedawała ojczyznę — która w rozjuszonego buhaja zamieniała butnego magnata, jeśli cokolwiek stanęło jego samolubstwu i pysze oporem.

Oburzył się, wykonując ciałem ruch nieopatrzny, od którego czyrak na nodze przypomniał mu dokuczliwie swą obecność, ale go tylko do tem większego gniewu pobudził.

Z nienawiścią i wzgardą spojrzął w okienko rzemieślnika, przedstawiciela tej warstwy, która podobno czoła śmie podnosić, jak to pomiędzy przetasowaniem kart a rozdaniem, doleciało jego ucha w klubie z rozmowy dwóch jakichś starszych, chorujących na politykę hrabiów.

Było tam już, w tej oficynie, po wili. Stara kobieta zebrała ze stołu podrutowane talerze i widelce z zębami powykręcane jak palce ludzkiej dłoni w kurczach. Dokoła stołu siedzi kilkoro ludzi: stary, syn, dziewczyna i małeć. Gęby czerwone, świecące, wesołe zwierzęcym wyrazem zadowolenia z sytości.

Zaczynają śpiewać kolendę.

Chłopiec drze się w niebogłoso, brat starszy wtóruje mu niedojrzałym głosem wyrostka, czasem zaś siostra zapiszczy cienko lub ojciec, upatrzwszy sobie ładniejszy ustęp słów czy melodyi, zahuczy basem... Ale skoro nabrali rozmachu, niebawem wszyscy poczęli wyć z zadartymi w górę głowami, aż uszy puchną...



Zwierzęta!...

Czegóż im brak! I czego im braknąć może! tym ludziom, co tak hałaśliwie objawiają, swą radość, którym chce się i którzy potrafią śpiewać tak ochoczo...

Turcio splunął ze wstrętem i odszedł od okna, uciekł, aby ukryć w głębi mieszkania swoją nudę, swoje delikatne nerwy i swoją wyższość... Poszedł wzdychać za Kicią i płakać nad czyrakiem.

A oni śpiewali dalej.

Śpiewali bez przerwy, z zapoconemi nosami i oczyma błyszczącemu zadowoleniem, pieśń radości, pieśń szczęścia, nastającego na ziemi, niespełniony od dwóch tysięcy lat hymn tryumfu i wesela, w staroświeckich czasach ciemnoty i wiary stworzony dla maluczkich, który i ich prostocie i nieświadomości jedyną był dzisiaj pociechą.

Jakiemże szyderstwem jaskrawem wydawały się te pieśni, rozbrzmiewające silnie i wesoło w izdebce nędzarzy, gdzie jedna ściana od pieca, pali — druga, od drzwi, wieje — trzecia, od okna, wilgocią płynie; gdzie niski pułap zasypuje oczy opadającymi łuskami wapna, a podpierające go belki znaczą czoło guzami; gdzie nocą rozłazi się z szpar robactwo, z za pieca myszy, szczury z za progu; gdzie truć się trzeba zaduchem, aby nie wypuszczać z izby drogiego ciepła: gdzie kopciem oszczędnie wykręcane go knoty lampy psują sobie oczy i płuca, aby się mniej nafty wypalało; gdzie ochłap lichego mięsa jest przy

smakiem a czasem soli nawet nie ma do ziemniaków dosyć; gdzie się z soboty na niedzielę na pędce przepiera jedyną z grzbietu zrzuconą koszulę, kiwając głową nad jej dziurami, a susząc ją w izbie, wchłania się przez noc całą parujące z niej wylizy i wilgoć; gdzie nosi się kilka i kilkanaście lat tę samą odzież, na dawnych łątach, kładzie nowe warstwami; gdzie jedno drugiemu pożycza wyszczerbionej łyżki, noża jak kij tępego; gdzie nawet w lecie, kiedy ojciec, cieśla lub murarz, ma robotę, rzadko bywa wszystkiego tyle, ile trzeba, zimą zaś nigdy; gdzie sen wieczorem wytrąca łyżkę ze znużonej ręki pomimo głodu a rano wstawać trzeba, nie wypawszy się do syta; gdzie wywczas, sytość, wygoda, są wyobrażeniem bajecznym, gdzie nie ma się pojęcia o żadnym z wyników kilkudziesięciowiekowej cywilizacji, tej przyjaciółki wybranych, która udoskonala, uprzyjemnia, ułatwia życie — lecz wie się byt w warunkach i z poglądami z przed lat tysięcy, byt prawie zwierzęcia w norze.

I wszystko to pod bokiem pałaców, świątyń sztuki, przybytków wiedzy, pod bokiem dostatków a nawet nadmiaru, którego jawnie, w imię odwiecznego porządku, przed obliczem milionów nędzarzy, i ich kosztem, używa do przesyty, do rozpasania, tylu uczestników i sprawców dziejących się bezprawii. Sumienie ich, spętane u jednych zbrodniczym samolubstwem, u innych głupotą, śpi lub umarło. Nie traci ono błęgiego spokoju, jak gdyby to wszystko zupełnie godziwie było i przykła

dnem — jak gdyby tego nie można było, nie trzeba i nie warto zmienić!

Czyliż nie dosyć jest, jeśli rzeczami temi zajmie się niekiedy czułe serce poety, innego w życiu aniżeli w rymach. giętki język kaznodziei, dbałego o kościelną skarbnicę — program kandydata na posła w przeddzień głosowania — lub wysiłki dziennikarskiej blagi, obliczonej na połów abonentów?

#### WINOWAJCA.

Cała fizyonomia szybu zmieniała się pod piętnem strasznej klęski, straszego okrucieństwa: spełnionego na ludziach przez żywioł;

Powietrze ciężkie jest. gryzące i gorzkie od wyciewów, któremi wionął wybuch z głębin kopalni. Przywożą je z sobą z dołu w fałdach odzieży nawskróś gazami przejęte ciała górników, uduszonych podziemnym pożarem. Do tej woni zaś dławiącej miesza się już silny i ostry odór zgnilizny trupiej, coraz obficiej wywiązujący się w rozkładzie tylu naraz zwłok ludzkich, które zalegają przedsionek szybu, przepelniają sąsiednie budynki, leżą pokotem, rzędami, jedne przy drugich, na dziedzińcu, wszędzie, ponieważ grzebać ich nie można przed rozpoznaniem.

Mnóstwo zapłakanych kobiet i dzieci przepelnia teraz to miejsce, do którego nigdy wstępu nie miały. Nadaje to również szybowi wygląd niezwykły, tak jak obecność poważnych strojem i miną członków zarządu i przyslanej komisji, jak zwieszona ręce i posępne twarze pozostałych przy życiu górników, którzy patrząc na wywożonych z pod ziemi towarzyszy, myślą, że ten sam los czeka każdego z nieb jutro lub za lat dziesięć.

A ten milczący, nieruchomy kobierzec nieboszczyków, pokrywający ziemię dokoła.. podobny do lazaretu, przepelnionego ofiarami jakiejś wielkiej potyczki, która jednym zamachem zmiotła setki ludzi, nie zadając żadnemu rany!... W jak straszny sposób wyraża to wszystko niszczącą potęgę śmierci. Panuje ona widomie w tyra półciemnym budynku o małych okienkach, napiera zewsząd na wszystkie zmysły, niewidzialna a obecna, i wciskając się natarczywie w myśli żywych, budzi przestrach, jak burza, na chwilę przerwana, co nie wyczerpawszy jeszcze całej swej grozy, zawisła nad głowami.

Jedna tylko winda pracuje gorączkowo.

Dotąd wyciągnięto za jej pomocą trzysta ciał. Ale stu siedmdziesięciu górników nie stawilo się jeszcze do przeglądu i tych stu siedmdziesięciu stygnie już lub kona jeszcze w tajemniczych głębiach podziemnego labiryntu kopalni. Setki kobiet i dzieci, osierociałych matek, owdowiałych żon, oplakują bolesnym płaczem pewne już straty — setki innych wysusza straszna nadzieja, podobna chorobliwemu oczekiwaniu szaleńców, że ich nieobecni zjawia się jeszcze, zjawia w najgorszym razie omdlali tylko i dadzą się przywołać do życia, tak jak ten jedyny górnik. Piotr, którego, dobytego z podziemi, zdołano docucić, zda się na to tylko, aby została chociaż iskierka krótkotrwałej nadziei dla tych, których nagła pewność zabićby mogła odrazu.

Bo za każdym świeżym powrotem windy w górę wewnątrz szybu nowym tylko rozbrzmie

wało jękiem. Ani jednego okrzyku radości — tak jak ani jednego żywego między wydobywanymi. Na powierzchni przybywa tylko zwłok, łez i sierot. Płaczą już nietylko ci, u których stóp leżą sztywne szczątki ich blizkich, nietylko tacy, co swoich rozpoznali w ostatnim ładunku ofiar, wywiezionych windą z piekła kopalni — ale i reszta, tracąca coraz bardziej nadzieję ujrzenia przy życiu ojców swych i braci, i wszyscy, wszyscy, najobojetniejsi. najbardziej nieszczęściu obcy, niemający z katastrofą nic wspólnego, przychodnie z sąsiednich wiosek, ciekawi tylko niezwykle straszego widowiska, czy współczujący z niedolą ludzką przybysze o mil kilkadziesiąt, którzy napływają z każdym pociągiem.

Studnia szybu nie przestaje tymczasem wyrzucać z swej gardzieli czarnej, bezdennej, martwych ciał, które wymordowało jedno zabójcze technienie wnętrza ziemi, stoczonego pracą ludzką jak pień drzewa przez owady. W najrozmaitszych postawach, pojedynczo i zbitych w nierozwikłane kłęby, poplątanych członkami, jakby wśród wścieklej walki o życie, zakończonej wspólną porażką obu stron pasujących się, które zmiażdżył silniejszy od nich wróg, wydobywano na wierzch górników. Starcy, mężczyźni, wyrostki i chłopięta, wszyscy wynurzali się z czeluści szybu, już jakby z innego świata, bez ruchu, bez życia, bez słowa na ustach, obcy żywym, najbliższym obojętni, z jednym, nieodmiennym, krew ścinającym w żyłach a w piersi tłumiącym tętno wyrazem: śmierć! — w szklanych, zgasłych

oczach, który zdaje się ogłuszać strasliwą swą niemotą...

Tak oddawała ich rodzinom matkaziemia, której ciało te drobne mrówki ludzkie ośmielały się toczyć w pocie czoła przez dnie, miesiące, i lata, wyrzekając się świeżego powietrza, widoku nieba, blasku słońca, zdrowia i radości dnia. życie swe całe obracając w jedną nieprzerwaną noc: pracowitą noc trudu w kopalni, na której progu konał dzień i jego rozkosze — i krótkie, ciężko zapracowane noce snu na ziemi. Innego jednak życia nie mieli sobie za co kupić, byli tak biedni, że aby żyć, tylko żyć!... żyć. w taki sposób !... musieli przysparzać szczęśliwszym od siebie bogactw ofiarami całej swej nigdy nieskończonej, nic nie obiecującej biedy...

Oto znowu zaskrzypiało wiązanie szybu; wprawiwszy w drżenie podłogę, wychyliła się naraz nad powierzchnię winda i stanęła jak wryta, a szum i łoskot, sprawiony jej zbliżaniem się, umilkł, w jednej chwili, tylko pas z stalowej plecionki, na, którym zawisła, drży z lekka.

Kobiety rzuciły się w jej stronę; powtarza się to za każdym razem, ile razy się pojawi. Łzy przestają im ciec z twarzy, łkania urywają się w krtani, oczy nabierają blasku, ciało się wypręża, cisną się całą masą. Łokciami torując sobie drogę do skrzyni, pełnej trupów i wlokąc za sobą uczeplone do swych spódnic dzieci. Służba szybu zmuszoną jest walczyć z tym tłumnym i gwałtownym atakiem, aby móżd

opróżnić windę. Odpychają je gwałtem, siłą, ledwie mogąc podolać w kilkunastu mężczyzn nacierającym kobietom. Odepchnięte wracają po dziesięć razy, nie zważając na nic, wołając jedna przez drugą:

— Czy jest tam mój mąż? brat? syn?!... Wywołują imiona:

— Jakóbie!. Antek! Franciszku!...

Tworzy się wrzawa i ruch nie do opisania, wśród którego mężczyźni nie mogą dać sobie rady, podnoszą pięści, grożąc biciem i klną od wszystkich dyabłów, zniecierpliwieni. Nic to nie pomaga. Z podaniem naprzód ciałem, wyciągniętą szyją, z wlepionymi w jeden punkt oczyma, dech zatrzymując w piersi, obojętne w tej chwili dla całego świata, czekają każda dla siebie odpowiedzi na swą rozpaczliwą niepewność, ze skrzyni, z tego zbiorowego karawanu kopalni, brzemiennego ładunkiem zimnych zwłok ludzkich...

Nic.

Nagle jedna upada z przeraźliwym okrzykiem. Poznała wśród tych trupów zsiniałe rysy męża, na którego czeka już tutaj od dwóch dni i nocy. odkąd wieść o eksplozji wyrwawszy jej łyżkę z ręki, właśnie gdy do obiadu siadała, jego wyprawivszy przed chwilą, przywiodła ją do kopalni. Przez dwie doby prawie nie spała, nocując pod murem, otaczającym budynki szybu, pod gołem niebem, nie jedząc przez ten czas nic prawie, aby tylko być bliżej miejsca swoich rozpaczy i nadziei, które miotały nią naprzemian od tyłu godzin!...

Lecz oto ich kres. Odniesiono ją na bok, aby jej inne nie stratowały. Cuca, sądząc, że zemdlą. Trwa to dość długo — nareszcie zaprzestano daremnej pracy. Kobieta nie żyje.

Ale jej mała córeczka, czteroletni drobiazg. z napół spożytą w rączce bułką, której ma nadto pełną buzię, nie wie o tem. Szarpie leżącą matulę za fartuch i powtarza od dwóch dni to samo:

— Mamo ! chodźmy do dooomu!...

Tęskno jej do lalki, której tak dawno nie widziała, która musi być głodna i pewno płacze.

Kobietom, patrzącym na to, łzy ukazują się w oczach. Przyciskają mocniej do siebie swe dzieci, które za chwilę również może będą sierotami.

Ze skrzyni tymczasem górniczy po jednym wyjmują ciała, sztywne, ciężkie, zimne bryły o ludzkich kształtach. Nad każdą z nich wybucha zaraz głośniejszy jęk, taki bolesny, tak dojmujący, jak gdyby w tej chwili nożem czyjaś pierś pchnięto. I ktoś z gromady, czasem osób kilka, oddalają się płacząc, zawodząc: ci już odzyskali swego — bez życia. Jeszcze dwa trupy. Wszyscy na nie patrzą, nikt się do nich nie przyznaje. Napół zwęglone. Nie można rozróżnić rysów, ani odzieży.

Odnoszą je na bok w osobne miejsce, gdzie już takich samych, bezimiennych na wieki szczątek, spoczywa kilkadziesiąt. Ku nim raz po raz zwracają się rozpaczliwe spojrzenia tych, co się nie doczekali jeszcze dotychczasowych nieobecnych, między tymi i tacy, co się ich wcale już nie doczekają.

Nakoniec skrzynia próżna, lecz ciżba się przy niej nie zmniejsza. Kobiety cisną się ku niej ciągle, wołają na górników, aby wydobyli z windy resztę ciał. Nie chcą wierzyć, aby tam już nikogo na dnie skrzyni nie było. jednego choćby — tego właśnie, którego każda z nich oczekuje. Chcą same zobaczyć, przekonać się na własne oczy, prą ną baryerę, aż skrzypi, zagrożona złamaniem. Jedna z kobiet woła rozpaczliwie:

— Jakóbie ! jesteś tam?... — i obracając się do najbliższej, dodaje z przekonaniem:

— Jeżeli człowiek dwie doby nic nie jadł to musi być osłabiony i trudno mu się podnieść!... No! puśćcież mnie — woła do zapierającego jej drogę dozorca. Ma biedaczka przygotowany posiłek dla męża.

— Kobieto! — odrzeczcie dozorca — nie pchajcie się! Męża waszego tam nie ma!...

— To nic! może jest inny!... — odzywa się któraś i wszystkie coprędzej podnoszą za jej przykładem wrzask:

— Tak! może inny!!...

Nadzorcę porywa pasya, bije pięściami w baryerę i z trudem przyszedłszy do głosu, krzyczy napół już ochrypy po całodziennym ujadaniu się z niestrudzoną w natarczywości zgrają:

— Nie ma nikogo! nikogo!!... powtarzam... Nie rachowałyście?... było dwadzieścia dał, więcej skrzynia nie zmieści. Poczynają się oburzać jedna za drugą. Jak to może być. żeby tak powoli wydobywano ciała. Czyż nie wiedzą, że tu tyle ludu na nie

czeka?!... To czyste kpiny. A do tego niejedenby może jeszcze przyszedł do siebie, wcześniej dostawszy się na górę, na świeże powietrze...

Ostatnia uwaga znajduje szybko kredyt i w mig wzniera wybuch hałaśliwego niezadowolenia, które aż lekarz obecny uciszać musi uwagą, że skoro, w kopalni żywi pracują nad ratunkiem bez szkody, — kto żyw jeszcze, żywym z niej wróci niechybnie. Umarłego zaś nic już nie wskrzesi, tembardziej próżna gadanina.

Nie ma czasu na dłuższe perswazyje, bo już mu jakaś biedaczka przypadła do kolan, prosząc, aby obejrzał koniecznie jej męża. Oczy kobiecisko ma krwawe od płaczu, popycha dzieci z wykrzywionymi i zażawionymi twarzyczkami do rąk lekarza, każe je całować.

— Proścież pana... proścież pana...

— Ależ mówiłem wam już przed chwilą, że nieborak nie żyje.

— A może też się pan doktor w prędkości nie dopatrzył czego?...

I jęczy, łka, zaklina, aby posłuchał, czy przecież jej Janowi serce nie bije, aby pomacał puls... Któż wie?... wszak ludzie i z trumny wstają... Nie słyhać to o takich wypadkach?

Lekarza opuszcza cierpliwość. Słyszy on podobne żądania od dwóch dni co chwila z ust innych; wszyscy nieszczęśliwi błagają o to samo.

— Może przecież pan doktor coś pomoże?... Mój złoty panie!... Proścież dzieci...

My się za pana do śmierci modlić będziemy... Na Jezusa Chrystusa ulitujże się nad sierotami...

— Więc mam go wskrziesić?... — wybucha lekarz. — Z taką twarzą, czarną jak ołów, z temi niebieskimi wargami, z temi oczyma chcecie, aby ożył?!... Miejcież rozum kobieto i nie dręczcie siebie ani umie napróżno. Stało się już, więc trzeba się z nieszczęściem pogodzić. Nie wy to jedna w tem położeniu — popatrzcie tylko dokoła...

I powiódł ręką nad głowami tonących we łzach na wszystkie strony kobiet, które mężów, ojców i braci oplakiwały w tej chwili.

Kobieta, straciwszy ostatnią nadzieję, wybucha przeraźliwym szlochaniem, podobnem do wycia, które wszystkie spojrzenia ściąga w jej stronę. Rzuca się na ciało, wstrząsa je, całuje, gryzie, ryczy jak zwierzę i nie dając się uspokoić przerażonym dzieciom, zawodzi wpółszalała:

— O mój Jasiu! mój Jasiu! O mój nieszczęśliwy ! jedyny! kochany ! Cóżes ty zrobił? coś zrobił biedaku, żeś mnie opuścił!...

Wśród tego skrzynia zapadła z hukiem w głąb szybu, porywając za sobą myśli i uczucia wszystkich tych biedaczek, które gotoweby wraz z nią pograć się w podziemiach kopalni, aby tam szukać drogich sobie osób. A przekonane są, że odnalazłyby swych mężów i braci natychmiast, żeby ich do życia przywróciły. To, co się tam bez nich robi, pod ziemią, nie budzi ich zaufania, gniewa

je, oburza. Ratunek, ich zdaniem, jest niedołączny, sarkają na złą wolę.

W tej chwili wpada do szybu młoda, blada blondynka, w chustce na głowie. Przed pół godziną wyniesiono ją na podwórze, aby ocucić z omdlenia, w jakie popadła, dostawszy z przestachu ataku sercowego. Przeraził ją tak widok martwego górnika, który pracował z jej narzeczoną w tej samej galeryi. Śmierć tamtego wydała jej się najpewniejszym dowodem zgonu drugiego, z którym za tydzień stanąć miała pod ołtarzem, kończyła właśnie szyc ślubną wyprawkę.

Lecz pierwsze jej słowa po otwarciu oczu były:

— Karol żyje!

I pobiegła pędem do szybu w tem nagle odmienionem przekonaniu, iż skoro Wiktora, martwego, odnaleziono, a Karola, który z nim pracował, nie, zatem jej Karol musiał się oczywiście ocalić, musi żyć, i albo się gdzieś błąka po galeryjach kopalni, albo po prostu czeka z wyjazdem, aż wydobyte wpierw zostaną wszystkie zwłoki. To przecież jasne. Zresztą z nieboszczykami niezbyt przyjemnie jechać w górę, choćby do narzeczonej, więc nic dziwnego, że dotąd go tu nie ma.

Zostawiają ją w tem mniemaniu, gdy tymczasem ciało jej Karola od pół godziny już znajduje się w szybie. Złożono je na uboczu, aby jego widokiem nie zabijać dziewczyny.

Też same złudzenia powtarzają się co krok.

Jedna z kobiet, która po dwudniowej bezsenności, snem zmorzona zasnęła a przebu

dziwszy się, zobaczyła pas windy opadający w głąb kopalni, dopomina się o swego męża i nie chce uwierzyć, że w czasie jej chwilowej drzemki nie powrócił.

— To nie może być!... — woła, odtrącając z gniewem wszelkie przeczenia.

— Zresztą on wróci... Ich jeszcze wielu obaczmy przy życiu. Nie płaczcie kumo, i wasz wróci... Co? już go wydobyli?... Gdzież jest?... Ach prawda... To on, jaki zczerniały !.. Moja biedna kumo! Co za nieszczęście...

Zwraca się jednak do innych kobiet, ze drżeniem serca czekających koło windy, i wmawia w nie te nadzieje, których sama jest pełną.

— Wierzajcie mi, z nich jeszcze niejednego dobędą żywego... Ja wam mówię... Tylko żywi pojedą na sam ostatek, jak słusznie mówi Joanna. Oni przecie dzwonili z dołu przez całe dwanaście godzin... Już dym przestał buchać z szybów, a oni jeszcze dzwonili, po wszystkim... Więc żyją!...

W samej rzeczy sygnały alarmowe z głębi kopalni trwały od południa, kiedy wybuchł pożar, który spowodował eksplozję gazów, właśnie po spuszczeniu się w szyb połowy górników — aż do północy tegoż dnia. Przez godzin dwanaście jęczały dzwonki sygnałowe. Kilkadziesiąt razy, tara, na dole, pasując się ze śmiercią resztkami sił zapewne dowlókszy się do dzwonka, najsilniejsi z konających naciskali guzik, aby, nim padną na coraz wyższą ławę trupów, raz ostatni dać rozpaczliwy znak życia, znak trwających jeszcze w pod

ziemiach mąk. którym żywi nie byli w stanie położyć tamy.

Nikogo jednak nie wyratowano z wyjątkiem omdlałego Piotra, którego życie okupiło swą zgubą piętnastu śmiałych zuchów, co po kolei spuszczało się w głąb dymiącego szybu na ratunek towarzyszy.

Po wydobyciu bowiem Piotra, który dawał słabe znaki życia, nadzieje się wzmogły. Ten co go ocalił, natrafiwszy nań na jednym z najwyższych pięter kopalni, zaraz potem spuścił się na dół powtórnie. Nie wrócił już żywy z tej drugiej wycieczki.

Czternastu śmiałków, nieodstraszonych jego śmiercią, pograżało się jeszcze po nim w zabójczą otchłań po to tylko, aby w niej zginąć. Wreszcie dyrektor kopalni zakazał dalszych prób, z których każda kosztowała nowe życie ludzkie, daremnie stracone.

I Piotr pozostał jedynym łupem, który ziejąca śmiercią ziemia pozwoliła sobie wydrzeć.

Otruty wyziewami pożaru i eksplozji, bez sił i bez przytomności po wyczerpującym omdleniu, siedział z początku jak kłoda w infirmeryi, następnie zaczął się snuć pośród zabudowań szybu i z innymi przywłókł się do windy.

Na twarzy tego dwudziestoletniego chłopca, sieroty po rodzicach, przedwcześnie złamanych ciężką górniczą pracą, w którym nigdy nie było za wiele mowności ani życia, radość z ocalenia nie malowała się wcale. Przeciwnie, w miarę jak wracał do siebie i pojmować zaczynał, co się koło niego, co

się z nim samym i z innymi stało, myśl o życiu, ocalonem wśród powszechnej zagłady, niepokoiła go w sposób nieokreślony, a coraz gwałtowniej i przykrzej.

Błady i wystraszony, milcząc spoglądał w osłupieniu na przybywające wciąż ciała.

— Jest kto żywy? — pytał raz po raz.

— Nikogo.

— Jakże oni ratują! żeby też ani jednego żywego nie dobyć!...

— Ty się na to najmniej możesz skarżyć. Piętnastu poszło na zaturę dla ciebie jednego.

Nie mógł temu uwierzyć, rozpytywał się, zewsząd jednak słyszał to samo.

Wówczas własne istnienie, okupione tyłu zgonami, wobec gromadnego męczeństwa setek towarzyszy wydało mu się jakby czemś ukradzionem, haniebnem, zbrodniczem. Doznawał uczucia, jak gdyby zdradził towarzyszy, nie podzieliwszy ich straszego losu...

I patrzył z bólem, nikomu nie potrzebny a ocalony, jak innych, ukochanych, niezbędnych, oplakiwały tłumy osób.

Patrzył, jak jedna z kobiet, otoczona siedmiorgiem drobnych dzieci, siedziała niema, z żrenicami bez ruchu, utkwionemi w wylot szybu, z kądem nie mogła się już przecież spodziewać niczego, trzymała bowiem martwa, na wieki rękę męża w swej suchej i spracowanej dłoni. Starsze dzieci zanoszą się od łkania, młodsze naśladowują je od czasu do czasu, kiedy płacz rodzeństwa zbudzi je z dziecięcego roztargnienia, przypominając, że ojciec umarł. Dwoje najmłodszych bawi się wśród weso

łego chichotu, jak za życia ojca, jego lodowatą ręką, na której lśni biała, srebrna obrączka ślubna.

— Czemuż to ten nie ocalał zamiast mnie?.. — myśli Piotr, pełen obrzydzenia do życia, dającego mu w tej chwili same udęczenia.

W innej znów stronie ślepa staruszka, ściskająca oburącz dłonie rozciągniętego przy niej syna, zatrzymuje przechodzących i każe im opisywać ciało, nad którym usiadła. Ta ślepa nie daje wiary, że siedzi nad zwłokami swego dziecka, tak samo, jak tyle zdrowymi oczyma patrzących żon i matek nie chce uwierzyć w śmierć swoich.

— Biedna stara — myślał Piotr — jej syn zginął a ja zostałem...

Nie przypuszczał nieborak, że właśnie synowi tej staruchy zawdzięczał swe ocalenie.

A ot i żona Rudolfa. Na widok trupa męża oszalałszy w jednej chwili, biedna kobieta ze wstrętem odepchnęła ciało, poznane przez wszystkich, wołając:

— To nie on! Biercie sobie tę szkaradę!... — i odwróciła się od twarzy patrzącej czarnemi jak ołów gałkami wysadzonych na wierzch oczu i oszpeconej straszonym kurczem śmierci, który odsłaniał zęby w ohydny uśmiechu.

Odtąd szuka męża po całym szybie, przekonana, że się przed nią ukrył. Zagląda nagle w twarz plecyma do niej obróconym górnikom, wreszcie poczyna błagać na wszystkie strony, aby nakłoniono jej męża do uka



zania się, przysięgając, że już z nią żadnych zmartwień mieć nie będzie, że przestanie być złą, kłótniwą, że będzie mu odtąd ulegać we wszystkim...

Wszędzie Piotr widział to samo. Na wszystkie strony rozpacz i żal po niepowrotnej i niczem nie nagrodzonej stracie drogich i bliskich...

A on... on, z którego ocalenia nikt się nie raduje, bo nikt go nie pragnął, i nikt z niego pożytku mieć nie będzie — on właśnie sam jeden ocalał!... aby widokiem swoim w każdej z kilkuset wdów, w każdej z kilkuset sierót budzić myśl nienawistną, dlaczego zamiast tego niezdary jej mąż, brat, ojciec przy życiu nie pozostał?... Zgryzota ta wżerała się w jego duszę coraz głębiej i coraz dotkliwiej męczyła jego wycieńczoną głowę.

— Na bok! — zawołał nań jeden z trzech ludzi, niosących świeżego trupa w wolny kąt budynku, w którym coraz mniej było miejsca.

Piotr spojrział na zwłoki i wzdrygnął się.

— Poznałeś rudego? — zawołał jeden z górników, dźwigających ciało powszechnie nienawidzonego nadzorcy, i dodał, odsapnąwszy :

— Troszkę usmolony od roboty. Ostatni raz!.. Ale się go przecie tak nie bój, już on cię więcej w kark walić nie będzie. Poblizcy pokiwali głowami w odpowiedzi na ten żart i spojrzeli z ukosa w stronę komisji, pod której adresem docinki takie gadatliwy rubacha od czasu do czasu rzucał.

Tymczasem winda pracowała bez przerwy, wywożąc raz po raz na powierzchnię ciała,

odszukane przez oddział pracujących w podziemiach górników. Czasem ukazywała się już po upływie kwadransa, czasem godzinę i dłużej nie było jej widać z powrotem.

Naraz okrzyk radości rozległ się w szybie...

— Żywi wracają!... żywi!... żywi!!... Nareszcie po tylu ofiarach garstka ocalonych wychyla się z głębin...

Po tylu dniach smutku i bólu jakąż radością zadrgały w tej chwili serca wszystkim bez wyjątku, bo każdy prawie cząstki jej mógł się spodziewać dla siebie...

Ale twarze przybyłych rozczarowały złudne nadzieje...

Niestety... to tylko ci, co pracowali na dole, spuszczeni tam dziś rano, wracają...

W zajęciu tymi, których chciano ratować, zapomniano o ratujących, co spracowali się jak psy, nie mając przez cały dzień nic w ustach, oprócz kawałka ukrytego w kieszeni chleba.

— Więc to już wszystko? — zapytała jedna z kobiet wzburzonym głosem — a mój mąż?!... a brat!... a ojciec męża...

Nie dała sobie w żaden sposób wytłómaczyć, że górnicy są pomęczeni, że to już wieczór, zaczęła lżyć wszystkich: i górników, i zarząd, i dygnitarzy przybyłych z stolicy, i posunęła się w szczerości swego oburzenia tak daleko, że aż ją wyprowadzić musiano przez wzgląd na komisję.

— Rozumie się — darła się z za progu jeszcze — że nie chcą, żeby kto żywy wyszedł z kopalni, bo taki, któremu raz śmierć zajrzała w oczy, wyśpiewałby o zarządzie

i o tem, co się w kopalni dzieje, ładne rzeczy !... I wy byście to mogli powiedzieć, wy, żywi, aleście tchórze i niedołęgi... Co wam tam, że pięćset waszych zdechło, kiedy wy sami żyjecie... Prawda? Ale i was to nie minie hołoto, przy takich porządkach jak tutaj... Nie dziś to jutro... czekajcie!...

— Prawdę mówi — szeptali górnicy, ale ją jednocześnie wypchnęli za próg, aby ich samych nazajutrz za ten próg nie wyrzucono. Za drzwiami dopiero wolno im było ją pocieszać i potakiwać jej.

— Czy to już wszystko ? — zapytał teraz ktoś z komisji, z całym poświęceniem asystującej żałobnym pracom, w wygodnych fotelach, z uperfumowanymi fularami u nosa, bo palić nie wypadało.

— Tak, to wszyscy. Niżej nie można już schodzić, wody nie opadły — a tego tu znaleźliśmy ostatniego na dwudziestym siódmym piętrze.

I w kilku wydobywszy z windy ciało, wysunęli je przed siebie w postawie stojącej, zeszywniała — tuż naprzeciw grona dygnitarzy, akcyonaryuszów i urzędników...

Był to trup starca.

Olbrzym prawdziwy, z długą siwą brodą, spadającą z sinych policzków na piersi, wyciosany jak posąg, silny i barczysty trup starcarobotnika, wyglądał niby patriarchy całej tej umarłej drużyny, której ciała okrywały dokoła ziemię. Członki jego były wyprężone, ręka jedna przyciskała do piersi trzymając się szyi starca chłopię, drugą zaś, martwą,

zastygłą, wyciągał naprzód i w kułak ściśniętą zdawał się grozić, grozić uparcie, po śmierci jeszcze, tak jak nią zapewne groził na jedno mgnienie oka przed skonaniem — komu?..

— To stary Jan z wnukiem! — rzekł ktoś, przerywając ciszę.

Ale że w panującym w tej chwili dziwnym i niemiłym milczeniu obraz przedstawicieli zarządu z jednej strony — i grożącego martwym ramieniem starca, którego podtrzymywali żywi towarzysze, z drugiej, wydał się bojaźliwym z obecnych zbyt drażliwym, więc jeden z nadzorców, zasłaniając sobą trupa, starał się zgnać ku dołowi sterczące naprzód ramię.

Nie dało się.

Trup był jakby skamieniały — ręka nie ugięła się ani na włos, zachowując uporczywie wyzywający gość przedśmiertny, jakby ostatnią myśl, ostatnią z kłąt całego życia, jakby testament starego górnika wyrażające.

Wtedy z głębi tłumu niewiadomo czyj głos, jakiejś kobiety, jeden z tych głosów, co się z samego dna zranionej duszy, jak piorun z burzliwego nieba wyrrywają, zawołał:

— Przekleństwo! przekleństwo na tych, co temu winni!...

I po krótszej niżeli błysk myśli, dreszczem przejmującej ciszy, na podobieństwo prochowej miny, gdy ta od iskry rzuconej wybuchu — zdrzął szyb cały od ryku kłąt, a te zwały się w jedno wielkie, rozpaczliwe, wściekłe złożenie winowajcom z kilkuset piersi...

Surowe spojrzenia padły z pomiędzy urzędników w tłum. Przez chwilę zdawała się sytuacja groźna. Ale najwyższy z dostojników szepnął coś otoczeniu swemu i z powagą i godnością zwróciło się gremium komisji i zarządu do wyjścia, pozwalając gromadzie krzyżeć, ileby zechciała...

— Potrzeba dać im się wyrzeszczeć od czasu do czasu. To im sprawia ulgę! — rzekł z ironicznym uśmiechem inspektor do najbliższego z przybocznych uspokajająco.

Powoli wynieśli się z szybu wszyscy. Za bramą znikwały gromadki zapłakanych kobiet, mężczyzn ze zwieszoną głową kroczących, a pomiędzy nimi tu i ówdzie, przejęta grozą cudzej niedoli szybkim krokiem spieszyła do domu rodzina, która nie utraciła nikogo. Tulili się mimowoli do siebie, przejęci bezwiednym uczuciem radości, że są razem, tajemną potrzebą ujęcia się za ręce, jak gdyby ich ktoś mógł rozerwać... i nad tą radością jednak ciążyła chmura żałoby, wspomnienie bowiem setek trupów, leżących u wnijscia kopalni, budziło złowróżbną myśl o tej strasznej daninie, po którą niesyty potu ludzkiego smok podziemny z żarłocstwem krwiożerczego potworu raz po raz sięga, sięgać będzie... Wywłókł się i Piotr za innymi.

Ten sam żartowniś, który mu, niby przyjemną i pożądaną niespodziankę, zwłoki rudego nadzorcy pod nogami był rozesłał — wywiódł chłopaka za ramię na dwór, gderząc:

— Idź do domu Piotrze, idź, co tu będziesz robił. Tego psa, niegodnego leżeć obok

towarzyszy, zostaw na ziemi, i nie chmurz się tak. Powinienbyś się owszem cieszyć. Ty na tem zyskałeś, na czym wszyscy stracili. Niedosć, żeś się wymknął śmierci, za jednym razem pozbyłeś się gałgana, co tobą poniewierał jak zwierzęciem. Niejednemu ten hycel dopiekł do dziesiątej skóry. Dobrze mu tak... Ale tamci, tamci nieboracy... Czemu oni tak marnie zginęli!... Czemu na nich spadło takie nieszczęście za cudze winy!...

Piotrowi zadźwięczało w uszach echo klątwy na winowajcę.

Drgnąwszy, zapytał:

— Ale kto? kto temu winien?!

Tamten, szukając w pęku kluczy tego, którym wrota należało zamknąć, otworzył usta szeroko i serdecznym śmiechem odpowiedział na naiwne pytanie.

— Ba! — zawołał po chwili — to znowu inna rzecz! Tego się nigdy nie dowiemy kochanku. Za dużo się złego stało, żeby się winowajca wykrył.

— A śledztwo?!.. — odezwał się Piotr, drżący w głębi duszy z przerażenia i grozy, aby to, co się stało, ujść, miało bezkarnie.

— Cóż śledztwo!... Śledztwo być musi. Ale na tem i koniec. Dobranoc.

Zatrzasnął mu przed nosem wrota muru okalającego szyb, i odszedł w głąb podwórza, dzwoniąc kluczami. Bał się zwierzać przed Piotrem, co sądzi o śledztwie.

Piotr w pierwszej chwili stał w miejscu, nieporuszony, jakby go przestraszała droga do wioski i mieszkania. Jego chwiejącym się no

gom, jego ciała osłabłemu z dwudniowej czczości, wydawała się ona dzisiaj dziesięć razy dalszą niż dawniej. Potem zaczął iść zwolna i półnieprzytomnie przeżuwał wspomnienia ostatnich dwóch dni, strasznych obrazów pełne. — Kto temu winien? kto temu winien? — biadał w duszy, niezdolny pojąć katastrofy bez bezpośredniego sprawcy, niezdolny oprzeć się potrzebie ujrzenia go wykrytym i ukaranym...  
Gdzie jest ten sprawca?  
Nikt go nie zna.  
A przecież on jest... być musi...  
Więc się ukrywa...  
Gdzie? w kim go upatrywać?... Kto to uczynił?...  
Niejednego już o to zapewne podejrzewają... Jego samego... Piotra... któż wie?... tak jak każdego innego...  
Dreszcz go przeszedł.  
Z trwogą odtrącił to przypuszczenie, lecz chora myśl do niego lgnęła.  
Wypadki dni ostatnich nazbyt wstrząsnęły ciałem jego i umysłem, zbyt gwałtownie zatargały słabą istotą tego cichego samotnika. który instynktem wiedziony, stronił od silnych wrażeń wrącego życia, czując, że nie zdoła im sprostać, że są nad jego siły, że go spala, teraz zaś znalazł się w samym ich ogniu.  
A jeśli w nim ktoś winowajcy rzeczywiście dopatrzeć się zechce?!... — myślał.  
Przecież to być może! Będzie się komuś tak zdawać, oczernią go... Wszystko przecie być może!

Przystanął i chwycił się za głowę, w której odezwał się ból taki, jakby mu miała pęknąć na dwoje. Lęk strasznego posądzenia rozparł mu czaszkę i sparaliżował na chwilę ostatnią resztę przytomności...  
Jak się uchronić posądzenia?!  
Samotne życie, jakie wiodł, nieustającą było dlań zawsze troską. Bał się, czy nie wzbudza ono w kolegach nieufności do niego i podejrzeń... Jakiegokolwiek nadużycie w kopalni popełniono, którego sprawca nie od razu został wykryty, Piotr odchodził od zmysłów ze zgrzyoty i rozpaczy, pewien, że wszyscy w nim widzą winowajcę.  
Co czynić? — myślał teraz z wysiłkiem. — aby dowieść, że on o niczem nie wie, że nie on! nie on, jako żywo, przyczynił się do tego okropnego nieszczęścia...  
Czyliż mu jednak uwierzą!...  
Nikt go nie zna! nikt z nim nie żyje! łatwiej on, niżeli ktokolwiek inny wyda się podejrzanym...  
Powiedzą:  
— Zawsze się od nas trzymał zdala, jak wróg, jak człowiek złe zamiary kryjący, sam się w oskarżenia stawiał...  
Powiedzą:  
— Do rudego złość miałaś, na nim możesz chciał szukać zemsty...  
Powiedzą:  
— Sameś jeden ocalał — boś wiedział, co ma nastąpić i zawczasuś pobiegł w bezpieczne miejsce...  
Powiedzą...

Ach! czegoż oni powiedzieć nie gotowi!...

Może już mówią?...

A odźwierny?...

— Pozbyłeś się rudego... — mówił.

— Na tem zyskałeś, na czym drudzy stracili — mówił.

— Nie bój się, Piotrze, — rzekł na rozstaniu — winny się nie wykryje...

Ból straszny w rozpalonej wysiłkiem mózgu czaszce ogłuszył go po raz wtóry.

Skoro minął, myśli powróciły mu na to tylko, aby tym samym dalej biedz torem, rozszalałe.

Urojenia opadły napowrót jego schorzały, bezbronny umysł i zaciemniały go coraz bardziej.

Czemże się od oskarżeń zasłoni, jak udowodni swą niewinność?... kiedy nawet nie wie dobrze, gdzie był przed eksplozją, co robił... kiedy... dla Boga!... ale tak... nie jest nawet pewny... czy rzeczywiście... przez nieuwagę lub zapomnienie... nie przyczynił się do wybuchu...

Lampę miał trochę popsutą... otwierał ją nieraz dla poprawienia światła w miejscach zakazanych, gdzie skała gazem śmierdzi... Więc mógł... mógł!... okropność!... sam nie wiedząc, co czyni... rozniecić ów pożar, z którego...

Naraz stanął mu przed oczyma szyb, zasłany zwłokami, trup za trupem, całe szeregi, jakby na cmentarzu, z którego w godzinie duchów podniosło się wieko mogił i ziemi, ukazując na dnie grobów czarne, z wytrzeszczone

mi oczyma, z wyszczerzonymi zębami ciała... Zdaje się, jakby chciały powstać, wszystkie patrzą w jego stronę...

— A! — wrzasnął, szarpnięty za nerwy trzecim nawrotem straszego bólu w głowie i przeraziwszy się własnego krzyku, rzucił się oślep w ciemność, i począł uciekać oszalały przed upiorami swej wyobraźni, które ssały z niego resztki rozumu.

Nad ranem, obdarty, potłuczony, z twarzą krwawą od gałęzi, o które zaczepiał, i kamieni, na które padał, stanął przed sędzią śledczym z przyznaniem się do winy na ustach.

Roztelegrafowano natychmiast ten ostateczny rezultat energicznego śledztwa po świecie.

## "NA STRAŻY"

Z

eziński, reporter gazety "Na straży", bywał rano zawsze w nastroju polemicznym.

Mieszkając daleko od redakcji a zmuszony przychodzić wcześniej, najpierwszy, aby wiadomościami z bruku zaspokoić pierwszy głód rękopisów drukarni, czekającej na materyał do składania — nie mógł nigdy wśród rannej pracy opędzić się wściekłości, wściekłości niemal, na myśl, że kiedy inni jeszcze chrapią, on już musi pracować: w dymie po świeżem zapaleniu w piecach, w kurzu po świeżem zamiataniu, wśród wrzasku dolatującego z drukarni z ust zecerów, próbujących siłę wypoczętej krtani okrzykiem: Prosimy o skrypt na kronikę ! — w niedostatku rannego światła wreszcie, wobec stosu dzienników, które trzeba było przejrzyć, listów, które należało otworzyć, wobec procesyi posłańców i stron, które raz po raz przerywały mu robotę.

Dziś znalazł ujście dla swej pasji w wybornym temacie do artykułiku ulubionego przez się stylu, t. j. do besztania. Zabrał się do pisania z rozkoszą, podniecony zbiegiem wszystkich działających mu na humor bodźców, do czego przyłączył się jeszcze rozstrój po wczorajszej pijatyce na koszt bawiącego w miłoś

cie jednego z zamiejscowych dziennikarzy, którzy łapiąc się na lep błagi Zezińskiego, pozwalali się pieczeniarczowi za każdą bytnością tutaj objadać i opijać w zamian za raport z dziedziny skandalicznej kroniki miasta od ostatniej w niem wizyty.

Jednym prawie zamachem wypełnił reporter kilka długich dwudziestowerszowych świstków jedyną wymową, jaką posiadał, wymową zajadłego plotkarza, który rzuca się z hałasem na każdy skandal, jak psy na obdartego człowieka. Potem odsunął skrypt, aby go przedłożyć szefowi, skoro nadejdzie. — i zabrał się do napelniania kroniki. Pakował w ten kosz śmieci jednego po drugim mianowanych, przyjezdnych, zmarłych — obojętnych lub wrogich pismu, albo sobie, traktując zimno a nawet przemilczając, sympatycznych gazecie i skupionej koło niej kliczce wypachniając kadzidłami pochwał, chociażby to byli całemu krajowi znani szubrawcy. Ale ". Na straży" jest organem niezawisłym, nie potrzebuje się więc kępować ani opinią ani nawet prawdą. Trzy ćwierci kroniki napelniwszy wycinkami z gazet, dopchał ją do pełna głupimi korespondencjami z małych miasteczek o balach, teatrach amatorskich i nabożeństwach "bo to jedna pismu przyjaciół na prowincyi" — i kroniki gotowa, "taka sama, jaką żywiło się abonentów "Na straży" od lat dziesięciu, a więc dobra.

Tymczasem zaczął się schodzić personal redakcyjny.

Najpierw nerwowo drgający, jak epileptyk, wszystkimi członkami, szef, który stereotypowym ruchem jednej to drugiej ręki co chwila wiedzie oko wielbicieli w okolice ciała, w której sadowią się hemoroidy. Nazywają go tu w oczy "mistrzem", za plecyma zaś starą małpą, z którą każdy robi co chce.

Z kolei ukazuje się ten obzartuch Parobkiewicz, który samym swoim widokiem przypomina chlewy. Z artykułów jego, w których bez ceremonii rozstrzyga losy państw i części świata, śmieją się nawet chłopcy, roznoszący gazetę — mimo to "Na straży" nie może go się pozbyć, jakby otyłość czyniła zbyt ciężkiem do poruszenia z miejsca to cielsko. W rzeczywistości idzie tu o co innego: jest on zbyt wtajemniczonym w domowe sprawy pisma, trzyma się go, aby nie wypuszczać za próg jego informacji.

Nakoniec ukazuje się mecenasem zwany Głupski, robiący niemiłe wrażenie trupa zapadłą i zwiędłą twarzą onanisty i obwisłymi powiekami starego żyda, które jednocześnie czynią go podobnym do zaczynającego się psuć spirytusowego preparatu mięczaka w muzeum zoologicznym. Bezbarwne postacie młodszych, wprawiających się dopiero w rzemiosło współpracowników, dopełniają kolekcji.

Skoro tylko ukazali się najwplywowsi, Zeziński pobiegł natychmiast odczytać swój elaborat, objaśniając go odpowiednimi uwagami, wydeklamowanymi niskim, uroczystym barytonem, którym lubił wobec szefa nadawać sobie pozory bezinteresownego, szlachetnego

obywatelskiego oburzenia, ile razy w kronice sprawiał komuś łaźnię.

Szef redaktor mrugnął parę razy oczyma, kłapnął węsami, wykrzywił swą pomarszczoną maskę, fałdującą się jak harmonika, i zakręciwszy się w miejscu, aby ukryć ruch ręki, która zbłąkała się pod tylne poły tuzurka, mruknął konającym głosem, wylatującym z jego wklęsłej piersi głucho i jękliwie, jak z grobu:

— Dobrze pan napisałeś... Może iść...

I odszedł na palcach, cicho, zwykłym swoim krokiem szpiega, aby zerkać ponad ramiona na stoliki i biurka, co kto robi.

Artykuł Zezińskiego, omawiający zajścia w teatrze podczas ostatniego przedstawienia, a zatytułowany:

"Bezprzykładne rozpasanie" — poszedł do druku.

Zeziński z wielkim zadowoleniem ni. jak człowiek załatwiający własny interes, spuścił skrypt windą do drukarni, poczem z wrodzonego popędu głoszenia skandali i piętnowania ich swem oburzeniem, począł opowiadać kolegom, co mu posłużyło za temat do "Bezprzykładnego rozpasania".

— Okropny skandal! powiadam panom — zaczął, mrużąc lewe oko, które jak martwe pływało w łzach mętnych, zezując: czasem zakrywał je dłonią, czasem odwracał się, aby je ukryć, bo czuł, co się z nim dzieje. Był to zwykły skutek nadmiernego picia późno w noc.

Malowniczo opisywał, jak to wczoraj podczas spektaklu w teatrze liczne grono młodych oficerów od konnicy, zdaje się po ja

kiejś uczcie, zajmwszy kilka łóż w rzędzie, przez całe przedstawienie zachowywało się hałaśliwie, nieprzyzwoicie a nawet gorsząco, jak w antraktach zaczepiali po korytarzach kobiety, jak urządzili w garderobie scenicznej atakt na gabinet baletnic, jak potracali poważne osobistości a przeciągnąwszy z wrzawą kilka ulic, w końcu jedną z nich na uwieńczenie burdy, po prostu zamknęli, stanąwszy z nagiemi pałaszami w ręku z stron obu, aby w środku, jeden czy dwóch awanturników przez okno dostać się mogli bez przeszkody niewiadomo gdzie i po co...

— Niby cóż się dzieje!... — unosił się Zeziński, giestykulując. podnosząc głos i zniżając. — Azya? czy co?... Podobne rzeczy w teatrze! po mieście!... Rady Marcowi wbito kapelusz na nos — prezesowi Psarskiemu podstawiono pochwę pod nogi, że o mało karku nie skrzył — doktorowej Hukowskiej któryś zuchwalec ofiarował kamelię przy świadkach... Ula Boga! do czegoż dochodzi?!... To samo lada dzień spotkać może każdego z nas i nasze żony...

Więc dziennik, jako stojący na straży spokoju i bezpieczeństwa publicznego, ma obowiązek napiętnować uczestników zajścia jak najsurowiej. Wojskowość zaczyna sobie za wiele pozwalać — dowodził Zeziński.

Niepotrzebnie się zapalał — wszyscy bowiem podzielali jego zdanie. Każdy z nich., drżąc w głębi swego tchórzostwa przed zawadyactwem młodszych wojskowych, rad był okazji rzucenia się na nich z szpalt dziennika,

pod płaszczem troski o dobro publiczne. Zeziński przebrał tylko miarkę w komedii swego obywatelskiego i dziennikarskiego oburzenia, starając się niem pokryć prawdziwe źródło swego gniewu. Wytuzowany niegdyś w jakiejś knajpianej bójce z wojskowymi, zachowa! w arsenale swych nienawiści najzaciętszą z wszystkich nienawiść do armii. W południe zjawił się Zeziński znowu w redakcyi, w powrocie z wycieczki za wiadomościami, którą zawsze krzyżowało tropienie znajomych, usposobionych do płacenia wódki z przekąską. Nos mu się świecił, lewa powieka zaciskała się nad okiem pijanem od wczorajsza, a wargi drżały z irytacji.

Wziąwszy na bok co zaufańszych, pospieszył im opowiedzieć, że spotkał się w mieście z tym bałwanem Łydkiewiczem, który z tytułu pewnych wpływów w dzienniku, dzięki stosunkom z szefem "Na straży", dał mu do zrozumienia, aby nie poruszał zajęć w teatrze.

— Dlaczego? — zapytał ktoś z silnym akcentem zdziwienia.

— Spytaj się go pan — odparł Zeziński.

— Zwarjował, czy co!...

Żądanie Łydkiewicza uznano za nonsens.

Szef, który na odgłos najśłabszej rozmowy zrywał się z krzesła w swoim gabinecie i zbliżał się na palcach, aby podsłuchać, o czym mowa, spragniony wiedzieć i widzieć wszystko, nie widzący tylko własnej śmieszności i niedołęztwa — już był przy nich i wmięszał się do gawędy słowami:

— Ależ nie możemy tego przemilczeć.

Coby miasto powiedziało!...

W godzinę jednak Łydkiewicz zjawił się sam w redakcyi i poszedł prosto do gabinetu naczelnego redaktora. Zeziński, spostrzegłszy go, zawrzał wściekłością, widząc zagrożonym los swego artykułiku, którego ciętość roztrąbił już był po mieście w czterech handelkach. Obrócił się teraz do najbliższego stolika, przy którym siedział Dawaj, dwudziestokilkoletni, z widmami chorobliwych, rumieńców na twarzy, blady i skrzywiony aspirant dziennikarski, rozpoczynający karierę od nadskakiwania szefowi i próbowania skuteczności coraz to nowych środków przeczyszczających, w nieustannym kłopotcie z charłaczym organizmem.

— Widziałeś pan, panie kolego?... — zapytał go Zeziński półgłosem, wskazując ruchem głowy gabinet szefa. Ile razy szukał współczucia u którego z młodszych współpracowników, których nazywał po cichu śmierdziuchami, używał czulego tytułu: "panie kolego".

— Co takiego? — odparł Dawaj.

— Łydkiewicz przyszedł. Zobaczysz pan, że skłoni szefa do wyrzucenia mego kawałka. Na naszym redaktorze gra lada kiep, jak na katarynce.

Przeczcucia Zezińskiego sprawdziły się. Po odejściu Łydkiewicza "Bezprzykładne rozpasanie" wycofano po cichu, tajemniczo, z drukarni.

Ale Zeziński nie chciał ustąpić z placu. Zaaranżował w redakcyi dyskusję, w którą



wciągnięto szefa — zełgał na prędcę, jakie to w mieście panuje oburzenie z powodu zejść w teatrze, i szef, na wykręcaniu twarzy, kłapaniu wąsów i brwi wyczerpawszy całą swoją energię — niezdolny oprzeć się gadaniu krzykaczy, tak jak przed chwilą nie umiał oprzeć się prośbie znajomego — wystękał:

— A no to sobie drukujcie — ale Łydkiewicz mnie prosił, żeby dać spokój.

Pakując już rękopis do windy — zawołał Zeziński z ekspresją:

— Durniów z nas chce porobić, panie redaktorze, albo też nie wie, co się w mieście dzieje. Tam się wszystko trzęsie!

Szef redakcji, złamany zawikłaniami swej politycznej działalności, poszedł złożyć członki w głąb redaktorskiego fotelu. — Zeziński jednym okiem, trzeźwym, prawem, rozsypywał po biurkach spojrzenia tryumfu.

Wtem po południu, około godziny czwartej, niedługo przed zamknięciem dziennika, odbiera szef od Łydkiewicza bilecik tej treści:

"Jak to dobrze, że pospieszyłem Was uprosić o niedrukowanie owej historii w teatrze i żeście się do mej prośby przychyliłi. Te szalone pałki odgrażały się odwetem w razie poruszenia wybryków w piśmie, o czym przebakują po mieście. Wiem to od mego kuzyna, który był także niestety w ich gronie".

Drżący z przerażenia pobiegł szef do mecenasa i wzięwszy go na bok, wyłożył mu fatalny stan sprawy.

Wynędniała i spelzła maską tego drugiego wykrzywił wyraz wielkiego zakłopotania. Na prędcę skłamał:

— Ja od początku nie byłem ani za, ani przeciw drukowaniu.

— Ja się także wahałem — pospiesznie dodał szef. Ale nie skłamał — on się wahał zawsze, biedaczysko. Nawet po uczynieniu każdego kroku radby go cofnąć, aby spełnić raz Jeszcze i jeszcze żałować.

Wmięszali się do tajemniczych szeptów inni, i wkrótce sprawa "Bezprzykładnego rozpasania" stanęła w jaskrawem świetle mogących z niej wyniknąć następstw.

Gadano wiele, zstępując w wylewie argumentów, niby po schodach, z wyżyn dbałości o dobro publiczne, ku poziomowi pieczy o całość własnej skóry. Tymczasem Zeziński siedział przy swym stoliku, udając, że pisze, a słuchał i zaciskał zęby.

Nakoniec trzech mowców ujęło rzecz typowo.

Głupski rzekł z przekonaniem:

— Byłem zawsze przeciwny zadzieraniu z wojskowością. Jesteśmy wobec niej bezsilni.

Parobkiewicz, w którego cielsku karmnego wieprza zbudziła się naraz dusza artystyczna

o delikatnym smaku — z minami prostytutki, co wyszedłszy za mąż, unosi się nad cnotą, wysapał kręcąc nosem:

— Przytem to taka niesmaczna rzecz poruszać takie tam karczemne jakieś awantury

i burdy uliczne.

"Mistrz" szef uwieńczył dzieło. Czując większość po swej stronie, jak mowca, pewien przychylnego nastroju zgromadzenia, głosem. każącego kapłana obwieścił:

— Zresztą nie widzę żadnej racji nadawania podobnym faktom takich rozmiarów. To rzecz prywatna. Poszkodowani niech dochodzą przed sądem swej krzywdy. Inaczej przyzwyczajmy ludzi do tego, że ktoś w pysk dostawszy, będzie sobie szukał satysfakcji za. pośrednictwem gazet. Dzienniki nie są do tego.

A mówił to tonem pewnym, stanowczym" niby mąż stanu, wygłaszający program polityczny. Ani śladu zwykłego wahania nie było w starowinie w tej chwili.

I "Bezprzykładne rozpasanie" nie ukazało się w "Na straży". Nie wspomniano o niem więcej w redakcyi.

Tylko Zeziński, po wyjściu z biura na wieczorny ront po knajpach, rozpuścił swój wściekły język z całej duszy, opowiadając szczegółowo losy swego artykuliku znajomym i dodając na zakończenie:

— Otoż to są nasi orędownicy ogólnego dobra!... A trzeba wam wiedzieć, że ten sani Łydkiewicz kazał u nas beszać burmistrza, aż w niebie słychać było, kiedy mu pojazdem w przeciwną stronę, wbrew przepisom, zajechał pod teatr w chwili, gdy Łydkiewicz przywoływał dorożkę. Ktoby czytał to, co się; wtenczas o tem w "Na straży" pisało, pomyślećby gotów, że burmistrz co najmniej rozjeżdżał końmi ciężarne kobiety. Trzeba wam

wiedzieć, że nasz szef znowu przybył rok temu najdalej bez tchu, blady i drżący z wzburzenia, do redakcyi, z kamykiem w ręku. którym przypadkowo malec, mierzący do wróbla, rozbił u niego szybę — i przez dziennik ze zgrozą nawoływał do czuwania nad niedorostkami władze, a dziś uważa za rzecz prywatną, kiedy innych, nie jego, umyślnie, nie przypadkiem, krzywdzą nie malcy — lecz dorośli!... I cóż pan na to"?

Zapytani w ten sposób znacząco kiwali głowami, myśląc w duszy:

— Co za szkoda, że takich jak ten nie robi się naczelnymi redaktorami...

## OWACYA.

— Wiecie co? — rzeki do towarzysza zecer Toporek, przystając na chodniku. Opuściwszy właśnie tanią restauracyjkę przy torze kolejowym, wymijali ogromny, żółty, opróżniany w tej chwili z ładunku wóz pocztowy i mieli się udać ku miastu, zostawiając na prawo zabudowania dworca.

— A gdybyśmy tak wdepnęli na banhof, co?... Nasi "postępowcy" odprowadzają dziś Malusińskiego. Warto zobaczyć taką. szopę, uśmiejemy się do rozpuku.

Poszli obadwaj w prawo, ku widniejącym o kilkadziesiąt kroków schodom z ciosu, na które w granatowym mroku ciemnej nocy sączył się z latarń skąpy deszczyk pomarańczowego światła.

Przez drogę Toporek, zapamiętały polityk, przytem wtajemniczony w brudy "Postępu", pracował bowiem w drukarni, gdzie gazetkę składano, udzielał koledze niektórych świeższych tajemnic tejże, aby go przygotować na widowisko, którego mieli być świadkami, tak jak prelegenci w "Komedyi francuskiej" przygotowują audytorium do wysłuchania sztuki.

Personal redakcyi "Postępu" znajdował się już na miejscu w komplecie. Zebrali się w poczekalni pierwszej klasy, aby uroczyście pożegnać wyjeżdżającego do stolicy posła, którego świeży wybor ich był dziełem, zwycięstwem partyi i jej organu.

Od godziny już przybywają ludzie z pod sztandaru "Postępu", po większej części drobna biurokracya i co głupsi majstrowie różnych fachów, nie mogący doprosić się miejsca w innych koteryach. Jestto miejscowa opozycya od zaciskania zębów i wyrażania pięścią w kieszeni. Kliczka karyerowiczów, skupionych około "Postępu", wmawia w to stado baranów polityczne interesa i cele, mydli im oczy taniem mydłem szumnych haseł, aby przy ich pomocy własną piec pieczeń wśród zaściankowych ruchawek politycznych, mnożących tylko brudy w kronice miasta.

Kupka redaktorów, zadłużone mizeroty, z minami władców świata pozują w ciepłe pieca, pod którym się ugrupowali, tworząc w jaskrawem świetle gazowego kinkietu małą kolekcję żywych karykatur.

Góruje nad wszystkimi tłustym sinym podbródkiem i brzuchem wypiętym naprzód Wyżeralski, sążnisty, otyły drab o ogromnym kwadratowym łbie siwawym. z profilem przepasionego mopsa, a miną handlarza bydła. Figura popularna w mieście, po knajpach. Kiedy o późnej nocy trudno się komuś dopukać do zamkniętych drzwi kawiarni lub handelku, dość aby wymienił jego nazwisko, a zostanie wpuszczonym.

Obok niego, rozkraczony, szepce coś z iskrzącymi oczyma człowieka w dobrym humorze Kobieciński. Rysunek zgarbionych piec i cienkich, przygiętych w kolanie nóg dają mu z boku podobieństwo do olbrzymiej litery S w obrazkowym abecadle. Wypukłe jak u tryka czoło zaś, skośne oczy, wydatne i kosmate policzki oraz uśmiech, przypominający skórę, gdy beczy, czynią zeń model na satyrę. Kokietuje przez drzwi z nałogu w sąsiedniej sali starą bufetową, którą wskutek krótkiego wzroku bierze za spotkaną chwilką temu w przechodzie młodą kelnerkę. Przy tych dwóch nastawia uszu terminator dziennikarski, wtajemniczający się dopiero w fach dwudziestokilkuletni Hawryło, kiełkujący karyerowicz najlichszej sorty, zwierzę, głodne wszystkiego, co jest do zdobycia, wszystkimi środkami, jakie wiodą do celu, łgarz. intrygant i lizus. Niskie i wąskie czoło, schylony kark chłopca, twarz pospolita o wyrazie ograniczenia, a uśmiechu chytryści i fałszu, nadają mu obok niezgrabnych i ciężkich ruchów zbiorowo cechy złośliwego parobka, któremu nie można ufać.

Opodal w łaskawej gawędce z otyłszymi majstrami udają przyjaciół ludu i bojowników publicznego dobra, przysłowiowy adwokat bez klientów Durniecki z bładą, wycieńzoną i ogłupiałą twarzą, podobną do zblakłej na słońcu maski zbrodniarzapsychopaty z galerii figur woskowych: dalej suchy i drgający nerwowo jak trup, wstrząsany prądem elektrycznym, zaniedbany literat Szaflik, światło w stronnictwie,

złożonym z samych ogarków, kapłan przeżytych prądów, stojący już po za obrębem ostatnich fal wartkiego prądu życia, ale w przedśmiertnej ambicji odegrania politycznej roli, nie wahający się służyć za płaszczyk i narzędzie zdyskredytowanym rzeczom i ludziom.

Przy nich Wściekłowski, reporter "Postępu" torba brukowych skandali i bajek, specjalista od tropienia plam na ludziach, węszący łajdactwa i brudy, jak świnia trufle, stoi w przesadnej pozie, uważając się w tej chwili za bardzo przystojnego, ponieważ wdział nowe spodnie.

W tej chwili przybył ktoś z partii, wita zgromadzenie i szuka miejsca, kędyby stanąć. Gazeciarze, rachujący oczyma raz po raz obecnych, jak przekupka liczy leniwie wpływające grosze w dzień lichego targu — zwracają ku przybyłemu spojrzem. Wściekłowski szepce do sąsiadów:

— To ośmnasty, licząc już i tych dwóch drukarzy pod oknem, co przyszli przed chwilą z pewnością po to tylko, żeby się z nas uśmieć. Ja ich znam! Czuję przez skórę, że nas obrabiają, jak rudego psa.

Wchodzi nowa figura, kapelusznik Sztroman z zmieszaniem na dobroduszej twarzy, z rękoma czarnymi jeszcze od farby. Wściekłowski szczydzi pod nosem:

— To dziewiętnasty, ten z temi czystymi rękami. Ale to nie od polityki. Jeszcze jeden, a będzie nas "kilkudziesięciu". Niech sobie co chcą mówią nasi wrogowie — "Postęp" ma swoje kółko przyjaciół, nie duże, ale ma.

Przed naszą partią jest przyszłość!... Na takie zimno w Otysięcznym mieście zgromadzie dwudziestu uczestników poważnej demonstracji, wliczywszy naturalnie i tych drukarzy, którzy jak Boga kocham, kpią teraz ile wlezie z Sztromana i wymyślają mu za to, że głosował za Malusińskim. Jakbym ich słyszał! Znowu dwie osoby.

— Panowi!., cóż? jedzi? jedzi? — wrywa się z pytaniem do przybyłych Hawryło, rad okazji zabrania głosu.

W tem gwar doleciał z sąsiedniej sali i wzniesił ruch w poczekalni. Kilka osób wchodzi, kołtuny poprawiają wąsów, czupryn i gotują się do ukłonu.

Ale to nie Malusiński jeszcze. Grono złotej młodzieży, otaczając młodą i piękną kobietę o wyzywającej postawie wkracza do poczekalni, — którą z powodu jej przepełnienia opuszczają zaraz i wchodzą na peron.

— Nie widać posła — odrzecz Hawryle jeden z zapytanych.

— Co tu znaczy?... Żyby si tyłku ni spóźnił — już pu kwadransi na dzisiātu! — odrzecz piękną polszczyzną Hawryło.

Jeden z świeżo przybyłych, zasapany, niski, krótkoszyjny szewc Bijak rzuca poufale w kupkę redaktorów, silnym głosem odrodzonego w ukropie wyborczym krzykacza:

— Ale my mieli robotę? co?...

Redaktor literat, draśnięty poufałym tonem prostaka, spieszy zaznaczyć przepaść, rozdzielając tłum od niego i jego przybocznych. Tonem półboga, rzecze napuszyć:

— Ani słowa, dzielnieście się spisali. Zęby tylko tak zawsze, bo tamci nie zaśpij pogromu.

— Iii! koniec już na nich. — szewc na to i ręką czyni ruch, wykreślający całą przeciwną partyę z listy żyjących. — Dawno się im już zanościło na porządne pranie i teraz będzie się ich już prać do czysta.

— Panie Hawryło! zobacz no pan czy poseł nie jedzie? — wydaje rozkaz Wyżeralski. Hawryło zgrzytnął zębami z wściekłości za to ciągle używanie go do posyłek i to wobec tylu świadków, i wychodzi, poprawiając cwikier na zawsze czerwiejszym od reszty twarzy nosie.

Tymczasem zaczęła się gawęda o wyborach, pełna tryumfalnych natchnień, jakie bywają owocem epokowych zwycięstw. Gadatliwsi poczynają wyliczać szacherki i nieudale fortele przeciwników, przesadzając je i zmyślając, własne zaś przemilczają, a ponieważ są między swymi, nikt nie przeczy i całe grono upaja się kłamstwami jak trunkiem, który znieczuła rozum i sumienie. Gawędki takie dodają ducha, redakcją więc podtrzymuje je sztuczkami zawodowych łgarzy.

Naraz w pobliżu drzwi ruch i szmer.

To posłyszano w sąsiedniej sali tłusty, huczący jak ryk helikonu głos rzeźnika Bawołowicza.

— Jest! jest! przyjechał! — odzywa się wszystko przy drzwiach i ciśnie się ku przybyłemu niecierpliwie.

Bawołowicz jednak, wiodący pysznie pod ramię posła, umyślnie zwalnia kroku, aby w tak

zaszczytnem towarzystwie dokładnie być widzianym przez wszystkich sycący żołądki tłum sali drugiej klasy.

Na cały głos obwieszcza:

— O! nasi, widzę, już czekają na kochanego posła...

Tak przeciąga ciężki i niezgrabny grubas z malutkim i szczupłym poślikiem pośród szpaleru piec i dzwoniących o talerze widelców i znika w następnej sali. Hawryło wkracza za nimi; znowu zgrzytając zębami, że musiał iść w tyle i nieść w dodatku pudło z cylindrem posła. Cała gromada wyraża swą radość poruszeniami wszystkich członków. Usta bezwiednie wyrzucają:

— A! poseł! pan poseł! szanowny, kochany poseł!...

Bliżsi spieszą obmacać drżącą prawicę wzruszonego nagle wyniesieniem profesorzyny, dalsi robią powitalny hałas obuwiem. Kurz wzbija się w górę, przybyły z świeżego powietrza poseł kicha, więc znowu życzenia niemożliwej do osiągnięcia liczby lat życia i zdrowia ku dobru społeczeństwa.

W Malusińskim trzęsą się już od dwóch dni wnętrzności z uciechy. Przedwczoraj jeszcze niewolnik gimnazjalnych wykładów, konferencyj, korytarzowych i kancelaryjnych dyżurów, podwładny staremu mantyce dyrektorowi, dziś naraz wyskoczył w górę z trawy pospolitego życia jak konik polny i konika polnego szczęśny żywot wieść będzie, sielankę próżnowania, okraszoną tytułem, dyetami, czołobitnością głupców i frantów, podziwem da

wnych kolegów, gapiów i kelnerów stołecznych. Karyerowicz i blagier, popularny w pewnym kółku majstrów, wytańczył sobie był hołupcami z grubą piekarzową na rzemieślniczych balikach, wygadał przydykowaniem na tłustych i ciężkich obiadach u rzeźników ten mandat poselski dzięki niemożliwej do przeprowadzenia kontrkandydaturze. Teraz mała jego i cienka jak palec figurka niknie w tłumku pomimo podwyższających ją obcasów, ale ją łatwo odszukać, bo twarze dwudziestu osób zwracają się ku niemu. Rozpromieniony obdziela zaszczytem powitania swych wielbicieli, naciągając się przytem w ten sam sposób co kantorowicz, robiący "pana" w święto, i obracając na wsze strony sztywnie główkę o żółtej twarzy i ciemnej bródce, wyglądającą jak łebki dyablików na opalonych użyciem cygarniczkach z morskiej pianki.

Uszczęśliwił już wszystkich uściskiem swej prawicy z wyjątkiem nieśmiejącego się doń cisnąć Sztromana.

— A. jak się pan ma!... — zawołał zdala i wyciągnął rękę do poczciwego, skromnie stojącego w kątku kapelusznika, który zerwawszy się co sił ku niemu, upuścił laskę, kapelusz, chustkę i cygaro ze zbyt wielkiego wzruszenia.

Na widok takiej czci Malusiński nie mógł się oprzeć popędowi poklepania Sztromana po ramieniu i jak nie poseł już do swego wyborcy, ale jak minister do petenta, rzekł łaskawie:

— Będę o panu pamiętał.

Potem oddalił się, Sztroman zaś pozostał z na pół otwartą gębą, odurzony obietnicą, prześcigającą najśmielsze jego marzenia, nie mogącą się w szczupłych granicach jego rozumu pomieścić. Będzie o nim pamiętał!...

Posel wpadł na kogoś z zaufanych:

— Pysznieście mówili! — rzecze przyjaciel. — Cudownie! A co za wiedza? Takich nam posłów potrzeba!...

Malusiński w napadzie szczerości na to szeptem:

— Ale co miałem roboty? Strach! Przez całe życie nie nauczyłem się, tyle, co w ostatnich dwóch tygodniach.

Przejrzałem, mówię wam, od deski do deski dziesięć programowych artykułów "Postępu" i coś ze sześć broszur. Ale dalibóg to szczęście, że nie było interpelacyj.

W tej chwili rozległo się drugie dzwonenie—a po niem gromowy głos Bawołowicza:

— Panowie! puścież raz posła! Dobrze nam tu z nim, ale tam w stolicy na niego czekają!..

Wyzeralski potakuje ze skwapliwością nałogowego piwosza, któremu zaczyna być tęskno do zwykłych codziennych libacyj w kompanii rutynowanych dwudziestokufłowców. Wszyscy ruszają przez drzwi na platformę.

Naraz wpada do poczekalni jak horda dzikich najeźdźców z hałasem i krzykiem — tłum malców!...

Trzy klasy, w których profesor dotąd błyszczał światłem swej wiedzy, blednącem w upływie czasu od egzaminu, w których ćwiczył swą złotoustą wymowę, nie mogą pokonać dwóch

tylko liter, i przewodzeniem wśród dzieci, przerażonych grozą katalogu i świadectw semestralnych, wyrobił w sobie pierwsze początki choroby miernej głowy pedagogów: manii wielkości.

Dziecięca dobroć serca zagnała tu tych stu dwudziestu malców, znęconych awanturczością zbiorowej wycieczki w miasto wieczorem, a przytem ucieszonych trochę, że ten profesor, który ich targał za uszy, nazywał osłami i "w kozie" zamykał — że został posłem, że jest w tak wybornym humorze, że ich nazywa czuie: Janku, Adasiu, — że wreszcie już sobie jedzie, że się go pozbędą.

Biegli za nim od domu, w ślad doróżki, teraz dopiero zdążyli na miejsce i garną się doń świecąc oczyma i zarumienionemi z pośpiechu buziakami, ozywając surowe i chłodne wnętrze kolejowej sali piskliwym chórem swych młodych, cienkich głosików, powtarzających na różne tony: "Niech żyje pan poseł! niech żyje pan profesor!"

Wściekłowski, patrząc na to, trąca łokciem kogoś z bliskich i zasłaniając się ręką od redaktorów, robi uwagę:

— Kamień mi z serca spadł. Teraz już mogę z czystym sumieniem napisać w jutrzejszej kronice: "na dworcu kolei zebrało się około dwustu obywateli, ażeby pożegnać naszego znakomitego etc".

Wpakowano elekta do wagonu i skupiono się pod okienkiem, w którym ukazał się w portretowej pozie, trzymając w ręku skrycie chustkę, przygotowaną do powiewania.

Zdała przypatruje się całej farsie bez

myślnym wzrokiem policyant i tragarze, odpoczywający po pracy u swych wózków. Komisarz policyjny i urzędnik w czerwonej czapce, ekspedujący pociąg, gawędzą z cicha, rzucając z ukosa spojrzenia i zamieniając uśmiechy.

Tymczasem w okienku sąsiedniego przedziału ukazała się przepyszna blondynka w kokietyjnej toalecie ostatniej mody, w całym blasku pięknej, młodej i wesołej zalotnicy. Pod jej oknem złota młodzież od lat do włącznie, chórem niemieckich zwrotów pożegnania czci boginię, która na swój sposób poświęcając się ogółowi, zaskarbiła sobie jego miłość. — "Adieu Lilii! Adieu!... Auf Wiedersehen!... wołają. Ona rzuca ręką całusy w tłum zmieszany przypadkiem z arystokracji i tromtadratów. Dwie owacye mieszają się z sobą, nie wiadomo, który z okrzyków pod którym adresem rozbrzmiewa, kto kogo żegna, komu większą cześć oddają — co jednych gniewa, innych śmieszy.

Nakoniec rozległ się sygnał odjazdu, lokomotywa szarpnęła tabor wagonów jak koń. podcięty biczem i pociąg ruszył ociężale z miejsca.

Chłopcy podnieśli zdwojony okrzyk. Jeden wyciągnął chustkę — inni jak małpki natychmiast uczynili toż samo niezmiernie uradowani tą zabawką. Pchając się jeden przez drugiego, biegną platformą w ślad pociągu i krzyczą coraz głośniej w miarę oddalania się okienka z powiewającą chustką posła. Najbardziej drze się jakiś brunecik z I. klasy, z usmolonym noskiem, mały dyabełek, którego Malusiński narażał na domowe kary za zbytki i który teraz

szalał z radości na myśl pozbycia się swej plagi, czując otwierające się nowe życie, Czerwony, zlany potem, mało nie ochrypnie od ciągłego wołania:

— Nief zije pan pofesiol! nief zi...

Starszych porywa śmiech za boki na widok niekłamanego zapału bębna — Wściekłowski mruczy, jakby czytał ustęp jutrzejszej swej notatki w dzienniku:

— "... posła żegnano z niesłychanym zapałem... "

Lilii rzuca ostatnie snopy brylantowych iskier z oczu i posławszy wielbicielom jeszcze jednego całusa, woła dźwięcznym głosem:

— Au revoir a Vienne!

Ostatnie wagony z hukiem opuszczają peron, ścigane westchnieniami...

Pociąg już zniknął — stuk kół o relsy ucichł w oddali, a kapelusznic Sztroman jeszcze stał w zadumie, z której go zbudził wesoły głos zecera Toporka:

— A to teatr? co?... Ale cóż wy tak medytujecie?...

— E, bo pan nie wiesz...

— Co się stało?

Sztroman zniżył głos i odrzekł konfidencyjnie i tajemniczo:

— Powiedział, że będzie o mnie pamiętał.

— Kto tak powiedział?

— Poseł.

— No więc Co? — odrzecz z wytrzeszczonymi oczyma Toporek.

— Ciekawa rzecz, co on też dla mnie zrobi ? — prawie przerażony ogromem mających

spłynąć nań łask, odrzecz pokątny kapelusznic.

— To dla was zrobi! To! To zrobi dla wszystkich! — zawołał Toporek gwałtownie i przystawił Sztromanowi gościem tak dobitnym pięć w figę ściśniętą pod oczy, aż je kapelusznic przymrószył i nos w tył cofnął w poczuciu jego nietykalności.

— Słyszycie? — mówił ubawiony naiwnością pytania drukarz do towarzysza. — Sztroman łamie sobie głowę nad tem, co też Malusiński dla niego może zrobić?... Kapelusza sobie nawet u was nie kupi, bo on kupuje po pięć, a wasze najlepsze po półtora papierka. Niby on tam zresztą po to pojechał, żeby coś zrobić!... Ot wykuje parę mówek, żeby go świat nie miał za niemowę — załatwi parę petycyj wyborcom, będzie się upominał o poprawienie doli urzędnikom dla zapewnienia sobie ich głosów na przyszłą kadencję, pójdzie na bal do burgu skosztować dworskiej herbaty i ciastek, rozgości się w tingltanlu Ronachera, pokokietuje którego ministra w interesie swoich krewnych, a pokąsa, jeżeli kokieterya chybi, wkupi się w koleżeńskie stosunki starych posłów taroczkiem, zaznaczy swą działalność od czasu do czasu w rubryce dzienników: "przyjechali — wyjechali" przywoząc ze stolicy nowy garnitur, pachnący nowym bukietem perfum, wreszcie odegra parę razy komedyjkę sprawozdań wyborczych, schlebającą tym, którzy nań głosują i po krzyku.

— To na to my go wybierali ?

— Albo wy wiecie sami, co robicie?